MIESIĘCZNIK

Fantastyka

9(24) WRZESIEŃ 1984 CENA 50 ZŁ

PL ISSN 0209-1631





Jakby specjalnie do fantasy

Znakomicie korespondują z tekstami gatunku fantasy, z tymi baśniowymi opowieściami współczesnej, romantycznej fali dzisiejszej fantastyki – teksty i ikonografia innych epok romantyzmu. Podczas tegorocznego pobytu w Anglii, na światowej konferencji SF – jak wielu innych przyjezdnych z różnych zakątków globu – miałem możność zwiedzić w słynnej Tate Gallery w Londynie, jak gdyby specjalnie z okazji zlotu fantastów urządzono wystawę romantyków angielskich. Pisano o niej wszędzie.

Szczególnie bliskie naszej współczesności wydały mi się, eksponowane osobno w kilku salkach, niewielkie rozmiarami obrazy Williama Blake'a. Ten malarz, grafik, a także i poeta, który żył w latach 1757-1827, w swoich akwarelach i kolorowych miedziorytach nawiązywał – podobnie jak to się działo i dzieje w każdej fali romantyzmu – do pełnych grozy legend starożytnych, do opowieści biblijnych i do fantastycznych dzieł literackich.

Powyżej przedstawiamy jeden z jego obrazów. Ilustrujemy nimi również (s. 64) neoromantyczne wiersze Tadeusza Micińskiego – poety z fin de siècle'u.

A.H.



17

Fantasy bez zwykłych akcesoriów – fantastycznych światów, smoków i demonów. Zamiast tego świetnie uchwycona atmosfera arystokratycznego Londynu z XVIII wieku i zgrabnie zarysowane sylwetki utytułowanych bohaterów. Akcja ma posmak thrillera. A rozwiązanie zaskoczy zapewne niejednego czytelnika.
Peter S. Beagle: „Śmierć na balu".



Któż lepiej, jak my, fantaści, rozumie zabawę w antycypowanie przyszłości, w układanie obrazów jutra, zastanawianie się nad tym, kto i co ma szansę – lub nie ma szansy – przejść do historii. Zresztą każdy, czy prawie każdy, człowiek żyje niemal nieustannie z myślą o tym co będzie. To znacznie ważniejsze niż rozważanie tego co było, a nawet tego co jest. *„Przeszłość i teraźniejszość to kanwy, na których wyobraźnia haftuje obrazy jutra"*. Ktoś to tak, bardziej barokowo niż ja to mam w zwyczaju, wyraził. I trudno mu odmówić racji.

Więcej, nieraz pragnęłoby się narzucić nasz sposób widzenia przyszłości samym jej uczestnikom. Jest to oczywiście jakże naturalna próba przedłużenia własnych naszych spraw. Przedłużenia jak gdyby naszego istnienia w przyszłe pokolenia. Toteż z dużym zainteresowaniem śledziłem, podobnie jak i inni miłośnicy literatury, powstawanie na łamach wielu pism literackich różnych tabel, w których wyznaczano niejako reprezentację na dziś i jutro pisarzy ostatniego półwiecza. Ileż w tej tabelomanii sportowego zacięcia, sportowej pasji. Mój mistrz, twój mistrz, jego mistrz. Każda tabela jest konglomeratem poglądów, gustów i mniej lub bardziej pobożnych życzeń. Cała Polska jak na dłoni. Jeden do Sasa, drugi do lasa, jakby to określono w dawniejszych epokach.

I w naszym piśmie próbowaliśmy sondować opinie, przede wszystkim czytelnicze, przez długi czas drukując listę bestsellerów science fiction. A także rozpisaliśmy nawet sondażową ankietę wśród Czytelników, prosząc m.in. o podanie najpopularniejszych tytułów i nazwisk autorskich.

Czytelnicy chętnie biorą w takich przedsięwzięciach udział i nie skąpią swego zdania, swoich opinii. Tylko, że już samo dotarcie do Czytelników za pośrednictwem pisma, wychodzącego w określonych terminach, nakładach i dla określonych środowisk – określa i zamyka krąg zainteresowanych. Jak również wiadomo, z czasopismami i gazetami koresponduje tylko cząstka ich stałych odbiorców, tych, którzy w ogóle odważają się względnie czasem wprost lubią wymieniać z redaktorami poglądy. Reszta, czyli większość, akceptuje profil danego pisma milcząco, po prostu je kupując. To więc trzeba brać zawsze pod uwagę, gdy się żąda głosu opinii publicznej przez czasopisma. Następnie – jeśli rzecz dotyczy literatury – należałoby także zapoznawać się z opiniami czytelników, biorąc pod uwagę nasz dość specyficzny rynek wydawniczy, a więc przede wszystkim bardzo zróżnicowane nakłady książek (jedne wielkie, drugie małe, nigdy nie zaspokajające potrzeb). Trzeba też uwzględnić słabości ruchu recenzenckiego: krytycy piszą najczęściej o ludziach najbardziej znanych i uznanych, rzadziej sięgają do ciekawych zjawisk peryferyjnych. Zresztą, jak to już kiedyś pisałem, krytycy tkwią w historii po uszy, a ona każe im doszukiwać się i poszukiwać całych ciągów wydarzeń twórczych wzajemnie od siebie zależnych. Jeśli coś jest poza tradycyjnym ciągiem, może pozostać nie zauważone. Tradycyjne bywają również hierarchie nazwisk i zjawisk.

Pragnę tu zwrócić uwagę na sprawę w tej dziedzinie bardzo, wydaje mi się, charakterystyczną. Gdybyśmy zaczęli dyskutować o rodzajach twórczości pisarskiej najbardziej wziętych, najbardziej poszukiwanych, literatura piękna nie miałaby wielu szans w rywalizacji z powiedzmy encyklopediami czy różnego rodzaju leksykonami. Nikt mi jednak nie wytłumaczy popularności tego typu wydawnictw autentycznymi potrzebami. Chyba że znajdziemy się w gronie hobbystów – krzyżówkarzy. Wtedy co innego. Snobizm, oczywiście, tkwi u podstaw wielu zjawisk zbierackich i wielu opinii o sztuce. Tak dzieje się zarówno w przypadku runu na leksykony, jak i runu na twórczość np. Joyce'a lub innych uznanych albo tylko obcmokanych wielkości. Zjawisk kulturowych nie da się i nie powinno się oceniać w sposób powierzchowny. Mnie się wydaje, że od tabel z reprezentacjami książek i nazwiskami twórców wiedzie prosta i jakże konieczna droga do pogłębionych badań nad faktyczną poczytnością różnych typów literatury i różnych pisarzy. Ogromnie przecież zmienił się w ciągu ostatniego półwiecza zarówno krąg czytelników, jak i ich skład socjalny, a więc także i ich gusty i wyobrażenia o ulubionym literackim dziele.

Zmienił się również obraz naszego narodu w oczach tych, którzy patrzą na nas z zewnątrz, spoza granic. Znakomity twórca najlepszej polskiej książki science fiction z okresu modernizmu, Jerzy Żuławski, nie miał w swojej epoce najmniejszej szansy na sławę światową. A przecież to, co stworzył było podówczas bardzo nowatorskie również w skali europejskiej, ale wtedy liczyły się tylko ogromne i bardzo koturnowe dzieła H.G. Wellsa, a nie przepojone neoromantycznymi nastrojami, znerwicowane utwory polskiego autora.

Nie było mody na science fiction. Jeszcze perspektywy sukcesów nauki górowały w marzeniach ludzkich nad wyskokami wyobraźni. Jeszcze wierzono w cuda techniki, których podszewkę i skutki działania opisał z goryczą Żuławski w powieści „Na srebrnym globie". Światową sławę zdobywa dopiero w następnym stuleciu, w jego drugiej połowie i u schyłku, Stanisław Lem, najczęściej obecnie tłumaczony pisarz naszego kraju. I śmiem twierdzić, że swoją sławę zawdzięcza nie ucieczce od science fiction, którą obecnie na każdym kroku manifestuje, lecz przede wszystkim temu gatunkowi, którego stał się europejskim, i nie tylko europejskim, głównym filarem. Najczęściej drukowane jego książki („Astronauci", „Obłok Magellana" i „Solaris") to przecież właśnie SF – czy On to lubi, czy nie. Na nich wyrosła Jego popularność na Wschodzie i na Zachodzie. A także i w kraju.

Jest to sprawa, która nie powinna się wymykać z pola widzenia naszym socjologom kultury ani krytykom. Bez zrozumienia istoty zmian, jakie zaszły w ciągu ostatniego stulecia w literaturze i czytelnictwie nie tylko polskim, ale i europejskim i światowym, między tym co tworzył nasz Żuławski a pisze obecnie Lem – nie może być mowy o właściwym rozeznaniu tego, co się dzieje we współczesnej kulturze. I to bez względu na to jak w hierarchii krytyków kształtuje się pozycja literatury SF u nas i gdzie indziej. A zwłaszcza u nas, gdzie tak radykalnie uległ zmianie profil czytelnictwa. Są to jednak zjawiska tak oczywiste, że wiele osób piszących o kulturze czy badających wydarzenia kulturowe straciło je z pola widzenia. Jak nie widzi się właściwie identycznej kamienicy sąsiadów z przeciwka z domu, w którym się mieszka, i w gruncie rzeczy nic o nich nie potrafi się powiedzieć. A w wielu znanych pismach literackich znani recenzenci pouczają biednych twórców „za co się powinni chwytać". O, tempora! O, mores!

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK literacki **Fantastyka**

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu publicystyki kulturalnej), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Anna Szubka, Darosław J. Toruń.
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.
Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P. Z. Graf. RSW Łódź.
Nr Indeksu 35839. Zam. 2400/84r T-70. N. 140000 PL ISSN 0209-1631

Czytelnicy i „Fantastyka"

LĄDOWANIE XIX

W dalekim Kapsztadzie...

...podarowany wraz z innymi pismami, trafił mi do rąk egzemplarz Waszego pisma. Pismo jest zaiste fantastyczne – więc telegraficznie, via USA, zleciłem prenumeratę: na Montarę (USA), gdzie przebywam czasowo, i na Gdańsk, gdzie mieszkam. Swój do swego. Przecież tylko fantastą można nazwać faceta żeglującego na dziewięciometrowym jachcie (najmniejszy polski jacht, jaki opłynął solo świat) z kotem, gitarą, mikroskopem i mapą nieba... Opłynął, bowiem przebyłem już 3 oceany i wyruszywszy z Ameryki, do Ameryki już powróciłem. Oczywiście dokończę rejs do San Francisco. Taki rejs to przede wszystkim orgia nieba. Sputniki, meteory, złom kosmiczny lecący niemal na głowę, zielone promienie słońca, nocne tęcze. Nie wiem czy figuruję w Waszych aktach, ale wśród moich 14 książek (zasadniczo morze i żeglarstwo) jest i zbiór sprzed lat plus kilkanaście opowiadań rozproszonych po czasopismach i zbiorach (głównie NK). Pamiętajcie więc łaskawie, gdy w chwale dociągniecie Wasze noty bio do U (jak Umiński), by i o mnie linijki trzy zamieścić. Przyszła mi do głowy taka koncepcja: czy ciekawiłaby Was krótka rozprawka-esej, no powiedzmy, „Gdy życie stało się SF". Otóż jacht, którym płynę, zbudowany z tworzywa teflon („kosmicznej" stali SIT), jest prowadzony (pod dakronowymi żaglami) przez nawigację satelitarną TRANSIT, czerpiąc energię z krzemowych ogniw słonecznych. Osmoza dostarcza mi wody, liofilizowane są moje zapasy. Gdy się nudzę, rozgrywam partię szachów z elektronicznym przeciwnikiem, Borysem. Radarowy reflektor strzeże mnie nocą, w dzień chłodzi freonowa sprężarka...

Andrzej Urbańczyk

Długi list, mogłem dać tylko fragment, ale jakie to pasjonujące. Oczywiście zamówiliśmy tekst. Ilekroć sięgam po korespondencję, aby animować dyskusję między Czytelnikami a redakcją, tylokrotnie wyczekuję z biciem serca na teksty ciekawe, pełne fantazji, pełne życia, zadziorne. I zawsze się coś znajdzie. Listem pisarza, podróżnika i fantasty rozpocząłem dzisiejsze „Lądowanie". Następne fragmenty korespondencji zawdzięczam zadziornym i złośliwym miłośnikom i krytykom naszego pisma.

Marnujecie papier na Seksmisję

...Ewidentnie marnujecie panowie papier na fotosy z filmów typu „Seksmisja". Film ten zapewne obejrzy każdy fan. Więc po co – reklamy obraz nie wymaga, miejsca w numerze nie ma za dużo, dlatego lepiej byłoby dać nam jakąś ilustrację, grafikę, komiks, coś w każdym razie do czego nie ma dostępu na co dzień... Drukowanie fragmentów większych utworów i tylko fragmentów jest najlepszym sposobem na zwiększenie liczby wrzodowców i zawałowców w PRL. A druk fragmentu „Odysei 2001" jest zupełnym pudłem. Kto widział film – ma w nosie ten króciutki urywek, kto nie widział – i tąk niczego nie zrozumie...

***Barbara Walicka** z Żor*

Tracicie dużo miejsca w piśmie na nędzne bazgroły. Dawajcie znanych rysowników polskich i zagranicznych, dużo częściej niż co kilka numerów. Także te plakaty w kioskach mogłyby być lepsze.

***Paweł Ostaszczka** z Garwolina*

Nie lubię komiksu i M. Parowski nie przekonał mnie do niego.

***Marek Wierzbicki** z Łodzi*

Chciałbym się wypowiedzieć w sprawie plakatów, których numery 1,2,3,5 można już kupić. Otóż są one brzydkie. Dlaczego wybraliście takie rysunki? Czy mogę je pokazać znajomym, nie znającym fantastyki? Toż ośmieszę gatunek i siebie. Proszę, aby następne plakaty przedstawiały sceny z fantasy lub z dobrej fantastyki naukowej. Podaję pozytywne przykłady z Waszego miesięcznika: str. 1 nr 4/84, str. 5 nr 3/84, str. 35 nr 11–12/83, str. 79 z 11–12/83, str. 22 nr 10/83, str. 16 nr 9/83 i str. 47 nr 2/82. Uff, przekartkowałem wszystkie wydane dotychczas „Fantastyki" i tylko tyle ilustracji powiesiłbym na ścianie. I jeszcze jedno: poezja zniknęła – przywrócić!

Marek Osipowicz
(student, lat 21) z Rzeszowa

Zaczęły się pokazywać plakaty „Fantastyki". Zbyt podobne do siebie kolorystycznie i w sumie dość niskich lotów. Brawa jednak za inicjatywę. Zamiast plakatów czy nie lepiej byłoby drukować okładki książek tych powieści, które drukujecie? Piękne z pożytecznym.

***T. Szymański** z Pińczowa*

Nareszcie postery czy afisze. Tylko że trochę za małe, ale niektóre interesujące. Najpierw wybrzydzałem, potem spróbowałem powiesić, przykleić do ściany. I – czekam na dalszy ciąg serii! Zawsze tak będzie, że jedne lepsze, a drugie gorsze. W tym wypadku pierwsze były gorsze, każdy następny już lepszy.

***Jacek Rajtoch** z Krakowa*

Z plakatów jedynie dwa zasługują na pozytywną ocenę – 1 i 5. Może jeszcze egzemplarz z siedzącym człowiekiem z otwartą klatką piersiową i elektronicznymi mechanizmami zamiast płuc na coś się nadaje...

***Piotr Ulos** z Wesołej k. Warszawy*

Więc zaczyna się ostra dyskusja w sprawie posterów, afiszy, czy plakatów – jak kto woli. Podjęliśmy próbę urzeczywistnienia obietnicy danej Czytelnikom zaraz na początku naszej egzystencji na rynku. Jak się okazuje, sprawa nie jest prosta. Oczywiście, wszystkim nie dogodzimy. Następne egzemplarze naszej serii będziemy jeszcze staranniej dobierać, a dobór dotychczasowy był również ostry. Miał cechy zamkniętego konkursu, rozpisanego między tymi artystami, którzy decydują się na ilustrację typu fantastycznego. Różne z tego rzeczy wyszły. Jedne lepsze, drugie drażniące. Dyskusja będzie trwać.

Nowy klub – brawo!

Kierownictwo Referatu Kulturalno-Oświatowego Wojewódzkiego Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej Chorób Płuc w Sokołowsku uprzejmie informuje, że w dniu 3 maja 1984 r. na posiedzeniu Młodzieżowej Rady Kultury został utworzony Klub Miłośników Fantastyki. Tym samym deklarujemy swoją chęć współpracy z Waszym miesięcznikiem, jednocześnie zwracając się z prośbą o przesłanie informacji organizacyjnych. Klub Miłośników Fantastyki skupia w chwili obecnej 6 osób, które były stałymi czytelnikami Waszego miesięcznika. Wśród nich jest również osoba parająca się twórczością pisarską oraz 3 osoby należące do Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej. (...) Ponadto od 22 maja br. pragniemy wydawać gazetę zakładową „Eskulap", w której m.in. jeden dział poświęcamy fantastyce. (...)

Ewa Szychowiak i Arkadiusz Bożek

Przyjmujemy Was oczywiście serdecznie do rodziny miłośników SF i zwolenników naszego pisma. Witamy. Współpracę z Waszym autonomicznym klubem wyobrażamy sobie jako uwagi pod naszym adresem (o tym co wam się podoba, a co nie w miesięczniku), jako notatki o waszym życiu klubowym – zebraniach dyskusyjnych poświęconych książkom, które czytacie, utworom jakie sami pisujecie. Ciekawi nas również dział fantastyki w waszej zakładowej gazecie „Eskulap". Myślę również, że od czasu do czasu będziemy się mogli z Wami spotkać, że nasz przedstawiciel Was odwiedzi. Prosimy o kontakt.

Redaktor


Joker

W polskiej krytyce literackiej pojęcie „fantasy" po prostu nie istnieje. Co prawda, pisał o nim przed laty Stanisław Lem, później Marek Wydmuch, Andrzej Zgorzelski, Maria Edelson – jednak były to krótkie wzmianki, prace rozpoczęte i nie dokończone. W „Słowniku terminów literackich" nie ma definicji „fantasy"; jest „fantazja" i „fantastyka", ale przecież nie o to chodzi.

FANTASY

Tymczasem w krytyce anglosaskiej o „fantasy" mówi się pełnym głosem. Bibliografie notują kilka książek poświęconych choć w części temu gatunkowi: „Theological Essay on Festivity and Fantasy" (1970) Harvey Coxa, „The Game of the Impossible: A Rhetoric of Fantasy" (1976) W. R. Irwina, „Introduction" in „The Moonlight Traveler: Great Tales of Fantasy and Imagination" (1943) Ph. Van Doren Sterna, „Modern Fantasy" (1975) C. N. Manlove'a. O „fantasy" piszą teoretycy science fiction: Robert Scholes, Eric Riabkin, Spraque de Camp, Sam Moskovitz, Brian Aldiss, Sam Lundvall i Marc Angenot. Ale mają też o czym pisać. Dość powiedzieć, że nader pobieżna, niepełna lista autorów anglosaskich obejmuje około 80 nazwisk. Są wśród nich prawdziwi potentaci gatunku, którzy stworzyli w sumie kilkaset utworów: Edgar Rice Borroughs, James Branch Cabell, Lyon Spraque de Camp, Philip Jose Farmer, Robert Ervin Howard, Katherine Kurtz, Fritz Leiber, Patricia A. Mc Killip, Michael Moorcock, Andre Norton, Ernest Bramah Smith, Thomas Burnett Swann, John Reuel Tolkien i Twence Hanbury White. Są również inni – znani lub mniej znani z historii science fiction: Brian Aldiss, Poul Anderson, James Blish, Italo Calvino, Gordon Dickson, James Gunn, Robert Anson Heinlein, Frank Herbert, Tanith Lee, Ursula Le Guin, Robert Silverberg, Clifford Simak, John Vance, Alfred Van Vogt, Roger Zelazny.

No dobrze, ale czym jest właściwie gatunek „fantasy"? Fantasy to rodzaj „b a ś n i l i t e r a c k i e j", w której, jak twierdzi Lem – rozwijając tezy Rogera Caillois – „*dopuszczalne są zastrzyki losowości naruszające schematy dobra i zła, schedę baśni klasycznej*". Jest to świat, w którym zdarzają się przypadki, tak jak w rzeczywistości, gdzie zły los nie jest przesłanką rychłej naprawy. „*Fantasy to taka baśń, której mechanizm nie musi być deterministyczny, jest to gra o niezerowej sumie, baśń, w której odnaleziony skarb może okazać się fałszywy, a sierota wygnana do lasu przez macochę pójdzie do kryminału za podrabianie pieniędzy*".

Mniej sugestywnie, ale równie wymownie definiuje „fantasy" amerykański krytyk Robert Scholes: „*Fantasy to rodzaj fikcji, która oferuje nam świat prosty w regułach i radykalnie odmienny od naszego, lecz zarazem umożliwiający lepsze poznanie świata istniejącego*". I dalej: „*Wielu ludzi sądzi, że „fantasy" to rodzaj nierzeczywistości. Zgoda. Ale przecież cała fikcja literacka jest rodzajem nierzeczywistości. Chodzi o coś innego. Świat „20 000 mil podwodnej żeglugi" mógłby w zasadzie istnieć. Fantasy – w żadnym wypadku. Kiedy Alicja odkrywa, że kwiaty mówią, stwierdza, iż znalazła się w świecie fantastycznym. Powieść Verne'a to science fiction, książka Lewisa Carrola to fantasy. Prawdziwa fantasy korzysta z fantastyki w sposób nieukrywany, prosty, bezpośredni*". Scholes nie jest w swoich wywodach osamotniony. Sekunduje mu Tolkien, ów szacowny brytyjski literaturoznawca, który „zhańbił się" kiedyś publikacją najsłynniejszej „fantasy" świata. Autor „Władcy Pierścieni" pisze: „Fantasy to naturalna *forma aktywności ludzkiej*". Mocne słowa. Zważmy jednak przez kogo wypowiedziane.

Właściwa historia „baśni literackiej" liczy sobie lat kilkadziesiąt, choć za właściwych prekursorów gatunku uznaje się czasem Poego, Lovecrafta... Twaina, Voltaire'a, Sheridana Le Fanu. Anglosaskie narodziny „fantasy" przypadają na lata dwudzieste i przebiegają pod dyktando literatury popularnej. Tworzą wówczas: Edgar Rice Borroughs – autor opowieści o Tarzanie („The Mars or Barsoom Series" – seria przygód Johna Cartera na Marsie składająca się z 11 utworów pisanych w latach 1917–1940), James Branch Cabell („The Biography of the Life of Manuel" – 20 utworów datowanych na lata 1919 – 1922) i Ernest Bramah Smith (cykl przygód o Kai Lungu działającym w fikcyjnych Chinach zamieszkałych przez smoki, upiory i magiczne postacie – 7 utworów z lat 1900–1940). Wymienieni autorzy znajdują licznych naśladowców, którzy dają początek heroicznej odmianie fantasy („h e r o i c f a n t a s y"). Jej akcja opisuje przeżycia człowieka o ogromnej sile fizycznej, rozgrywa się na Ziemi i innych planetach, bądź w przestrzeni międzyplanetarnej. Prawdziwym mistrzem „heroic fantasy" był niegdyś Robert Ervin Howard (1906–1936), autor cyklu o barbarzyńskim herosie Conanie żyjącym w mitycznej Anglii (cykl ten doczekał się również ekranizacji: „Conan der Barbar" (1982) – reż. John Milius). Kontynuowali go później tak znani autorzy, jak L. Spraque de Camp i Lin Carter, a po wielu latach został sparodiowany przez Poula Andersona.

Fantasy to jednak nie tylko przygody dzielnych supermanów, którzy wnoszą ład w niezmierzony chaos Wszechświata. Feeria rekwizytów i kostiumów składa się na odmianę „S w o r d s a n d S o r c e r y" („miecza i czarów") rozsławioną „Władcą Pierścieni" J. R. Tolkiena. Czary i magia wykorzystywane w zmaganiach Dobra i Zła nie mają nic wspólnego z motywacją naukową. Laser zostaje zastąpiony przez miecz, naukowcy przez czarnoksiężników. Przykładem może służyć cykl Fritza Leibera: „Swords Against Wizardry", „Swords in the Mist", „Swords of Lankhmar" (1968).

I wreszcie najciekawsza odmiana „baśni literackiej", tzw. „s c i e n c e f a n t a s y", która użycie rekwizytów baśniowych tłumaczy przesłankami naukowymi. Autorkę znamy doskonale – jest nią Ursula Le Guin, córka Theodory Kroeber pochodzącej z polskiej rodziny Krakowów (zob. „Fantastyka" 8/84). Powieść „Czarnoksiężnik z archipelagu", będąca pierwszym tomem trylogii „The Earthsea", to rodzaj „fantasy ułomnej", w której magia – wykorzystana nieświadomie – może wyrządzić więcej szkód aniżeli pożytku, a czarodzieje nierzadko przegrywają walkę o życie powodowani wygórowaną ambicją, chęcią przewodzenia światu. Zbliżenie science fantasy do literatury nurtu głównego sprawia, że może ona przejmować funkcje hipotezotwórcze opisując prawdopodobne losy człowieka w przeszłości (A. Rosny – „Walka o ogień"; powieści Hamiltona). Umiejętność „czarów" wynika częstokroć z różnego rodzaju mutacji – ingerencji kosmicznych przybyszów (opowieści E. Lewellyna i in.). Zdaniem Heinleina ten typ „fantasy" bliski jest prozie science fiction, choć różni się od niej w kilku zasadniczych punktach – wątpiąc nie tylko w hipotezy (SF), co w stwierdzone fakty, zaprzeczając rzeczywistości naszego świata.

Gwoli sprawiedliwości odnotujmy, że wewnętrznych podziałów gatunku jest znacznie więcej. I tak na przykład autorzy antologii „Dark Imagining" (1978) – Robert H. Boyer i Kenneth J. Zahorski wiążą „baśń literacką" z powieścią grozy pisząc o „g o t h i c h i g h f a n t a s y" (R. E. Howard, C. L. Moore, F. Leiber, P. Anderson, U. Le Guin) oraz „g o t h i c l o w f a n t a s y" (A. Conan Doyle, A. Blackwood, H. P. Lovecraft, R. Bradbury, P. Beagle). W innej antologii „high fantasy" tych samych autorów („The Fantastic Imagination", 1977) znajdujemy nazwiska pisarzy operujących „*wątkami kosmicznymi i silnymi charakterami*": C. S. Levina, S. Warnera i... Johana Ludwiga Tiecka. Niepoważne? Być może, ale pamiętajmy, że do grona science fictioneerów zalicza się czasem Bruno Schulza, Franza Kafkę i Tomasza Manna (tego ostatniego za... kreację diabła w „Doktorze Faustusie").

Czy warto pisać o „fantasy"? Sądzę, że tak. Trzeba pisać o „fantasy" jako o pewnym zjawisku socjologicznym, którego zasięg przekracza granice wybranego obszaru językowego. Antologie gatunku idą dzisiaj w dziesiątki. Mało tego – to co wydaje się ostatnio pod hasłem "SF" jest nierzadko zaszyfrowaną odmianą „fantasy". W wielu krajach powstają kluby zwolenników tej prozy, które dysponują niezłym rozpoznaniem w fantastycznej rekwizytorni – mają swoje symbole, kolekcje, eksponaty.

Dlaczego? Co decyduje o szalonym powodzeniu zjawiska? Czy jest tak, że literatura współczesna nie może uporać się z problemami, które doprowadziły ludzkość na krawędź zagłady grożącej wszystkim – natychmiast i nieodwołalnie? Czy w obliczu owej katastrofy wszelkie przewidywania, prognozy straciły sens? Powróciwszy do naszej historii zaczęliśmy z jakąś podejrzliwością przypatrywać się samym sobie: wszak „fantasy" sięga przede wszystkim do legend, mitów, sag, opowieści heroicznych – a dopiero później do baśni ludowych. Literatura zmierzchu XX stulecia? Votum separatum wobec mocy kreacyjnych nauki? Rozczarowanie wobec jej perspektyw, jakże często zawodnych i iluzorycznych – wypowiedzenie służby scjentyzmowi, który zachwiał systemem norm, spowodował spiętrzenie pytań, a jednak nie rozwiązał „przeklętych problemów filozoficznych"? Nauka nie stanowi dziś systemu integrującego – raczej rozbija niż scala, potrzeba syntezy jest jednak niesłychanie silna. Człowiek poszukuje Absolutu i jeśli nie może go znaleźć zadowala się jego namiastkami. Konieczność scalenia to nie tylko próba powrotu do magii będącej odmiennym sposobem poznawania świata, ale także do źródeł ładu moralnego, triumfu dobra nad złem. Nieprzypadkowo drobna, lecz silna dłoń Alicji przeciąga „*biedny, udręczony glob na drugą stronę rzeczywistości*".

A może... sprawa jest znacznie prostsza? Może współczesna fantasy to tylko wspaniały relaks po śmiertelnie poważnym okresie dominacji science fiction? Może jest odpowiedzią na znużenie, przesycenie cudowną techniką, patosem wykładów dobiegających z kabin Kosmokratorów? W jednej z książek Strugackich widnieje Żelazny Mur, który oddziela Świat Wyobraźni Humanistycznej od Świata Strachu Przed Przyszłością. Może fantasy uparła się, aby ten mur zburzyć?

Zstąpmy na ziemię. Literatura nurtu głównego, ignorująca historie o księżniczkach i herosach Kosmosu, literatura zaangażowana, wysforowana naprzód w swym awangardyzmie stała się nazbyt trudna dla wielu czytelników spragnionych prostej fabuły, przygody, nowego „mitu pogranicza" na miarę XX stulecia. Baśń literacka jest rodzajem katharktycznego oczyszczenia po codziennym piekle udręki, wiecznym kołowrocie wydarzeń. Jest jedyną nadzieją, że życie ma swój sens, a dobro w końcu zatriumfuje.

Andrzej Niewiadowski

Reguła Nazwisk

(The Rule of Names)

Ursula Kroeber Le Guin

Pan Podgórny uśmiechając się i dysząc ciężko wyszedł spod swojego wzgórza. Każdy oddech wydobywał z jego nozdrzy strumień pary, tworzący w promieniach porannego słońca biały obłoczek. Podniósł oczy na jasne grudniowe niebo i uśmiechnął się szerzej niż zwykle, ukazując śnieżnobiałe zęby. Ruszył w dół do miasteczka.

– Dzień..., Panie Podgórny – pozdrawiali go mieszkańcy, gdy mijał ich na wąskiej uliczce pomiędzy dwoma rzędami domów, pokrytych stożkowatymi, przypominającymi czerwone kapelusze muchomorów dachami.

– Dzień..., Dzień! – odpowiadał wszystkim. Życzenie komukolwiek d o b r e g o dnia mogłoby przynieść pecha – w miejscu takim jak Wyspa Sattins, jakże podatnym na Wpływy, niefortunnie dobrany przymiotnik mógł zmienić pogodę na cały tydzień. Proste określenie pory doby było całkowicie wystarczające.

Wszyscy mu odpowiadali – jedni z szacunkiem, inni z szacunkiem i lekceważeniem zarazem. Był dla tej wsi kimś w rodzaju czarnoksiężnika, a zatem należało mu się poważanie – ale jakże można było poważać małego, grubego, pięćdziesięcioletniego człowieczka, który chodził stawiając stopy do wewnątrz, kołysząc się jak kaczka i z nieodłącznym uśmiechem na ustach wydychał strumienie pary? Jako człowiek czynu także nie był doskonały. Jego ognie sztuczne były rzeczywiście wspaniałe, ale już eliksiry jego wyrobu – słabiutkie. Kurzajki, które odczyniał, często wracały już po trzech dniach, a pomidory, które zaczarował, rosły zaledwie do wielkości kantalupa. Zaś jeśli jakiś obcy statek zawijał do portu na wyspie, a zdarzało się to nieczęsto, Pan Podgórny zawsze chował się pod swoim wzgórzem – z obawy przed urokiem, jak powiadał. Innymi słowy był tak dobrym czarnoksiężnikiem, jak dobrym cieślą był zezowaty Gon – był nim z braku innego. Wszyscy pogodzili się zarówno z tym, że drzwi w ich domostwach nie pasują do otworów wejściowych, jak i z tym, że zaklęcia Pana Podgórnego są nieskuteczne i jedynie swym zachowaniem wyrażali rozdrażnienie, traktując go poufale jak zwykłego wieśniaka. Zdarzało im się nawet zapraszać go na obiad. Pewnego razu on sam zaprosił kilku z nich i podał im wspaniały posiłek – wśród zastawy ze srebra i stali damasceńskiej i kryształowych naczyń ugościł ich pieczoną kaczką i musującym Andradesem rocznik 639, a na koniec śliwkowym budyniem z sokiem. W trakcie posiłku był jednak tak niespokojny, że pozbawił swych gości całej przyjemności jedzenia. Ponadto, już w pół godziny po obiedzie wszyscy byli głodni. Zwykle nie życzył sobie, by ktokolwiek odwiedzał jego jaskinię – nawet jej przedsionek, którego jeszcze nikt nigdy nie przekroczył. Zawsze gdy spostrzegł, że ktoś zbliża się do wzgórza wybiegał truchtem na jego spotkanie. „Usiądźmy sobie pod tymi sosnami!" – zwykł mówić z uśmiechem, machając dłonią w kierunku gaju jodłowego. Gdy padał deszcz proponował: „Chodźmy do karczmy na jednego, co?" – mimo, że wszyscy wiedzieli, iż nie pijał niczego mocniejszego od wody źródlanej.

Zamknięta jaskinia podrażniła ciekawość kilkorga malców z miasteczka i kiedy Pana Podgórnego nie było w pobliżu, wybrali się do jego siedziby i usiłowali przeniknąć wzrokiem w głąb jaskini, ale małe drzwiczki broniące dostępu do pomieszczenia wewnątrz jaskini były zamknięte czarami i były to chyba jedyne skuteczne czary Pana Podgórnego. Innym razem dwaj chłopcy, przekonani, że czarnoksiężnik udał się na Zachodnie Wybrzeże, by leczyć chorego osła pani Ruuna, przynieśli ze sobą żelazny łom i siekierę, ale już po pierwszym uderzeniu w drzwi posłyszeli dochodzący z wewnątrz gniewny ryk i ujrzeli wydobywającą się zza drzwi chmurę purpurowego dymu. Pan Podgórny musiał wrócić wcześniej, niż się spodziewali. Chłopcy uciekli w popłochu. Nic im się nie stało, ale potem upierali się, że nikt, kto sam tego nie usłyszał, nie uwierzyłby jaki straszny, jękliwy, syczący, gwiżdżący ryk ten mały tłusty człowieczek potrafi z siebie wydać.

Miał dziś kilka spraw do załatwienia w miasteczku: kupno trzech tuzinów świeżych jaj i funta wątroby, wizyta w domu kapitana żeglugi morskiej, gdzie zamierzał ponowić próbę odczarowania choroby oczu tego starca (beznadziejny przypadek odklejenia siatkówki, niemniej jednak Pan Podgórny robił, co w jego mocy), i w końcu pogawędka ze starą Goody Guld – wdową po wytwórcy harmonii ręcznych. Jego przyjaciółmi byli w większości ludzie w podeszłym wieku. On sam czuł się niepewnie w towarzystwie młodych, silnych mężczyzn, a z kolei młode dziewczyny ogarniała nieśmiałość na jego widok. „Denerwuję się, gdy go spotykam; on się stale uśmiecha" – mówiły z kwaśną miną, owijając wokół palca kędziorek połyskliwych włosów. „Denerwować się" było nowym wyrażeniem i wszystkie matki komentowały ponuro: „Denerwować się! Coś takiego! Głupota jest tu najodpowiedniejszym słowem. Pan Podgórny jest niezwykle godnym szacunku czarnoksiężnikiem!"

Rozstawszy się z Goody Guld, Pan Podgórny przechodził obok szkoły. Zajęcia odbywały się na błoniach. Ponieważ na Wyspie Sattins nikt nie umiał ani czytać, ani pisać, nie istniały żadne książki do nauki, żadne ławki z pulpitami, na których można by wydłubać swój monogram, żadne tablice, które można by wycierać i w zasadzie żaden budynek szkolny. W dżdżyste dni dzieci spotykały się na poddaszu Stodoły Komunalnej, gdzie źdźbła siana czepiały się ich portek. W dni słoneczne nauczycielka Palani zabierała je, gdzie jej się podobało. Dziś, otoczona przez trzydziestkę zainteresowanych nauką dzieci poniżej dwunastu lat i czterdziestkę nie zainteresowanych nauką owieczek poniżej pięciu lat, uczyła niezwykle istotnego zagadnienia ujętego w programie szkolnym: Reguły Nazwisk.

Uśmiechając się nieśmiało Pan Podgórny zatrzymał się, by popatrzeć i posłuchać lekcji. W promieniach zimnego słońca Palani, pulchniutka i ładniutka dwudziestolatka wyglądała jak z obrazka – z gromadką owieczek i dzieci wokół siebie, z bezsilnym dębem ponad głową, z wydmami i morzem za sobą i na tle czystego, bladego nieba. Jej twarz pokryła się rumieńcem na skutek smagnięć wiatru i treści wypowiadanych z namaszczeniem słów.

– Poznałyście już Reguły Nazwisk. Istnieją dwie i są takie same na każdej wyspie świata. Jaka jest pierwsza z nich?

– Nieładnie pytać kogoś o nazwisko – krzyknął bystry grubasek, któremu natychmiast piskliwie przerwała mała dziewczynka.

– Mama mówi, że nie może się mówić nikomu swoje imie.

– Tak, Suba. Tak, Popi kochanie, nie wydzieraj się. Dobrze. Nigdy nie pytaj nikogo o imię. Nigdy nie podawaj swego. A teraz pomyślcie minutkę nad tym i powiedzcie mi, dlaczego nazywamy naszego czarnoksiężnika Panem Podgórnym. – Uśmiechnęła się ponad kędzierzawymi głowami i wełnistymi grzbietami do Pana Podgórnego, który rozpromienił się i nerwowo schwycił worek z jajkami.

– Bo mieszka pod górką! – odparła połowa dzieci.

– A czy to jego prawdziwe nazwisko?

– Nie – odparł grubasek, a mała Popi zawtórowała piskliwie: – Nie!

– A skąd wiecie, że nie?

– Bo przybył do nas samiuteńki, więc nie było nikogo, co by mógł powiedzieć jego prawdziwe nazwisko, a on sam nie mógł.

– Bardzo dobrze, Suba. Popi, nie drzyj się. Bardzo dobrze. Nawet Czarnoksiężnikowi nie wolno podać swojego imienia. Kiedy ukończycie szkołę i przejdziecie Egzamin, przestaniecie używać swych dziecięcych imion i zachowacie tylko swe prawdziwe nazwiska, o które nie wolno wam nigdy pytać i których nie wolno wam nigdy wyjawić. Dlaczego to jest reguła?

Dzieci milczały. Owce pobekiwały cichutko.

Pan Podgórny odpowiedział na postawione pytanie:

– Ponieważ nazwisko jest rzeczą – powiedział swym nieśmiałym, cichym, matowym głosem – a prawdziwe nazwisko jest

prawdziwą rzeczą. Wymówić takie nazwisko to znaczy mieć władzę nad tą rzeczą. Czy mam rację, Pani Nauczycielko?
Uśmiechnęła się i ukłoniła, wyraźnie speszona jego udziałem w lekcji, a on oddalił się drobnym kroczkiem przyciskając worek z jajkami do siebie. Jakoś ta minuta spędzona na przyglądaniu się Palani i dzieciom sprawiła, że zgłodniał. Zamknął drzwi do wewnętrznego pomieszczenia w jaskini za pomocą pośpiesznych zaklęć, ale magiczne słowa musiały być niezupełnie szczelne, bowiem już po chwili pusty przedsionek jaskini wypełnił się po brzegi aromatem smażonych jaj i skwierczeniem wątróbki.

Tego dnia wiał od zachodu łagodny i świeży wiatr i w południe na jego skrzydłach, ślizgając się po połyskujących falach zatoki, przybyła do Portu Sattins mała łódka. Pewien chłopiec o sokolim wzroku spostrzegł ją już wtedy, gdy dopiero opływała odległy cypel i ponieważ, jak każde dziecko na wyspie, potrafił doskonale rozpoznać każdy żagiel i każdy maszt czterdziestu łodzi, należących do floty rybackiej Wyspy Sattins, pobiegł ulicą do miasteczka krzycząc na całe gardło:
– Obca łódź, obca łódź!
Niezwykle rzadko na samotną Wyspę Sattins przybywała łódź z innej, równie samotnej wyspy na Morzu Wschodnim, bądź jakiś żądny przygód kupiec z Archipelagu. Nim łódź dobiła do przystani, połowa mieszkańców miasteczka wybiegła na spotkanie żeglarza. Żaglówka wpływała do portu eskortowana przez łodzie rybackie z wyspy, a pastuszkowie, zbieracze ślimaków i zielarze sapiąc wspinali się na nadmorskie skałki i wyciągali szyje w kierunku portu.

Jednak drzwi do jaskini Pana Podgórnego pozostały zamknięte. Na pokładzie łodzi znajdował się tylko jeden człowiek. Kiedy powiedziano o tym staremu Kapitanowi Żeglugi Morskiej Fogeno, ten ściągnął ponad niewidzącymi oczami szczecinę siwych brwi i rzekł:
– Jest tylko jeden typ człowieka, który żegluje samotnie po otaczających nas morzach. To czarnoksiężnik, czarownik albo mag...

Mieszkańcy miasteczka z zapartym tchem czekali na moment, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczą Maga, jednego z tych potężnych Białych Magów zamieszkujących bogate, pełne wspaniałych zamków i gęsto zaludnione centralne wyspy Archipelagu. Jakież było ich rozczarowanie, gdy podróżnik okazał się być dość młodym, czarnobrodym, przystojnym mężczyzną, który pozdrowiwszy ich radośnie ze swej łodzi, wyskoczył na brzeg, zadowolony, jak każdy inny żeglarz w takiej chwili, że dobił do portu. Przedstawił się jako żeglujący wędrowny handlarz, kiedy jednak powiedziano Kapitanowi Żeglugi Morskiej Fogeno, że ma ze sobą dębową laskę, stary wilk morski chrząknął i rzekł:
– Dwóch czarnoksiężników w jednym mieście. Niedobrze! – i zatrzasnął usta jak stary karp.

Ponieważ obcy nie mógł wyjawić im swego imienia, szybko wymyślono dlań przezwisko: „Czarnobrody". Natychmiast znalazł się w centrum uwagi mieszkańców. Miał ze sobą nieduży ładunek rozmaitych towarów: a to tkaniny, a to sandałki, a to ptasie piórka do zdobienia ubrań, a to znowu niedrogie maleńkie i leciutkie kamyczki, jako też cudowne zioła i wspaniałe szklane paciorki z Venway – ot zwykły kupiecki towar. Każdy z mieszkańców Wyspy Sattins przychodził na to popatrzeć, pogawędzić z podróżnikiem i częstokroć kupić coś niecoś. „Ot tak, na pamiątkę jego wizyty!" – gadała Guld, którą, jak wszystkie kobiety i dziewczęta w mieście urzekła śmiała uroda gościa. Również chłopcy kręcili się wokół niego, słuchając chętnie opowieści o jego dalekich podróżach do niezwykłych wysp, o wspaniałych, bogatych wyspach Archipelagu, o redach z wieloma statkami i o złotych dachach Havnoru. Mężczyźni także z ochotą słuchali tych opowieści, ale jednocześnie niektórzy z nich, zastanawiając się dlaczego ten kupiec podróżuje samotnie, z uwagą przyglądali się jego dębowej lasce.

Przez cały ten czas Pan Podgórny przebywał pod swoją górą.
– To pierwsza wyspa, wśród tych, które widziałem, nie posiadająca żadnego czarownika – powiedział pewnego wieczoru Czarnobrody do Goody Guld, która zaprosiła go wraz ze swoim bratankiem i z Palani na filiżankę herbaty z sitowia. – Co robicie, gdy bolą was zęby, albo krowa traci mleko?
– Przecież mamy Pana Podgórnego! – odparła stara kobieta.
– A co on jest wart? – mruknął jej bratanek Birt, po czym zaczerwienił się i rozlał swą herbatę.
Birt był rybakiem – potężnym, odważnym, niewygadanym, młodym mężczyzną. Kochał się w nauczycielce, ale nie śmiał powiedzieć jej o swojej miłości i raz tylko, chcąc dać jej to do zrozumienia, ośmielił się podarować kosz świeżej makreli kucharce jej ojca.
– Och, więc jednak macie czarnoksiężnika? spytał Czarnobrody. –
– Czy jest niewidzialny?
– Nie, tylko bardzo nieśmiały – odparła Palani. – Jesteś tu zaledwie od tygodnia, a my widujemy tu tak niewielu obcych... – Ona też zarumieniła się, ale nie wylała swej herbaty.
Czarnobrody uśmiechnął się do niej.
– Jest zatem dobrym Sattinsnianinem, czy tak?
– Nie – odrzekła Goody Guld. – Nie bardziej niźli ty. Napijesz się jeszcze bratanku? – zwróciła się do Birta. – Tym razem nie rozlej.
– Nie, mój drogi – zwróciła się ponownie do Czarnobrodego. – Przypłynął w maleńkiej łupinie, będzie jakie cztery roki wstecz, dokładnie w dzień po zakończeniu połowów złotośledzia, o ile mnie pamięć nie zawodzi, bo oni dopiero co wybierali sieci we Wschodniej Zatoce, a pastuch Condi w tamto rano złamał nogę – to musi było pięć roków nazad. Nie, cztery. Nie, pięć, bo to był ten rok, co czosnek nie wzeszedł. Więc, płynie w tej swojej łupinie, a ona wyładowana po brzegi wielkimi skrzyniami i pudłami, i mówi do Kapitana Żeglugi Morskiej Fageno, co natenczas nie był jeszcze ślepy, a był już tak stary, że mógł już dobre dwa razy oślepnąć: „Dowiedziałem się – mówi – że nie macie żadnego czarownika ani magika. Może byście chcieli go mieć?" „No pewnie, o ile to biały magik!" – odpowiedział Kapitan i zanim się kto obejrzał Pan Podgórny osiedlił się w jaskini pod wzgórzem i zabrał się do odczarowywania parchów z kota Goody Beltow. To był rudy kot, a futro co odrastało było szare. Dziwacznie to wyglądało. Zdechł w ostatnią zimę w czasie mrozów. Goody Beltow strasznie się martwiła, gdy ten kot zdechł, biedactwo – bardziej nawet niż wtedy, co jej chłop utopił się przy Długim Wybrzeżu w roku długich połowów śledzia, kiedy bratanek Birt był jeszcze w pieluchach.

Na te słowa Birt znowu rozlał swą herbatę, a Czarnobrody uśmiechnął się rozbawiony, ale Goody Guld zupełnie nie zbita z tropu mówiła dalej – aż do zmierzchu.

Następnego dnia Czarnobrody był na przystani i naprawiając uszkodzony pokład, co zabierało mu dość dużo czasu, jak zwykle wciągał małomównych Sattinsnianinów w rozmowę.
– Która z tych łodzi to dzieło waszego czarnoksiężnika? – pytał. – A może on ma taką łódź, jaką mają Magowie, to znaczy taką, którą można złożyć i schować do łupiny orzecha kiedy się jej nie używa?
– Nii... – odparł flegmatyczny rybak. – Ma jom u siebie w groci, pod górom.
– Tę łódź, w której przypłynął, zaniósł do jaskini?
– No. Zaniósł. Ja żem pomagał. Była bardziej cieńżka niż ołów. Pełno tam było wielgich kufrów. On mówił, że tam som ksiengi z zaklenciami. Bardziej cieńżka niż ołów, taka była. – Flegmatyczny rybak odwrócił się i westchnął flegmatycznie.
Bratanek Goody Guld, naprawiający nieopodal sieć, podniósł wzrok znad swego zajęcia i zapytał równie flegmatycznie:
– A może chcesz spotkać się z Panem Podgórnym?
Czarnobrody odpowiedział wzrokiem na spojrzenie Birta. Na

Ursula KROEBER LE GUIN

Urodziła się w 1929 r. w Berkeley w Kalifornii. W 1951 r. ukończyła uczelnię w Radcliffe uzyskując stopień Bachelor of Arts, a w 1952 zdobyła w University of Columbia stopień magistra nauk humanistycznych (Master of Arts). Podczas dalszych studiów w Paryżu, które odbyła jako stypendystka fundacji Fulbrighta, poznała i poślubiła historyka Charlesa A. Le Guin. Mimo że znana jest przede wszystkim jako pisarka, zyskała też sobie duże uznanie za pracę w charakterze nauczyciela akademickiego w Literackich Warsztatach Pisarzy Science Fiction w University of Washington. Państwo Le Guin mieszkają z trójką swoich dzieci w Portland w stanie Oregon.
Chociaż Ursula Le Guin podkreśla fakt, że zaczęła tworzyć literaturę z gatunku SF i fantasy już w wieku lat sześciu, prawdziwy sukces w zawodowym pisarstwie przyniosła jej dopiero publikacja jej pierwszej powieści pt. **„Rocannon's World"** (1964). W ślad za nią ukazały się kolejne pozycje m.in.: **„Planet of Exile"** (1966), **„City of Illusions"** (1971), **„The Dispossessed"** (1974), **„The Worlds for World is Forest"** (1976), **„Malafrena"** (1979). Najlepszą rekomendacją wysokiej wartości jej prac z gatunku SF niech będzie fakt, że w 1970 r. **„The Left Hand of Darkness"** została wyróżniona dwiema nagrodami – Nebula Award i Hugo Award – najwyższymi wyróżnieniami, jakie może otrzymać literat z kręgu SF.
W obrębie gatunku fantasy Ursula Le Guin wydała entuzjastycznie przyjętą przez krytykę trylogię **„Earthsea Trilogy"**, na którą składają się: **„A Wizard of Earthsea"** (1968), **„The Tomb of Atuan"** (1972) oraz **„The Farthest Shore"** (1972).
W 1968 r. Ursula Le Guin otrzymała również nagrodę The Boston Globe-Hornbook za mistrzowską beletrystykę młodzieżową.

M.D.



G. Bednarz

dłuższą chwilę chytre, czarne oczy spotkały się ze szczerym, niebieskookom spojrzeniem, po czym Czarnobrody uśmiechnął się i rzekł:

– Tak. Zaprowadzisz mnie na wzgórze, Birt?

– No..., jak to skończę – odparł rybak i gdy tylko naprawił sieć ruszyli uliczką wiodącą pochyło w górę ku zielonemu wzgórzu ponad miasteczkiem.

Kiedy wyszli na błonia, Czarnobrody powiedział:

– Zatrzymaj się na chwilkę Birt, przyjacielu. Zanim spotkamy się z waszym czarnoksiężnikiem, chcę ci opowiedzieć pewną historię.

– Mów – odparł Birt, siadając w cieniu dębu.

– Zaczęło się to wszystko sto lat temu i jeszcze do tej pory nie zakończyło – aczkolwiek skończy się niedługo..., już wkrótce... W samym sercu Archipelagu, gdzie wyspy tłoczą się jedna przy drugiej jak muchy na plastrze miodu, leży mała wysepka zwana Pendor. Dawno, w czasach licznych wojen, jeszcze przed Przymierzem, wyspą władali potężni panowie. Na Pendor napływały łupy, daniny, okupy i zgromadzono tam liczne skarby. Aż pewnego razu z dalekiego Morza Zachodniego, gdzie na pokrytych lawą wyspach żyją smoki, przyleciał potężny smok. Nie jakaś tam wyrośnięta jaszczurka, którą wy tutaj nazywacie smokiem, ale ogromny, czarny, skrzydlaty, rozumny i przebiegły potwór, pełen siły i wyrafinowania i tak jak wszystkie smoki uwielbiający ponad wszystko złoto i precjoza. Zabił władcę Pendoru i jego żołnierzy, a ludność pod osłoną nocy uciekła z wyspy na statkach. Wszyscy uciekli, zostawiają za sobą smoka buszującego po Wieży Pendor. Przebywał tam przez sto lat, szorując swym pokrytym łuską brzuchem po szmaragdach, szafirach i złotych monetach. Opuszczał Pendor tylko raz, dwa razy do roku, w okresie żerowania. W poszukiwaniu jadła napadał sąsiednie wyspy. Wiesz co jedzą smoki?

Birt potaknął i wyszeptał:

– Dziewice.

– Właśnie – powiedział Czarnobrody. – Cóż, myśl o tym, że tak będzie zawsze i o tym, że smok siedzi na tych wszystkich skarbach, była nie do zniesienia. Kiedy więc Przymierze nabrało siły, a Archipelag nie był zajęty prowadzeniem wojen i wypraw pirackich, zdecydowano się zaatakować Pendor, wykurzyć stamtąd smoka i przejąć złoto oraz drogie kamienie na skarb Przymierza. Nigdy im nie dość pieniędzy, mówię o Przymierzu. Przeto z pięćdziesięciu wysp napłynęła połączona flota, a siedmiu Magów stanęło na dziobach siedmiu najpotężniejszych okrętów i popłynęli na Pendor... Dobili do wyspy, zeszli na ląd. Wszędzie panowała

cisza i bezruch. Domy stały nie zamieszkane, naczynia na stołach wypełniał stuletni kurz. Kości władcy wyspy i jego ludzi leżały rozrzucone po podwórcach zamkowych i na schodach. Komnaty w Wieży cuchnęły smokiem. Ze skarbu nie został ani jeden diament, choćby wielkości ziarenka maku, ani jeden srebrny paciorek – nic... Wiedząc, że nie zdoła sprostać siedmiu Magom, smok wymknął się. Wkrótce znaleźli jego trop i pojęli, że odleciał na północ, na bezludną wyspę zwaną Udrath. Poszli tym śladem i co znaleźli? Znowu kości. Tym razem jego, smocze kości. Jednak ani śladu skarbu. Zapewne zaszedł mu drogę jakiś inny nieznany czarnoksiężnik nie wiadomo skąd i pokonał go, a następnie dał nogę z całym bogactwem i to tuż pod nosem Przymierza.
Rybak słuchał nieruchomo opowieści, wytężając uwagę.
– Musiał to być potężny i sprytny czarnoksiężnik skoro najpierw zdołał pokonać smoka, a później uciec, nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu. Władcy i Magowie z Archipelagu nie potrafili go wyśledzić. Nie dowiedzieli się ani skąd przybył, ani dokąd uciekł i zamierzali zrezygnować z poszukiwań. W tym czasie, a było to ostatniej wiosny, właśnie wróciłem z trzyletniej wędrówki po Morzu Północnym. Poproszono mnie, bym pomógł im odnaleźć tego nieznanego czarnoksiężnika. Był to bardzo mądry krok z ich strony, albowiem jestem nie tylko czarnoksiężnikiem, co kilku półgłówków na waszej wyspie w końcu pojęło, ale również potomkiem Władców Pendoru. Skarb zatem należy do mnie. Jest mój i wie o tym. Ci głupcy z Przymierza nie mogli go odszukać, bowiem nie jest ich własnością. Należy on do Dworu Pendor, a ogromny szmaragd, gwiazda pierwszej wielkości wśród całego skarbu – Zielony Inalkil, zna swojego pana. Spójrz!
Czarnobrody uniósł dębową laskę i zakrzyknął:
– Inalkil!

Stopka laski błysnęła zielonym światłem, wściekłym zielonym promieniowaniem, oślepiającą mgłą o barwie kwietniowych traw i w tej samej chwili dębowy kostur szarpnął się w dłoni czarnoksiężnika, a jego koniec zaczął chybotać się i pochylać, aż w końcu zatrzymał się, wskazując prosto na wzgórze nad nimi.
– W Havnorze tak jasno nie błyszczał – mruknął Czarnobrody – ale wskazywał właściwy kierunek. Inalkil odpowiadał na moje zawołanie. Znam więc już rabusia i zwalczę go. Jest potężnym czarnoksiężnikiem, skoro pokonał smoka, ale ja jestem jeszcze potężniejszy. Chcesz wiedzieć dlaczego, półgłówku? Ponieważ znam jego nazwisko!

Kiedy mowa Czarnobrodego stawała się coraz bardziej arogancka, Birt posmutniał i poczuł się wielce zakłopotany, ale na dźwięk pytania drgnął, wytrzeszczył oczy na przybysza z Archipelagu i spytał nieśmiało:
– A... skąd?
Usta Czarnobrodego wykrzywił ironiczny uśmiech, ale nie odpowiedział na postawione pytanie.
– Czarna magia?
– A jak myślisz?
Birt zbladł i zamilkł.
– Jestem Władcą Pendoru, niezguło, i będę miał złoto, zdobyte przez mych ojców, klejnoty, noszone przez moje matki, i Zielonego Inalkila! Są moje!... A gdy już pokonam tego czarnoksiężnika i odejdę ze skarbem, będziesz mógł opowiedzieć tym cymbałom w miasteczku całą tę historię. Zaczekaj tu albo chodź ze mną, jeśli się nie boisz. Nigdy więcej nie będziesz miał okazji widzieć potężnego czarnoksiężnika, używającego całej swojej mocy. – Czarnobrody odwrócił się i nie oglądając się za siebie, pewnym krokiem ruszył w kierunku wejścia do jaskini na wzgórzu.
Powoli, niepewnie, Birt posuwał się jego śladem. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości od groty, usiadł pod krzewem dzikiej róży i patrzył co się będzie działo.

Przybysz z Archipelagu stał zupełnie nieruchomo naprzeciw rozdziawionej czeluści w skale – samotna, ciemna sylwetka na tle pokrytego zielenią wybrzuszenia terenu. Nagle zakręcił laską ponad głową, a szmaragdowe światło błysnęło wokoło na dźwięk jego słów:
– Złodzieju, złodzieju Skarbu Pendoru – wychodź!
Z głębi groty dobiegł trzask jakby tłuczonych naczyń i na zewnątrz wydobył się tuman kurzu. Przerażony Birt padł na ziemię. Kiedy ponownie podniósł wzrok zobaczył nieruchomo stojącego Czarnoksiężnika, a u wejścia do jaskini pojawił się zakurzony, rozczochrany Pan Podgórny.

Wyglądał nędznie i żałośnie ze stopami skręconymi do wewnątrz, na krzywych nogach odzianych w czarne portki i bez laski. „On nigdy nawet nie miał laski" – pomyślał nagle Birt.
– Kim jesteś? – spytał Pan Podgórny cichym, ochrypłym głosem.
– Jestem Władcą Pendoru. Złodzieju, wychodź! Przybywam po mój skarb!

Na te słowa Pan Podgórny poróżowiał na twarzy tak jak wtedy, kiedy ludzie bywali dlań nieuprzejmi. Wtem zmienił kolor. Stał się żółty. Najeżył włosy, wydał ryk podobny do kaszlu i zamieniwszy się w lwa, skoczył błyskając białymi kłami w dół, na Czarnobrodego.

Czarnobrody już tam nie stał. W jego miejsce gigantyczny tygrys o barwach nocy i błyskawic odbił się od ziemi na spotkanie lwa...
Ale lwa już też nie było. Znienacka tuż pod jaskinią wyrósł wysoki zagajnik, jak czarna plama w zimowym słońcu. Tygrys, nim znalazł się w cieniu drzew, zatrzymał się w pół skoku, zapalił w powietrzu i jako jęzor ognia jął smagać suche, czarne gałęzie...
Lecz na zboczu góry, gdzie stał las trysnął niespodziewanie wodospad i jak łuk srebrzystej, druzgocącej wszystko wody, grzmiąc opadł na płomienie. Ale ogień przepadł już wcześniej.

Na ułamek sekundy przed wytrzeszczonymi oczami zdumionego rybaka pojawiły się dwa wzgórza – zielone, które znał i zupełnie nowe – naga, brunatna górka, gotowa wchłonąć potoki wody z wodospadu. Działo się to tak szybko, że Birt ledwie zdążył mrugnąć, a kiedy mrugnął po raz wtóry, jęknął, albowiem to, co teraz zobaczył, było o wiele straszniejsze. Tam, gdzie przed chwilą tryskał wodospad, unosił się w powietrzu smok. Jego czarne skrzydła rzuciły cień na całe wzgórze, stalowe szpony sięgały przed siebie, jakby po omacku, a z ciemnego, odrażającego pyska dobywały się ogień i dym.
Poniżej, śmiejąc się, stał Czarnobrody.
– Możesz przybrać dowolny kształt, mały Panie Podgórny – naigrawał się. – I tak cię pokonam. Ta zabawa jednak staje się nużąca. Chcę zobaczyć swój skarb i Inalkila. A teraz wielki smoku, mały czarnoksiężniku, przyjmij swą prawdziwą postać! Rozkazuję ci to siłą twojego prawdziwego nazwiska – Yevaud!

Birt nie mógł się ruszyć, ani nawet mrugnąć. Trzęsąc się ze strachu patrzył, chcąc nie chcąc, przed siebie. Widział, jak czarny smok wisi w powietrzu nad Czarnobrodym. Widział, jak jęzory ognia omiatają ohydny pysk, a strumień dymu pruje z czerwonych nozdrzy. Zobaczył, jak twarz Czarnobrodego blednie jak kreda, a okolone brodą usta drżą.
– Nazywasz się Yevaud.
– Tak – odpowiedział potężny, ochrypły, sykliwy głos. – Moim prawdziwym nazwiskiem jest Yevaud, a prawdziwym kształtem ten, który widzisz.
– Przecież smok został zabity, znaleziono na Wyspie Udrath jego kości.
– To był inny smok – odparł smok i wyciągając szpony, jak jastrząb runął na swą ofiarę.
Birt zamknął oczy.
Kiedy je otworzył niebo było czyste, a wzgórze puste i tylko czarno-czerwona miazga i kilka bruzd po szponach widniało na trawie.

Rybak Birt zerwał się na nogi i jął uciekać. Biegł przez błonia, rozpędzając na lewo i prawo stado owiec, prosto na uliczkę, gdzie stał dom ojca Palani. Palani pieliła w ogródku nasturcje.
– Chodź ze mną – zachłysnął się.
Spojrzała nań pytająco. Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. Pisnęła, ale nie próbowała się opierać. Pobiegli prosto na nabrzeże, gdzie Birt wepchnął ją do swej rybackiej łodzi o nazwie „Królewna", odcumował, schwycił wiosła i odpłynął wiosłując jak demon.

Patrzono, jak żagiel „Królewny" ginie na horyzoncie, oddalając się w kierunku najbliższej wyspy na zachodzie. Ani Birta, ani Palani nie widziano więcej na Wyspie Sattins.
Mieszkańcy miasteczka myśleli, że nigdy nie przestanie się mówić o tym, jak bratanek Goody Guld – Birt postradał zmysły i odpłynął z nauczycielką tego samego dnia, kiedy wędrowny kupiec Czarnobrody zaginął bez śladu, pozostawiając po sobie wszystkie swoje piórka i paciorki. W trzy dni później jednak przestali o tym rozprawiać. Mieli inne tematy do rozmów, kiedy Pan Podgórny w końcu wyszedł ze swej jaskini.

Pan Podgórny doszedł do wniosku, że skoro jego prawdziwe nazwisko nie jest już otoczone tajemnicą, może równie dobrze zrezygnować ze swego przebrania. Chodzenie było przecież znacznie trudniejsze od latania, a poza tym od bardzo, bardzo dawna nie jadł prawdziwego dania.

Przełożył **Marek Doskocz**

Królestwo cieni

(The Shadow Kingdom) Robert E. Howard

G. Bednarz



1. Nadjeżdża król

Głos trąb narastał jak fala przypływu, jak szum przyboju uderzającego o białe plaże Valuzji. Tłum wznosił okrzyki, kobiety rzucały kwiaty, a stukot srebrnych podków zbliżał się i pierwsze szeregi wojska ukazały się na szerokiej, jasnej ulicy, okrążającej strzelistą Wieżę Chwały.

Z przodu jechali trębacze, smukli młodzieńcy w szkarłacie, trąbiąc w długie, złociste fanfary. Po nich łucznicy, wysocy ludzie z gór, za tymi zaś ciężkozbrojna piechota - szerokie tarcze dźwięczały unisono, włócznie kołysały się w równym rytmie. Dalej jechali najlepsi żołnierze tego świata - konni Czerwoni Zabójcy, od hełmów po ostrogi odziani w czerwień. Spoglądali dumnie z grzbietów swych rumaków, a choć dobrze słyszeli entuzjastyczne ryki tłumu, żaden nie spojrzał w bok. Byli jak posągi z brązu, ani na moment nie załamał się szyk lasu włóczni nad ich głowami.

Z tyłu, za tym dumnym, strasznym w walce rycerstwem szły pstrymi gromadami oddziały najemników, dzikich wojowników z Mu i Kaa-u, ze wschodnich gór i z zachodnich wysp, zbrojnych we włócznie i szerokie, ciężkie miecze. Zwartą grupą, nieco z boku, szli łucznicy z Lemurii. Na końcu lekka piechota i znowu trębacze.

Wspaniały widok, wywołujący dreszcz rozkoszy w sercu Kulla, władcy Valuzji. Nie na Tronie Topazów przed królewską Wieżą Chwały siedział ten władca, lecz w siodle, na grzbiecie potężnego ogiera - prawdziwie rycerski król. Unosił swe silne ramię, odpowiadając na pozdrowienia przejeżdżających pułków. Przelotnym spojrzeniem obdarzył trębaczy, dłużej przyglądał się piechocie. Jego oczy rozjarzyły się, gdy Czerwoni Zabójcy oddawali mu salut, zwęziły się, gdy przechodzili najemnicy. Ci nie pozdrawiali nikogo. Szli dumnie, patrząc na króla śmiało, choć z szacunkiem. Kull odpowiedział im takim samym spojrzeniem. Cenił dzielnych, a w całym świecie nie było dzielniejszych niż oni, nawet wśród dzikich plemion, które teraz nim pogardzały. Zbyt wiele jednak pozostało w nim z barbarzyńcy, by mógł połączyć go z tymi ludźmi choćby cień przyjaźni. Zbyt wielu miał wśród nich wrogów, odwiecznych nieprzyjaciół jego narodu. Choć imię Kulla było teraz przeklęte wśród gór i dolin jego własnego ludu i choć Kull usunął z serca wspomnienie o swym pochodzeniu, zadawnione urazy i waśnie wciąż żyły. Bowiem Kull nie był Valuzjaninem - był Atlantem.

Wojska skryły się za skrzydłem Wieży Chwały, a Kull zawrócił swego ogiera i lekkim kłusem ruszył do pałacu. Po drodze omawiał defiladę z towarzyszącymi mu dowódcami. Mówił mało, lecz jego słowa znaczyły wiele.

- Armia jest jak miecz - powiedział. - Nie można pozwolić, by okrył się rdzą.

Kull nie zwracał uwagi na szepty, dobiegające z wciąż kłębiącego się po ulicy tłumu.

- To Kull, widzisz... Co za władca! Co za mężczyzna! Spójrz na jego ramiona! A jakie muskuły!

I cichsze, lecz groźniejsze pomruki:

- Kull! Przeklęty uzurpator z pogańskich wysp!

- Tak. To hańba dla Valuzji, ten barbarzyńca na tronie...

Kull nie reagował. Twardą ręką zagarnął chylące się u upadkowi królestwo, jeszcze twardszą utrzymywał je, człowiek przeciw narodowi.

W pałacu spędził nieco czasu w sali przyjęć, gdzie, starannie kryjąc znudzenie, odpowiadał na konwencjonalne pochlebstwa książąt i dam. Potem, kiedy panowie i damy odeszli, rozparł się na obitym gronostajowym futrem tronie i zamyślił nad sprawami państwa. Przerwał mu ktoś ze służby, anonsujący, po otrzymaniu pozwolenia na zabranie głosu w obecności króla, przybycie posłańca z ambasady Piktów. Kull z wysiłkiem oderwał się od splątanych labiryntów valuzjańskiej racji stanu i spojrzał na Pikta bez sympatii. Był to wojownik o szerokich ramionach, średniego wzrostu, o charakterystycznej dla całej jego rasy ciemnej cerze. Z nieruchomej twarzy spoglądały na króla nieprzeniknione, ciemne oczy.

- Wódz Rady, Ka-nu, prawa ręka króla Piktów, śle ci pozdrowienie i wiadomość: przy uczcie pod księżycem jest miejsce dla Kulla, króla królów, pana panów, imperatora Valuzji.

- Dobrze - odrzekł Kull. - Powiedz Ka-nu Sędziwemu, ambasadorowi zachodnich wysp, że władca Valuzji napije się wina przy jego stole, gdy tylko księżyc wzejdzie nad wzgórzami Zalgary.

Pikt jednak zwlekał z odejściem.

- Mam wiadomość dla króla, a nie - tu wzgardliwie machnął ręką - dla tych niewolników.

Kull odprawiał służbę i uważnie spojrzał na posłańca. Ten podszedł bliżej i zniżył głos.

- Przyjdź sam na ucztę, o panie. Taka jest wiadomość od mego wodza.

Oczy króla zalśniły blaskiem zimnym, jak stal miecza.

- Sam?

- Tak.

Patrzeli na siebie w milczeniu, pod płaszczykiem etykiety kipiała wzajemna plemienna nienawiść. Wypowiadali gładkie frazy, konwencjonalne, dworskie zwroty cywilizowanej rasy, która nie była ich rasą, lecz w oczach lśniła dawna, żywiołowa dzikość. Kull mógł być władcą Valuzji, Pikt mógł być posłem na jego dworze, lecz w sali przyjęć spotkali się dwaj barbarzyńcy, słyszący w uszach szepty upiorów dawnych wojen, nienawiści starej jak sam świat.

Przewaga była po stronie króla i rozkoszował się nią w całej pełni. Z głową wspartą na dłoni przyglądał się stojącemu jak posąg posłowi. Po chwili uśmiechnął się drwiąco.

- A więc mam przyjść... sam? - cywilizacja nauczyła go tonu, na dźwięk którego oczy Pikta błysnęły groźnie. Nic jednak nie odrzekł. - A skądże mam mieć pewność, że istotnie przysyła cię Ka-nu?

- Powiedziałem - zabrzmiała ponuro odpowiedź.

- A odkąd to Piktowie mówią prawdę? - Kull wiedział doskonale, że Piktowie nigdy nie kłamią, lecz chciał zirytować rozmówcę.

- Wiem, co zamierzasz, panie - odparł poseł, niewzruszony. - Chcesz, bym się rozgniewał. Na Valkę, nie musisz próbować dalej. Jestem wystarczająco zły. Wyzywam cię na bój, z włócznią, mieczem lub sztyletem, pieszo lub konno. Królem jesteś, czy mężczyzną?

Kull spojrzał z podziwem, jaki każdy wojownik musi odczuwać dla odwagi, nawet u wroga. Nie przepuścił jednak okazji, by jeszcze mocniej zdenerwować Pikta.

- Król nie przyjmie wyzwania od bezimiennego dzikusa - rzekł drwiąco. - Ani też nie naruszy nietykalności posła. Możesz odejść. Powiedz Ka-nu, że przybędę sam.

Oczy Pikta zabłysły morderczym blaskiem. Drżał cały od pierwotnej żądzy krwi. Jednakże bez słowa odwrócił się i przeszedł przez salę przyjęć, by zniknąć za ogromnymi drzwiami.

Kull zamyślił się. Wódz Rady Piktów pragnął, by przybył sam. Ale dlaczego? Czyżby spisek? Kull dotknął rękojeści długiego miecza. Lecz nie, Piktowie zbyt sobie cenili przymierze z Valuzją, by je zrywać dla jakiejś zadawnionej urazy. Kull mógł być wojownikiem z Atlantydy, odwiecznym wrogiem wszystkich Piktów, lecz był również władcą Valuzji, najpotężniejszym sojusznikiem Ludzi Zachodu.

Długo myślał nad dziwnym biegiem zdarzeń, który uczynił z niego wroga dawnych przyjaciół i sprzymierzeńca dawnych wrogów. Wstał i miarowym krokiem zaczął przechadzać się po sali. By zaspokoić swe ambicje zerwał więzy przyjaźni, rodu, tradycji. I, na Valkę, boga morza i lądu, zaspokoił je. Był królem Valuzji - Valuzji zdegenerowanej, Valuzji chylącej się ku upadkowi, Valuzji żyjącej tylko wspomnieniami dawnej chwały - a jednak ciągle potężnej, najpotężniejszej z Siedmiu Imperiów. Valuzja - Kraina Snów, tak ją nazywano w jego plemieniu i często zdawało mu się, że naprawdę żyje we śnie. Zdumiewały go dworskie intrygi i pałace, armia i lud. To było jak maskarada, kiedy prawdziwe oblicza skrywają się pod uśmiechniętymi maskami. A przecież tak łatwo było zdobyć tron - wystarczyło śmiało skorzystać z okazji. Potem tylko świst miecza, upragniona przez wszystkich śmierć tyrana, umiejętne rozmowy z ambitnymi, a pozbawionymi łask u dworu politykami - i Kull, wędrowny awanturnik, wygnaniec z Atlantydy, wspiął się na niebotyczną wysokość - był władcą Valuzji, królem królów. Dopiero teraz wyraźnie wiedział, że o wiele trudniej jest utrzymać tę władzę, niż ją zdobyć. I znowu odczuł dziwny niepokój. Kim właściwie jest on, prostak z gór, by rządzić rasą, posiadającą niezwykłą, straszliwą wiedzę odwiecznych tajemnic? Prastarą rasę...

- Jestem Kull! - powiedział, butnie wznosząc głowę. - Kull! - Obiegł wzrokiem salę i pewność siebie opuściła go. A w ciemnym kąciku obicie na ścianie poruszyło się - minimalnie.

2. I przemówiły milczące dworce Valuzji

Księżyc nie wzeszedł jeszcze i ogród oświetlały tylko płonące w srebrnych uchwytach pochodnie, kiedy Kull zajął miejsce przy stole Ka-nu, ambasadora zachodnich wysp. Sędziwy Pikt siedział po jego prawicy, zupełnie niepodobny do posła owej dzikiej rasy. Ka-nu był przebiegłym dyplomatą, zestarzał się wśród politycznych rozgrywek; żadna pierwotna nienawiść, żadne plemienne tradycje nie wpływały na jego sądy. Lata całe obcując z przedstawicielami bardziej cywilizowanych narodów, nauczył się zrywać sieci przesądów. To nie „Kim i czym jest ten człowiek?" było pytaniem, które zajmowało jego umysł, lecz „Czy, i jak, można go wykorzystać?". Tylko dla realizacji własnych planów używał starych, plemiennych uwarunkowań.

Kull krótko odpowiadał na grzecznościowe pytania Ka-nu, zastanawiając się, czy kiedyś stanie się taki sam, jak stary Pikt. Ka-nu był tłusty i zniewieściały, wiele lat minęło od chwili, gdy ostatni raz trzymał w ręku miecz. Był stary, to prawda, lecz widział wielu starszych od niego, walczących w pierwszym szeregu. Piktowie byli długowieczną rasą.

Za plecami Ka-nu stała dziewczyna niezwykłej urody, która napełniała jego puchar. Trzeba przyznać, że nie miała czasu na odpoczynek. Przy tym Ka-nu jak z rękawa sypał żartami i anegdotami, a Kull, pogardzając w duchu nadmierną gadatliwością, nie przepuszczał ani jednego słowa z jego ciętych dowcipów.
W uczcie uczestniczyli także inni wodzowie i politycy Piktów. Ci ostatni zachowywali się z niewymuszoną swobodą, podczas gdy żołnierze, na pozór uprzejmi, wyraźnie tłumili w sobie stare urazy. Mimo to Kull z zazdrością obserwował panujące tu obyczaje, tak różne od obowiązujących na dworach Valuzji. Taka swoboda królowała w prymitywnych obozowiskach, na Atlantydzie... Kull wzruszył ramionami. No cóż, Ka-nu, który zdawał się zapominać, że jest Piktem, ma rację, a on, Kull, powinien nie tylko z nazwy stać się Valuzjaninem.
Kiedy wreszcie księżyc stanął w zenicie, Ka-nu, który zjadł i wypił więcej, niż którychkolwiek trzech gości razem wziętych, rozparł się na sofie i odetchnął z ulgą.
– Teraz odejdźcie, przyjaciele – powiedział. – Król i ja mamy do omówienia sprawy, o których dzieci wiedzieć nie powinny. Tak, tak, ty też odejdź, moja piękna, niech tylko ucałuję twe słodkie usteczka... o, właśnie, a teraz zmykaj, mój pączku róży.
Ka-nu znad swej siwej brody badawczo spoglądał na Kulla, który siedział sztywno, z ponurą miną.
– Tak więc sądzisz, Kullu – rzekł nagle stary polityk – że Ka-nu to bezmyślny, stary rozpustnik, który potrafi tylko żłopać wino i całować dziewki?
Kull drgnął z zaskoczenia. Ta uwaga dokładnie pokrywała się z tym, co myślał w tej chwili.
– Wino jest czerwone, kobiety delikatne, ale – ha! ha! – nie myśl, że stary Ka-nu pozwoli, żeby którakolwiek z tych rzeczy zaważyła na jego interesach.

Zarechotał głośno, aż zatrząsł się jego wielki brzuch, a Kull poruszył się niespokojnie. To wyglądało na zabawę i oczy króla zaczęły rzucać groźne błyski.
Ambasador sięgnął po dzban, napełnił swój kielich i pytająco spojrzał na gościa. Ten pokręcił przecząco głową.
– No cóż – stwierdził nie speszony Ka-nu – trudno starej głowie wytrzymać mocne trunki. Starzeję się, Kullu, czemuż więc miałbym zostawić młodym te nieliczne przyjemności, które my, staruszkowie, możemy jeszcze znaleźć? Tak, tak, robię się stary, zmęczony, opuszczony i smutny.
Jego wygląd przeczył tym słowom. Rumiana twarz aż lśniła, oczy błyszczały tak, że siwa broda wyglądała nieco niestosownie. Rzeczywiście świetnie wygląda, pomyślał Kull, czując się trochę urażony. Ten stary łajdak zatracił wszystkie pierwotne cechy swojej – i Kulla – rasy, a mimo to miał starość przyjemniejszą, niż ktokolwiek inny.
– Posłuchaj zatem – powiedział w końcu Ka-nu, unosząc znacząco palec. – Ryzykowna to rzecz, wychwalać młodzieńca w jego obecności. Muszę ci jednak powiedzieć, co naprawdę o tobie myślę. Inaczej nie zdobędę twojego zaufania.
– Jeżeli chcesz je zyskać pochlebstwem, to...
– Spokojnie. Kto mówi o pochlebstwach? Pochlebiam tym, których chcę zmylić.

Oczy Ka-nu zabłysły chłodnym blaskiem, nie pasującym do kpiącego uśmieszku. Stary lis znał ludzi i wiedział, że jeśli chce osiągnąć swój cel, musi z tym barbarzyńskim tygrysem postępować otwarcie. Tamten bowiem jak wilk, wietrzący pułapkę, natychmiast wyczuje każdy fałsz, skryty w poplątanej pajęczynie słów.
– Masz dość siły – powiedział, dobierając słowa ze starannością większą nawet, niż w czasie posiedzeń Rady – by stać się najpotężniejszym z królów, by odbudować – przynajmniej częściowo – dawną potęgę Valuzji. Tak jest. Valuzja mnie nie interesuje, choć wino i kobiety są tu wspaniałe, a jeżeli, to tylko dlatego, że im jest silniejsza, tym jest silniejszy naród Piktów. Więcej nawet, z Atlantem na tronie może zjednoczyć nawet Atlantydę...
Kull zaśmiał się gorzko. Ka-nu dotknął starej rany.
– Atlantyda przeklęła moje imię, kiedy wyruszyłem po sławę i szczęście do miast tego świata. My... oni są odwiecznymi wrogami Siedmiu Imperiów, a jeszcze bardziej sojuszników imperiów. Sam powinieneś o tym wiedzieć.
Ka-nu pogładził brodę z tajemniczym uśmiechem.
– Zostawmy to. Ale wiem, co mówię. Każda wojna wygasa, kiedy nie przynosi korzyści. Widzę przed nami erę pokoju i dobrobytu, ludzi kochających swych bliźnich, zwycięstwo dobra nad złem. Ty możesz to wszystko zrealizować... Jeżeli będziesz żył.
– Ha! – Kull chwycił rękojeść miecza i wstał z tak oszałamiającą szybkością, że Ka-nu, oceniający ludzi tak, jak niektórzy taksują konie, poczuł przyspieszone bicie serca. Valko, cóż to za wojownik! Nerwy i ścięgna ze stali, doskonała koordynacja ruchów, instynkt walki – wszystko to, co czyni wojownika strasznym w boju.

Żadna z tych myśli nie uzewnętrzniała się w chłodnym, pełnym sarkazmu tonie Ka-nu.
– Spokojnie. Usiądź i popatrz dookoła siebie. Ogrody są puste. Przy stole nie ma nikogo, prócz nas. Chyba nie boisz się *mnie*?
Kull usiadł, rozglądając się badawczo.
– Odezwał się w tobie dzikus – stwierdził polityk. – Pomyśl, gdybym naprawdę coś zamierzał, to czy wybrałbym miejsce, gdzie wszystkie podejrzenia muszą paść na mnie? Ech, wy młodzi, wiele jeszcze musicie się uczyć. Siedzieli tu moi dowódcy i czuli się źle, jako że ty przyszedłeś na świat pośród wzgórz Atlantydy. Ty z kolei pogardzasz mną, ponieważ jestem Piktem. A ja widzę w tobie Kulla – władcę Valuzji, a nie Kulla – lekkomyślnego Atlanta, wodza najeźdźców, którzy kiedyś spustoszyli zachodnie wyspy. Ty też powinieneś zrozumieć, że jestem człowiekiem bez nacji, obywatelem świata. A wracając do rzeczy – gdybyś zginął jutro, kto zostałby królem?
– Kaanub, baron Blaal.
– No tak. Mam wiele zastrzeżeń do jego osoby, a najważniejsze z nich to to, że jest tylko marionetką w cudzych rękach.
– Jak to? Był najbardziej liczącym się z moich przeciwników i nigdy nie przypuszczałem, że reprezentuje jakiekolwiek interesy, prócz swoich własnych.
– Noc słyszy – odparł Ka-nu, na pozór bez związku. – Istnieją światy we wnętrzu tego świata. Mnie jednak możesz zaufać, możesz zaufać również Brule Włócznikowi. Spójrz.
Na jego wyciągniętej dłoni leżała bransoleta w kształcie trzykrotnie zwiniętego, skrzydlatego smoka, z trzema rubinowymi rogami na głowie.
– Przyjrzyj się jej dokładnie. Kiedy Brule przyjdzie do ciebie jutro nocą, będzie miał tę bransoletę na ramieniu. Po tym go poznasz. Ufaj mu, jak ufasz sobie samemu. Uczyń wszystko, co ci powie. A na dowód zaufania – patrz!
Z błyskawiczną szybkością wyciągnął spomiędzy fałdów swej szaty coś, co rozbłysło magicznym, zielonkawym blaskiem i co natychmiast schował z powrotem.
– Skradziony skarb! – zawołał zdumiony Kull. – Zielony klejnot ze Świątyni Węża. Na Valkę! A więc to ty! Ale dlaczego mi go pokazujesz?
– Żeby uratować ci życie. Żebyś mógł mi zaufać. Jeżeli zawiodę to zaufanie, zrobisz co zechcesz. Moje życie jest w twoich rękach. Teraz nie mogę cię już oszukać, gdyż jedno twoje słowo będzie dla mnie wyrokiem śmierci.
Mimo tych słów stary lis promieniował samozadowoleniem, najwyraźniej bardzo z siebie dumny.
– Ale dlaczego oddałeś się w moje ręce? – Kull był z każdą chwilą bardziej zdumiony.
– Już powiedziałem. Teraz widzisz, że jestem z tobą uczciwy. A jutro w nocy, kiedy Brule przyjdzie do pałacu, postąpisz zgodnie z jego radą, nie obawiając się zdrady. Dość na tym. Panie, eskorta czeka u bramy, by odprowadzić cię do pałacu.
Kull wstał.
– Przecież właściwie nic mi nie powiedziałeś.
– Och, jakże niecierpliwi są młodzi – Ka-nu bardziej niż kiedykolwiek przypominał grubego, rubasznego elfa. – Idź już, śnij o tronach, armiach i królestwach, a ja będę śnił o winie, kobietach i różach. Niech szczęście ci sprzyja, królu.

Wychodząc z ogrodów Kull obejrzał się raz jeszcze. Ka-nu, rozparty wygodnie na sofie, promieniował życzliwą jowialnością.
Konny wojownik oczekiwał go tuż przy wyjściu. Kull zdziwił się nieco zobaczywszy, że to ten sam, który przyniósł mu zaproszenie na ucztę. Nie zamienili ani słowa, kiedy wskakiwał na siodło, ani później, gdy jechali przez puste ulice.
Barwy i hałasy dnia ustąpiły miejsca tajemniczej ciszy nocy. W srebrnym świetle księżyca bardziej, niż kiedykolwiek wyczuwało się wiek miasta. Potężne kolumny w rezydencjach i pałacach sięgały gwiazd. Schody, ciche i puste, wznosiły się coraz wyżej, by zniknąć wśród cieni sfer niebieskich. Schody do gwiazd, pomyślał Kull. Tajemny splendor tej sceny silnie pobudzał jego wyobraźnię.
Klik! Klik! Klik! Srebrne podkowy dzwoniły na zalanych księżycowym światłem ulicach. Poza tym panowała absolutna cisza. Niewyobrażalny wiek miasta przygniatał. Kull niemal słyszał, jak potężne, ciche budynki śmieją się z niego bezgłośnie, drwiąco. Jakie tajemnice skrywały?

– Młody jesteś – mówiły pałace, kaplice, świątynie – a my – stare. Młody był świat, kiedy nas budowali. Przeminiesz ty i twoje plemię, a my będziemy trwać, niezniszczalne, niepokonane. Staływśmy nad dziwnym światem, zanim Atlantyda i Lemuria wynurzyły się z oceanu. Będziemy trwać, gdy zielone fale wielomilową warstwą pokryją wieżyce Lemurii i wzgórza Atlantydy, a wyspy Ludzi Zachodu staną się górami na tajemniczym lądzie. Wielu władców przejeżdżało tędy w czasie, gdy Kull z Atlantydy był tylko snem w duszy Ka, Ptaka Tworzenia. Jedź, Kullu z Atlantydy, więksi przyjdą po tobie, więksi byli przed tobą. Teraz zapomniani, są tylko prochem – my stoimy, trwamy, wiemy... Jedź, jedź, Kullu z Atlantydy. Kull–władca, Kull–głupiec!

Kullowi zdawało się, że podkowy jego wierzchowca podjęły ten niemy refren i w ciszy nocy wybijają głuchy, drwiący rytm: Kull-wład-ca, Kull-głu-piec!

Świeć, księżycu, oświetlasz królewską drogę! Lśnijcie, gwiazdy, pochodnie na szlaku imperatora! Dzwońcie, podkowy, to Kull jedzie przez Valuzję.

Hej, zbudź się Valuzjo! To jedzie Kull, twój władca! – Tak wielu już widzieliśmy – odezwały się milczące dworce Valuzji.

Wreszcie Kull przybył do pałacu i jego gwardia – żołnierze z Czerwonych Zabójców wybiegli, by schwycić wodze jego rumaka i odprowadzić króla na spoczynek. Pikt, wciąż bez słowa, szarpnął cuglami, zawracając w miejscu swego wierzchowca i jak widmo znikł w ciemnościach. Wyobraźnia Kulla ukazała mu Pikta, jak cwałuje przez ciche ulice, niby duch z Dawnego Świata.

Nie spał tej nocy. Świt już nadchodził, a on spacerował po sali tronowej, myśląc o wszystkim, co się zdarzyło. Ka-nu nie powiedział nic, a jednak całkowicie oddał się w jego ręce. Co miał na myśli mówiąc, że baron Blaal jest tylko marionetką? Kim był ten Brule, który miał przybyć nocą z tajemniczą bransoletą w kształcie smoka? A przede wszystkim dlaczego Ka-nu pokazał mu zielony klejnot grozy, wiele lat temu skradziony ze Świątyni Węża? Wojny ogarnęłyby świat, gdyby dowiedzieli się o tym tajemniczy i straszni kapłani tej świątyni. Przed ich zemstą nie ochroniliby Ka-nu nawet jego waleczni współplemieńcy. Ale on wiedział, że jest bezpieczny, zreflektował się Kull. Był zbyt dobrym dyplomatą, by bez powodu wystawiać się na ryzyko. A może wszystko to tylko pretekst, by odsunąć króla od gwardii i otworzyć drogę dla spisku? Czy teraz Ka-nu ośmieli się pozostawić go przy życiu? Kull wzruszył ramionami.

3. Ci, którzy przychodzą nocą

Księżyc nie wstał jeszcze kiedy Kull, z dłonią na rękojeści miecza, wyjrzał przez okno. Wychodziło na wewnętrzny, pałacowy ogród, którego ścieżki i alejki stały teraz puste, a starannie przycinane drzewa zmieniły się w niewyraźne cienie. Z pobliskich fontann tryskały srebrne strumyczki, lśniące w świetle gwiazd, z dalszych dobiegało ciche szemranie. Żadni strażnicy nie pilnowali ogrodu. Leżał on tak blisko pilnie strzeżonych murów, że wydawało się nieprawdopodobieństwem, by jakiś intruz mógł wtargnąć aż tutaj.

Po ścianach pałacu pięły się winorośle. Kull myślał właśnie, jak łatwo można by się po nich dostać na górę, gdy jakiś cień wynurzył się z ciemności pod oknem i nagie, brązowe ramię sięgnęło za parapet. Długi miecz króla błysnął, wstrzymany w połowie drogi z pochwy – na muskularnym przedramieniu lśniła bransoleta w kształcie smoka, którą Ka-nu pokazywał mu zeszłej nocy.

Właściciel ramienia ze zwinnością leoparda wśliznął się po parapecie do komnaty.

– Ty jesteś Brule? – spytał Kull i zamarł zdumiony, czując przypływ irytacji i podejrzliwości. Intruz bowiem był tym, którego wykpił w sali przyjęć, tym samym, który eskortował go w drodze z ambasady Piktów.

– Jestem Brule Włócznik – odparł ostrożnie. Potem spojrzał z bliska w twarz Kulla i szepnął:

– Ka nama kaa lajerama!

Kull zdziwił się.

– Co to znaczy?

– Czyżbyś nie wiedział?

– Nie, słowa są obce, nie pochodzą z żadnego znanego mi języka... A jednak, na Valkę... Gdzieś musiałem je słyszeć...

– Zgadza się – to był jedyny komentarz. Pikt rozejrzał się po komnacie, pałacowym pokoju studiów. Była pusta, poza kilkoma stołami, sofą i dwiema wielkimi szafami, pełnymi pisanych na pergaminie ksiąg. W porównaniu z przepychem pozostałych komnat pałacu, ta wydawała się naga.

– Powiedz, panie, kto strzeże drzwi?

– Osiemnastu Czerwonych Zabójców. Ale jak tu wszedłeś, jak przedostałeś się przez ogrody, jak wdrapałeś się na mur?

Brule uśmiechnął się drwiąco.

– Wartownicy w Valuzji są jak ślepe bawoły, mógłbym im porywać dziewczęta sprzed samych nosów. Przeszedłem między nimi, a oni nie widzieli mnie, ani nie słyszeli. A mury... wszedłbym na nie i bez pomocy winorośli. Ścigałem tygrysy na wybrzeżach, gdzie wschodni wiatr przywiewa z morza mgłę. Wspinałem się na górskie urwiska na zachodnich wyspach. Lecz chodźmy... nie, dotknij wpierw tej bransolety.

Wyciągnął rękę, a gdy zdziwiony Kull wykonał polecenie, odetchnął z wyraźną ulgą.

– Dobrze. A teraz zrzuć te królewskie szaty. Tej nocy czekają cię czyny, o jakich nie marzył nawet żaden z Atlantów.

Sam Brule miał tylko wąską przepaskę na biodrach, za nią zatknął krótki, zakrzywiony miecz.

– Kim jesteś, że chcesz mi rozkazywać? – spytał Kull urażonym tonem.

– Czyż Ka-nu nie prosił cię, żebyś mnie słuchał? – spytał zirytowany Pikt. – Wiedz, panie, że nie czuję do ciebie przyjaźni, ale na razie odsunąłem myśl o walce. Lepiej, byś uczynił to samo. A teraz chodźmy.

Bez najmniejszego dźwięku podeszli do drzwi. Niewielki otwór pozwalał wyjrzeć na zewnątrz korytarza tak, że patrzący sam nie był widziany. Brule gestem wezwał Kulla do spojrzenia.

– Co widzisz?

– Nic. Tylko osiemnastu gwardzistów.

Pikt skinął głową i pociągnął Kulla za sobą. Zatrzymał się przy przeciwległej ścianie i przez chwilę manipulował przy boazerii. Potem cofnął się, jednocześnie wyciągając miecz. Król sapnął zdumiony, gdy część ściany odsunęła się, odsłaniając słabo oświetlony korytarzyk.

– Sekretne przejście! – powiedział cicho. – A ja nic nie wiedziałem. O, Valko, ktoś za to zapłaci.

– Ciszej! – syknął Brule. Stał nieruchomy, każdym nerwem łowiąc najlżejszy bodaj szelest. W jego postawie było coś, co sprawiło, że Kullowi włosy zjeżyły się na głowie. Nie ze strachu, a raczej z powodu jakiegoś niejasnego, ponurego przeczucia.

Wreszcie Brule kiwnął głową i przeszli przez tajemne drzwi, pozostawiając je otwarte. Korytarz był pusty, lecz nie było w nim odrobiny kurzu, co świadczyło, że nie jest on zapomnianym, od dawna nieużywanym przejściem. Źródło słabego światła pozostawało niewidoczne. W ścianie co kilka stóp były drzwi, zapewne z zewnątrz dokładnie ukryte, lecz od środka aż nazbyt widoczne.

– Ten pałac jest jak plaster miodu – mruknął Kull.

– Tak. Wiele oczu obserwuje cię dniem i nocą, panie.

Pikt szedł powoli, uważnie stawiając stopy. Miecz trzymał nisko, wysunięty do przodu. Stale rzucał na wszystkie strony niespokojne spojrzenia.

Korytarz skręcał ostro i Brule ostrożnie wychylił się zza węgła.

– Patrz – szepnął. – Ale pamiętaj: ani słowa, ani dźwięku! Chodzi o życie.

Kull spojrzał. Zaraz za zakrętem zaczynały się prowadzące w dół schody. Spojrzał tam i zadrżał. U stóp schodów leżało osiemnastu Czerwonych Zabójców, wyznaczonych do pilnowania tej nocy królewskich komnat. Tylko silna dłoń Brule'a i jego nerwowy szept powstrzymały Kulla przed zbiegnięciem w dół.

– Cicho! Cicho, w imię Valki – syknął Pikt. – Korytarze są teraz puste, ale wiele ryzykowałem, żeby ci je pokazać. Teraz uwierzysz w to, co ci powiem. Wracajmy do pokoju studiów.

Zawrócił, a oszołomiony, niczego nie rozumiejący Kull podążył za nim.

– To zdrada – mruczał do siebie. – Ohydny spisek, i to szybki. Ledwie kilka minut temu ci ludzie stali na warcie.

W pokoju studiów Brule starannie zamknął tajemne przejście, po czym kiwnął na króla, by ten ponownie wyjrzał przez otwór w drzwiach. Kull zrobił to i westchnął zdumiony: przed drzwiami stało osiemnastu gwardzistów!

– To czary – szepnął, sięgając do miecza. – Czy to umarli strzegą władcy?

– Tak – napłynęła ledwie słyszalna odpowiedź Pikta. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Kull zmarszczył czoło, usiłując odczytać coś z jego twarzy. W końcu wargi Brule'a bezgłośnie uformowały słowa:

– Wąż... który... potrafi... mówić...

– Cicho – dłoń Kulla zakryła mu usta. – To śmierć mówić coś takiego. Te słowa są przeklęte.

Pikt patrzył na niego spokojnie.

– Wyjrzyj jeszcze raz, panie. Może była zmiana warty.

– Nie, to ci sami ludzie. Na Valkę, to czary, to szaleństwo. Na własne oczy widziałem ciała tych żołnierzy, chwila ledwo minęła. A jednak stoją tutaj.

Brule odstąpił od drzwi.

– Kullu, co wiesz o tradycjach narodu, którym władasz?

– Dużo... a jednak mało. Valuzja jest taka stara...
– To prawda – oczy Brule'a zalśniły dziwnym blaskiem. – Jesteśmy barbarzyńcami, dziećmi wobec Siedmiu Imperiów. Ani ludzka pamięć, ani kroniki nie sięgają w przeszłość na tyle, by powiedzieć, kiedy pierwsi ludzie nadeszli z morza i wybudowali miasta nad brzegami. Wiedz jednak – nie zawsze ludzie rządzili ludźmi.
Król drgnął. Ich spojrzenia spotkały się.
– Jest legenda wśród mego ludu...
– Mojego także – przerwał Brule. – To się zdarzyło zanim my, ludzie z wysp, zawarliśmy sojusz z Valuzją, za panowania Lwiego Kła, siódmego wodza Piktów, tak wiele lat temu, że nikt dokładnie nie wie ile. Wyruszyliśmy z Wysp Zachodniego Słońca, przebyliśmy morze i mijając brzegi Atlantydy z ogniem i mieczem runęliśmy na wybrzeża Valuzji. Białe plaże rozbrzmiewały szczękiem broni, noc była jasna jak dzień od płonących zamków. I król, król Valuzji, który padł na czerwony piach w owym mrocznym dniu... – jego głos ucichł i przez chwilę dwaj mężczyźni patrzyli na siebie bez słowa.
– Prastara jest Valuzja – szepnął w końcu Kull. – Wzgórza Atlantydy i Mu były tylko wyspami wśród oceanu w czasach, kiedy Valuzja była młoda.

Nocny wiatr, przesiąknięty zapachem rzeczy zapomnianych, poruszył zasłonami. Opowiadał, jak szept z przeszłości, o tajemnicach starych już wtedy, kiedy świat był młody. Kull poczuł się nagle jak dziecko wobec niezmierzonej wiedzy przeszłości. Oczyma wyobraźni zobaczył stojące obok upiory, szepczące mu do uszu rzeczy straszne. Wiedział, że Brule czuje to samo. Jego duszę wypełniło dziwne poczucie jedności z tym wrogiem jego plemienia. Obaj byli jak dwa rywalizujące leopardy, które wpadłszy w pułapkę razem atakują myśliwych. Tak ci dwaj barbarzyńcy zjednoczyli się przeciw nieludzkim mocom starożytności.
Po chwili Brule znowu otworzył ukryte przejście. Cicho ruszyli korytarzem, tym razem w przeciwnym kierunku. Zatrzymali się i Pikt wskazał inne sekretne drzwi.
– Stąd widać rzadko używane schody, prowadzące na korytarz, który biegnie obok pokoju studiów.
Wyjrzeli przez skryty otwór i niemal dokładnie w tej chwili na schodach pojawiła się ciemna postać.
– To Tu, przewodniczący rady koronnej – wykrzyknął Kull. – Nocą, ze sztyletem w dłoni... co to znaczy?
– Morderstwo. Zamach – szepnął Brule. – Stój! – Kull już miał otworzyć drzwi i wyskoczyć na zewnątrz. – Jeśli spotkasz się z nim tutaj, jesteśmy zgubieni. Tam, w mroku, czeka ich więcej. Chodźmy.
Prawie biegnąc wrócili do pokoju studiów. Brule zamknął ukryte przejście i pociągnął Kulla do sąsiedniej, mało używanej komnaty. Tam rozsunął zasłony w rogu i obaj skryli się za nimi. Minuty ciągnęły się bez końca. Kull słyszał nawet szum wiatru w komnacie obok, brzmiący mu w uszach jak szept upiora. Wreszcie, skradając się, wszedł Tu, przewodniczący rady koronnej. Najwyraźniej przeszedł przez pokój studiów, a stwierdziwszy, że jest pusty, doszedł do wniosku, że jego ofiara znajduje się właśnie tutaj. Wszedł z uniesionym sztyletem i zatrzymał się, rozglądając po pustej na pozór komnacie, słabo oświetlonej pojedynczą świecą. Potem powoli ruszył dalej, wyraźnie nie pojmując nieobecności króla. Stanął przed ich kryjówką... i...
– Teraz! – szepnął Brule.
Kull jednym skokiem wyskoczył z ukrycia. Tu odwrócił się, lecz szybkość ataku nie dała mu najmniejszej szansy obrony. Ostrze miecza zabłysło w słabym świetle i zgrzytnęło na kości. Tu runął na plecy, z mieczem Kulla sterczącym z piersi.
Kull pochylił się nad nim, obnażając zęby w tryumfalnym uśmiechu. Wtem puścił miecz i cofnął się. Poczuł na plecach dotknięcie śmierci. Bowiem twarz Tu stała się mglista i niewyraźna, jej kontury drżały i falowały. Potem, jak zrzucona maska, twarz znikła i na jej miejscu patrzyła martwymi oczyma głowa monstrualnego węża.
– Valko! – jęknął Kull, czując zimny pot, zalewający mu czoło. – Valko! – powtórzył.
Podszedł Brule. Twarz miał nieruchomą, ale w oczach odbijało się przerażenie Kulla.
– Zabierz swój miecz, panie – powiedział. – Wiele nas jeszcze czeka tej nocy.
Z wahaniem dotknął Kull rękojeści miecza. Poczuł lodowaty dreszcz, kiedy stawiał stopę na piersi powalonego stwora. Gdy zaś, przez jakąś dziwną reakcję martwych mięśni straszny pysk otworzył się szeroko, cofnął się z obrzydzeniem. Po chwili wszakże, zagniewany na siebie, wyrwał miecz i z bliska przyjrzał się bezimiennemu stworowi, którego znał jako Tu, przewodniczącego rady koronnej. Poza głową, ciało było dokładną kopią ludzkiego.

– Człowiek z głową gada – mruknął. – A więc kapłan boga-węża.
– Tak. Prawdziwy Tu śpi i o niczym nie wie. Te monstra mogą przybrać każdą postać. To znaczy, jakimś zaklęciem rozpinają przed twarzą zasłonę czarów tak, jak aktor wkłada maskę. Mogą więc wyglądać, jak chcą.
– Stare legendy jednak nie kłamią – westchnął król. – Owe ponure opowieści, które niewielu tylko ośmiela się powtarzać, by nie zginąć za bluźnierstwo, nie są czystą fantazją. Domyślałem się, spodziewałem się tego... ale ciągle myślę, że to niemożliwe. Ha! Wartownicy przy drzwiach...
– To także ludzie-węże. Stój! Co chcesz zrobić?
– Wytłuc ich – warknął Kull przez zęby.
– Uderzaj w głowę, jeśli już musisz – rzekł Brule. – Osiemnastu czeka pod drzwiami, zapewne znacznie więcej czai się w korytarzu. Ka-nu dowiedział się o spisku. Jego szpiedzy przeniknęli do kryjówek kapłanów Węża i przynieśli wieści. Dawno już Ka-nu odkrył sekretne przejścia w pałacu i z jego polecenia studiowałem plany, by ci pomóc. Inaczej zginąłbyś, jak zginęli inni królowie Valuzji. Przyszedłem sam, więcej ludzi wzbudziłoby podejrzenia. Wielu nie przekradłoby się do pałacu, jak ja. Część tego sprzysiężenia już widziałeś. Ludzie-węże strzegą twoich drzwi, a ten, jako Tu, mógł dotrzeć do każdego zakamarka pałacu. Rankiem, jeżeli kapłani przegrają, prawdziwi gwardziści staną na swoich miejscach, niczego nie wiedząc, niczego nie pamiętając. Na nich też spadnie wina, jeśli kapłanom się uda. A teraz zostań tu chwilę, ja pójdę ukryć ciało.

Z tymi słowami Pikt spokojnie zarzucił sobie na ramię przerażający ciężar i znikł za ukrytymi drzwiami. Kull został sam. Myśli jak oszalałe wirowały mu w głowie. Czciciele potężnego Węża, iluż ich skrywa się w miastach? Ilu z zaufanych doradców, ilu z wiernych generałów było ludźmi? Jak odróżnić prawdę od fałszu? Komu można zaufać?

Sekretne drzwi otworzyły się i wszedł Brule.
– Szybko wróciłeś.
– Tak – wojownik postąpił krok do przodu, wpatrując się w podłogę. – Tu, na dywanie, jest plama krwi, spójrz.
Kull pochylił się. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, błysk stali... Wyprostował się jak sprężyna, jednocześnie wyprowadzając straszliwe pchnięcie z dołu. Pikt zawisł na ostrzu, wypuszczając własny miecz z martwej ręki. Kull pomyślał z goryczą, że widać przeznaczeniem zdrajcy było zginąć od ciosu, tak często stosowanego przez ludzi jego rasy. Brule opadł na podłogę i w tej samej chwili kontury jego twarzy zaczęły falować i zacierać się, a gdy Kull, ze zjeżonym włosem, wstrzymał oddech, ludzkie rysy rozwiały się, a na ich miejscu rozdziawiała paszczę głowa olbrzymiego węża, paciorkowate oczy nawet po śmierci wpatrywały się w niego z nieludzką złośliwością.
– Kapłan węża – szepnął król. – Valko, co za straszliwy plan żeby zastać mnie bez straży. A Ka-nu, czy on jest człowiekiem? Czy to z nim rozmawiałem w ogrodach? Wszechmocny Valko! – dreszcz przeszedł go od straszliwej myśli: czy ludzie w Valuzji to naprawdę ludzie, czy też w s z y s c y są wężami?
Stał nieruchomo nie wiedząc, co począć. Podświadomie zarejestrował znamienny fakt: przedmiot, zwany kiedyś Brule, nie nosił już smoczej bransolety. Za plecami usłyszał jakiś szelest i odwrócił się.

Brule wchodził przez tajemne drzwi!
– Powstrzymaj się! – na ramieniu, wyciągniętym w górę, by zatrzymać cios uniesionego miecza lśniła bransoleta w kształcie smoka. – Valko! – Pikt przerwał. Po chwili wykrzywił wargi w posępnym uśmiechu.
– O, bogowie mórz! Chytre są te demony. Musiało być tak, że ten tu ukrył się w korytarzu, a kiedy zobaczył, że niosę ciało tamtego, przybrał moją postać. Tak. A teraz tego także trzeba się pozbyć.
– Stój! – groźba zabrzmiała w głosie Kulla. – Na moich oczach dwóch ludzi zmieniło się w węże. Skąd mam wiedzieć, że ty n a p r a w d ę jesteś człowiekiem?
Brule zaśmiał się.
– Z dwóch powodów, panie. Żaden człowiek-wąż nie nosi tego – wskazał bransoletę. – Ani też nie zdoła wymówić tych słów – i Kull znowu usłyszał to przedziwne zdanie – Ka nama kaa lajerama.
– Ka nama kaa lajerama – powtórzył mechanicznie. – Gdzie, na imię Valki, słyszałem te słowa? Nie, nigdy ich nie słyszałem. A przecież... przecież...
– Tak, pamiętasz je, Kullu – powiedział Brule. – Skrywają się w mrocznych labiryntach twojej pamięci. Nie słyszałeś ich nigdy w tym życiu, jednak w stuleciach, które minęły, z tak straszną mocą odbiły się w twojej duszy, która nigdy nie umiera, że ich brzmienie zawsze będzie poruszać ukryte struny wspomnień, kiedy w kolejnych reinkarnacjach przeżyjesz nadchodzące eony. To zda-

nie bowiem, przekazywane potajemnie, dotarło do nas z czasów, gdy, nieprzeliczone wieki temu, było hasłem ludzkiego rodu, walczącego ze straszliwymi istotami Starego Wszechświata. Tylko prawdziwy człowiek, z krwi i kości, może je wypowiedzieć, bo jego usta i krtań są inne niż u jakiegokolwiek stworzenia. Znaczenie zostało zapomniane, ale słowa przetrwały.
– To prawda – stwierdził Kull. – Pamiętam te legendy. O Valko! – przerwał nagle. Niespodziewanie, jakby za uchyleniem zaklętych drzwi, niezmierzone, mgliste głębie rozwarły się przed oczyma jego duszy. Spojrzał wstecz, przez bezmiary rozdzielające życie od życia, dostrzegając nierealne, widmowe kształty, ożywiające martwe stulecia – ludzi w walce z monstrami, ludzi wyzwalających planetę od straszliwej grozy. Na szarym, ciągle zmiennym tle poruszały się dziwne postacie z koszmarnego snu, fantazje zrodzone z szaleństwa i strachu; a człowiek, ten żart bogów, ślepy i głupi, z prochu zrodzony i obracający się w proch, kroczył długim, krwawym szlakiem swego przeznaczenia, nie znający przyczyn, okrutny, błądzący, jednak z płonącą w sercu iskrą świętego ognia... Kull, wstrząśnięty, przesunął dłonią po czole. Zawsze przerażały go te przelotne spojrzenia w otchłanie własnej pamięci.
– Oni odeszli – rzekł Brule, jakby czytając w jego myślach. – Kobiety-ptaki, harpie, ludzie-nietoperze, latające monstra, ludzie-wilki, demony, gobliny – wszyscy, z wyjątkiem takich stworzeń, jak to u naszych stóp i jeszcze kilku ludzi-wilków. Długa i straszna była ta wojna, całe stulecia minęły, nim pierwsi i z pierwszych ludzi, porzuciwszy małpią rodzinę, przekształcili się w rasę, panującą dzisiaj nad światem. W końcu jednak ludzkość zwyciężyła, tak dawno, że tylko niejasne opowieści przetrwały bezmiar czasu. Ludzie-węże byli ostatnimi, lecz i oni zostali pokonani i odepchnięci na pustynne ziemie, aby żyć tam wśród prawdziwych węży do dnia, kiedy, jak mówią mędrcy, ta straszna rasa zniknie całkowicie. A jednak powrócili, w maskach, gdy tylko ludzkie plemię osłabło i zapomniało o dawnych wojnach. Znów rozgorzała straszliwa, tajemna walka. Między ludźmi Młodej Ziemi czaiły się przerażające stwory Starej Planety, chronione przez swą wiedzę i sztukę, przyjmujące każdą formę, każdy kształt, dokonujące w sekrecie budzących grozę czynów. Nikt nie wiedział, kto z ludzi jest prawdziwy, kto fałszywy. Człowiek nie mógł zaufać drugiemu człowiekowi. Ale ludzie znaleźli sposoby, by odróżnić prawdę od fałszu. Swoim znakiem i sztandarem uczynili postać uskrzydlonego smoka, latającego dinozaura, największego wroga węży. A słów, które ode mnie usłyszałeś, używali jako hasła i symbolu, bowiem jak już mówiłem, tylko prawdziwy człowiek może je wypowiedzieć. I ludzkość zatryumfowała. A jednak monstra powróciły po latach zapomnienia, gdyż człowiek ciągle przypomina małpę tym, że szybko zapomina o rzeczach, których nie ma stale przed oczyma. Przyszli jako kapłani, kiedy ludzie, wśród luksusu, zapomnieli o starych religiach. I tak ludzie-węże, pod maską nauczycieli nowej, prawdziwej wiary, stworzyli potężny kult Boga-Węża. Są tak potężni, że śmiercią grozi wspominanie starych legend o ludziach-wężach, a wszyscy pochylają się przed Bogiem-Wężem w nowej postaci – ślepi głupcy, nie widzą związku między jego mocą, a mocą, którą ich przodkowie zgnietli w poprzednich epokach. Jako kapłani, ludzie-węże mają wielką władzę, a jednak...
Kull zadrżał.
– Mów dalej.
– Królowie władali Valuzją jako ludzie – szepnął Pikt. – A przecież, zabici w boju, umierali jako węże – tak zginął ten, który padł od włóczni Lwiego Kła kiedy my, z wysp, pustoszyliśmy Siedem Imperiów. A jak to się mogło zdarzyć? Ci władcy rodzili się z kobiet i żyli jak ludzie! To proste – prawdziwi królowie ginęli w tajemnicy – jak ty miałeś zginąć dzisiejszej nocy – a kapłani Węża rządzili na ich miejscu. I nikt o tym nie wiedział.
Kull zaklął przez zęby.
– To prawda, tak musiało być. Nie istnieje człowiek, który widziałby Węża i pozostał przy życiu, to od dawna wiadomo. Dobrze pilnują swoich tajemnic.
– Dyplomacja w Siedmiu Imperiach jest trudną sztuką – rzekł Brule. – Prawdziwi ludzie wiedzą, że między nimi skrywają się szpiedzy Węża i jego sojusznicy – tacy jak Kaanub, baron Baal. A przecież nikt nie śmie odkryć swoich podejrzeń, by nie paść ofiarą zemsty. Ludzie nie ufają sobie, a dyplomaci nie mówią między sobą o tym, o czym wszyscy myślą. Gdyby mogli być pewni, gdyby został przez nimi zdemaskowany choć jeden człowiek-wąż, choć jedna ich intryga, ich moc byłaby w połowie złamana. Wtedy bowiem ludzie, zjednoczeni, usunęliby spomiędzy siebie zdrajców. Jednak jak dotąd tylko Ka-nu ma dość wiedzy i odwagi, by walczyć z kapłanami. A nawet on wiedział o spisku tylko tyle, że mógł mi powiedzieć, co się stanie – co już się stało. Na tę chwilę byłem przygotowany. Od teraz musimy ufać swojemu szczęściu i przebiegłości. Sądzę, że na razie jesteśmy bezpieczni. Ludzie-węże spod drzwi nie zejdą z posterunku, bo prawdziwi mogliby zjawić się niespodziewanie. Lecz możesz być pewien, jutro znowu spróbują. Czego – tego nie wie nikt, nawet Ka-nu. Lecz musimy stać obok siebie, Kullu, aż zwyciężymy, albo zginiemy obaj. A teraz chodź ze mną, zaniosę to ścierwo tam, gdzie poprzednie.
Ruszyli razem mrocznym korytarzem. Ich stopy nie czyniły najlżejszego szmeru, przyuczone w leśnej dziczy stąpać bezgłośnie. Szli jak duchy, skąpani w widmowym świetle. Kull wciąż zastanawiał się, dlaczego korytarz jest pusty. Za każdym zakrętem oczekiwał zasadzki. Znowu napłynęły podejrzenia: czy ten Pikt nie prowadzi go do zguby? Szedł dwa kroki z tyłu, jego obnażony miecz zawisł nad odkrytym karkiem Brule'a – jeśli planuje zdradę – umrze pierwszy. Tamten jednak, jeśli nawet wiedział o niepewności króla, niczego nie dał po sobie poznać. Szedł spokojnie, aż doszli do zapomnianej, zakurzonej komnaty. Ze ścian zwisały ciężkie, sfałdowane zasłony. Brule odsunął jedną z nich i ułożył ciało.

Ruszyli z powrotem. Wtem Brule zatrzymał się tak nieoczekiwanie, że o włos tylko uniknął śmierci. Nerwy Kulla były napięte do ostatecznych granic.
– Tam coś się rusza – szepnął. – Ka-nu mówił, że korytarze będą puste, ale...

Wydobył miecz i ostrożnie postąpił naprzód. Kull ruszył za nim. Po chwili zobaczyli dziwne, widmowe lśnienie. Czekali w napięciu, przyciśnięci plecami do ściany. Kull słyszał oddech Brule'a, wydobywający się przez zaciśnięte zęby. Teraz był pewien jego lojalności.

Blask przybrał niewyraźny kształt, jakby ludzki, lecz zamglony i niewyraźny, jak kłąb dymu. W miarę zbliżania się był wyraźniejszy. Wreszcie spojrzała na nich para dużych lśniących oczu na twarzy, która zdawała się przecierpieć wszystkie tortury od milionów stuleci. Nie było w niej groźby, tylko bezbrzeżny żal, a ta twarz... ta twarz...
– Wszechmocni bogowie – szepnął Kull. – To Eallal, król Valuzji, który zginął tysiąc lat temu!

Brule po raz pierwszy tej strasznej nocy stracił zimną krew. Jego oczy rozszerzyły się ze zgrozy, miecz zadrżał w dłoni. Kull stał wyprostowany, instynktownie trzymając w pogotowiu bezużyteczny teraz miecz. Zimny pot zalewał mu czoło, włosy jeżyły się na głowie, wciąż jednak był królem królów, gotowym potykać się z nieznanymi siłami śmierci tak, jak z żywymi.

Widmo szło prosto, nie zwracając na nich uwagi. Kull odsunął się, kiedy przechodziło obok, czując na twarzy jego oddech, lodowaty jak północny wiatr. Cień szedł naprzód cichym, powolnym krokiem, jakby nogi pętały mu kajdany wszystkich epok. Wreszcie znikł za zakrętem korytarza.
– Valko – stęknął Brule, ocierając pot z czoła. – To nie był człowiek. To był duch.
– Tak – Kull pokiwał głową. – Poznałeś tę twarz? To był Eallal. Władał Valuzją tysiąc lat temu i został skrytobójczo zamordowany w swojej sali tronowej, teraz zwanej Przeklętą Komnatą. Na pewno widziałeś jego posąg w Komnacie Chwały Królów.
– Tak. I teraz przypominam sobie tę opowieść. Bogowie, Kullu, to kolejny znak strasznej mocy kapłanów Węża. Ten król został przez nich zgładzony i jego dusza stała się ich sługą, by przez wieczność wypełniać ich rozkazy. Mędrcy zawsze powiadali, że jeśli człowiek ginie z ręki ludzi-węży, to jego duch staje się na zawsze ich niewolnikiem.
Kull zadrżał.

Robert E. HOWARD

Amerykański pisarz, urodzony w 1906 r. w Peaster, Teksas. Żył tylko 30 lat. Debiutował na łamach WEIRD TALES opowiadadniem **„Spears and Fang"** (1925). Bardzo płodny, pisał niemal wszystko, co dawało się sprzedawać w ówczesnych „groszowych" (pulp) magazynach – westerny, opowieści historyczne, kryminały, romanse, itd. Przetrwał jako pisarz dzięki opowiadaniom fantasy, a szczególnie dzięki serii, której bohaterem był Conan z Cymerii – niezbyt skomplikowany psychologicznie, za to nieustraszony i niezwyciężony barbarzyńca, wędrujący od przygody do przygody po przedlodowcowym świecie, pełnym potężnych królestw, straszliwych potworów, magii oraz pięknych dziewcząt. Howard był autorem bodajże tylko 21 opowiadań z Conanem w roli głównej (17 z nich ukazało się w latach 1932–36 w WEIRD TALES, zaś 4 pośmiertnie w innych magazynach), jednak seria została później bardzo rozbudowana przez innych pisarzy, głównie przez L. Spraque de Camp oraz Lina Cartera (także ubrana w formę komiksu oraz sfilmowana).
Popularność Howarda narodziła się i zaczęła wzrastać dopiero kilkanaście lat po jego samobójczej śmierci (1936 r.). Dziś jego wpływ na rozwój fantasy jest porównywany przez niektórych krytyków z wpływem, jaki miała na ten gatunek twórczość J. R. R. Tolkiena. Howard jest uznawany za twórcę przygodowej odmiany fantasy – „sword and sorcery"

(djt)



G. Bednarz

– To straszliwy los. Słuchaj – jego żelazne palce zacisnęły się na ramieniu Pikta. – Słuchaj, jeżeli te potwory zranią mnie śmiertelnie, to przysięgnij, że dobijesz mnie swoim mieczem, żeby nie posiedli mojej duszy.
– Przysięgam – powiedział Brule. – I ty uczyń to samo.
Ich dłonie spotkały się, mocnym uściskiem pieczętując krwawe przymierze.

4.Maski

Kull siedział w sali tronowej i w zadumie spoglądał na morze zwróconych ku niemu twarzy. Marszałek dworu mówił coś równym, śpiewnym głosem, lecz król tego nie słyszał. W pobliżu, oczekując poleceń, stał Tu, głowa Rady. Ilekroć Kull spojrzał w jego stronę, drżał od strasznych wspomnień. Gładka powierzchnia dworskiego życia była jak morze pomiędzy dwiema falami, wydarzenia ostatniej nocy zdawały się snem, póki jego wzrok nie padł na poręcz tronu. Opierało się o nią muskularne, brązowe ramię z błyszczącą na nim smoczą bransoletą – Brule stał przy jego boku i jego szept wyrywał króla z zamyślenia.

Nie, nie było snem to straszliwe interludium. Siedział na tronie w sali przyjęć, patrzył na dworzan, damy, książąt i polityków i zdawało mu się, że ich twarze są tylko nierealną złudą, cieniem, igraszką zmysłów. Zawsze uważał te twarze za maski, lecz przedtem patrzył na nie z pogardliwym pobłażaniem myśląc, że skrywają płytkie, małostkowe dusze, chciwe, lubieżne, zakłamane. Teraz dostrzegał ukrytą pod nimi niejasną grozę. Wymieniając gładkie zwroty z jakimś szlachcicem widział niemal, jak uśmiechnięta twarz rozwiewa się, a na jej miejscu rozwiera się straszna, wężowa paszcza. Ilu z tych, na których patrzył, było nieludzkimi stworami, knującymi przeciw niemu, ukrytymi za hipnotyczną iluzją ludzkich twarzy?

Valuzja – kraina snów i koszmarów, królestwo cieni, rządzone przez widma, przesuwającecе z władcy, który sam jest tylko cieniem. I drugi cień – Brule, stojący u jego boku. Brule, prawdziwy człowiek. Przyjaciel. Kull wiedział, że Brule także odczuwa tę przyjaźń, niezależnie od racji politycznych.

A co jest prawdziwym życiem? Ambicja, siła, duma? Przyjaźń mężczyzny, miłość kobiety – których Kull dotąd nie zaznał – bitwa, łupy – co? Czy był prawdziwym Kullem ten, co siedział teraz na tronie, czy też ten, co wspinał się na wzgórza Atlantydy, grabił zachodnie wyspy i śmiał się do zielonych, morskich fal?
Wielu było tych Kullów. W końcu kapłani Węża poszli ze swoją magią tyko o krok dalej, gdyż maski nosili wszyscy, każdy mężczyzna, każda kobieta. Mieli ich wiele. Ale czy pod każdą ukrywał się wąż?
Dworzanie podchodzili i oddalali się, aż wreszcie drobne, codzienne sprawy zostały załatwione i, jeżeli nie liczyć sennej służby, pozostali z Brulem sami w sali przyjęć.
Kull był zmęczony. Ani on, ani Brule nie spali tej nocy. On nie spał także poprzedniej, kiedy w ogrodach Ka-nu otrzymał pierwszą informację o dziwnych rzeczach, mających się wydarzyć. Ostatniej nocy, po powrocie do pokoju studiów, nie zdarzyło się już nic niezwykłego, lecz żaden z nich nawet nie myślał o śnie. Kull, przy swojej wilczej żywotności, w czasach młodości mógł nie spać wiele dni. Teraz jednak czuł się zmęczony grozą ubiegłej nocy i nieustanną gonitwą myśli w czasie dnia. Potrzebował snu, lecz sen był daleko.
Zresztą nie ośmieliłby się udać na spoczynek. Choć on sam i Brule pilnowali wtedy, nocą, czy – i kiedy – warta zostanie zmieniona, to przecież zmieniono ją bez ich wiedzy. Rankiem gwardziści bez problemów potrafili powtórzyć magiczne zdanie Brule'a. Nie przypominali sobie nic niezwykłego. Zdawało im się, że jak zwykle spędzili całą noc na warcie. Kull nie zaprzeczał. Wierzył, że to prawdziwi ludzie, czuł jednak, że lepiej będzie utrzymać wszystko w tajemnicy.
Teraz Brule pochylił się, zniżając głos do szeptu.
– Myślę, Kullu, że wkrótce uderzą. Przed chwilą Ka-nu dał mi znak. Kapłani wiedzą, że my wiemy o spisku, nie wiedzą jednak, jak dużo wiemy. Musimy być gotowi. Ka-nu i wodzowie Piktów pozostaną w pobliżu, aż wszystko się wyjaśni tak czy inaczej. Wiedz, panie, że jeśli dojdzie do ostatecznej rozprawy, ulice Valuzji spłyną krwią.
Kull uśmiechnął się posępnie. Z radością przyjąłby każde działanie. Wędrówka po labiryntach złudzeń i czarów była obca jego naturze. Tęsknił do szczęku broni, do radosnego poczucia wolności, jakie daje bitwa.
Potem do sali przyjęć wszedł Tu, a za nim pozostali członkowie rady.
– Panie, nadchodzi godzina obrad. Czekamy, by odprowadzić cię.
Kull wstał. Doradcy klękali, kiedy przechodził ich szpalerem, po jego przejściu wstawali i ruszali za nim. Kilku uniosło brwi, zdziwionych widokiem piktyjskiego wojownika, z dumną miną idącego za królem, nikt jednak nie zaprotestował. Brule, z właściwą

barbarzyńcom pogardą, spoglądał wyzywająco na ich wygolone twarze.
Przeszli przez liczne korytarze, by w końcu znaleźć się w komnacie rady. Zgodnie ze zwyczajem zamknięto drzwi i doradcy usiedli, według swej rangi, przed podwyższeniem, na którym stanął władca. Brule, bez słowa, zajął miejsce za jego plecami.
Kull obiegł wzrokiem pomieszczenie. Tak, tu zdrada była niemożliwa. Siedemnastu członków rady, wszyscy dobrze mu znani, wszyscy dali się poznać jako jego zwolennicy już wtedy, kiedy wstępował na tron.
– Ludu Valuzji... – zaczął w zwykły sposób i urwał, zdumiony.
Doradcy jak jeden mąż wstali i ruszyli w jego stronę. Na ich twarzach nie było groźby, lecz ich zachowanie było co najmniej dziwne. Pierwszy był już całkiem blisko, kiedy Brule, jak leopard, skoczył do przodu.
– Ka nama kaa lajerama! – zabrzmiał w ciszy jego głos.
Najbliższy z doradców zatrzymał się i sięgnął ręką pod togę. Brule działał błyskawicznie, miecz błysnął w powietrzu i człowiek runął głową wprzód. Legł nieruchomo, a jego głowa rozpływała się jak mgła pod dmuchnięciem wiatru, stając się łbem wielkiego węża.
– Bij, Kullu! – krzyknął Pikt. – To wszystko słudzy Węża!
Potem był już tylko krwawy zamęt. Kull zobaczył, jak znane twarze rozwiewają się, ukazując okropne pyski gadów. Cała grupa runęła do przodu. Oszołomienie ogarnęło umysł Kulla, lecz jego mięśnie działały mechanicznie, bez udziału woli.
Świst mieczy wypełnił komnatę i atak załamał się w strumieniach krwi. Tamci jednak napierali, gotowi poświęcić swe życie, byle tylko zabić Króla. Straszne łby wyciągały się w jego stronę, wpatrywały się w niego pozbawione powiek oczy. Powietrze wypełnił ohydny odór – zapach węży, znany Kullowi z południowych dżungli. Godziły w niego miecze i sztylety, lecz nie czuł ran. Był w swoim żywiole. Wprawdzie nigdy dotąd nie spotkał takich przeciwników, ale to nic – żyli, w ich żyłach płynęła krew, którą mógł przelać, ginęli, kiedy miecz przebijał ciała. Pchnięcie, zamach, cięcie i obrót... Mimo to Kull zginąłby niewątpliwie, gdyby nie człowiek walczący u jego boku, odbijający i powstrzymujący ciosy. Król był jak oszalały. Walczył strasznym sposobem Altantów, którzy szukają śmierci, by zadawać śmierć. Nie robił nic, by zasłonić się od ciosów, wyprostowany, szedł naprzód, opanowany tylko jedną myślą: zabić! Nieczęsto zdarzało się, że Kull, ogarnięty pierwotną furią zapominał całej swej sztuki szermierki. Tym razem jednak jakaś struna pękła w jego duszy, pozostawiając w niej tylko prymitywną żądzę krwi. Każdy cios powalał kogoś z wrogów, lecz oni ciągle kłębili się wokół – raz za razem Brule odbijał mordercze pchnięcia. Skulony, walczył spokojnie, nie szerokimi cięciami, jak Kull, lecz krótkimi pchnięciami z dołu powalając przeciwników.
Kull zaśmiał się śmiechem szaleńca. Straszne pyski wirowały wokół w szkarłatnej mgle. Poczuł, że ostrze rozrywa mu ramię i szerokim łukiem opuścił miecz, niemal na połowy rozcinając wroga. Potem mgła rozwiała się i Kull stwierdził, że on i Brule stoją sami nad stosem ciał.
– Valko, cóż to była za bitwa – rzekł Brule, ocierając zalane krwią oczy. – Gdyby to byli wojownicy, którzy wiedzą, co się robi z mieczem, to wiedz, Kullu, że bylibyśmy już martwi. Ci kapłani nic nie wiedzieli o sztuce walki. Łatwiej dawali się zabijać, niż jakikolwiek człowiek, którego spotkałem w życiu. A przecież gdyby było ich choć o kilku więcej, cała sprawa skończyłaby się inaczej.
Kull przytaknął. Furia opuściła go, pozostawiając tylko wielkie zmęczenie. Krew płynęła z głębokich ran na piersi, ramieniu, ręce i nodze. Brule, sam pokrwawiony, patrzył na niego z niepokojem.
– Panie, pozwólmy teraz kobietom opatrzeć twoje rany.
Kull odsunął go stanowczym gestem.
– Trzeba się im przyjrzeć, zanim stąd odejdziemy. Ale ty możesz iść. Wydam rozkazy, żeby cię opatrzono.
Pikt roześmiał się ponuro.
– Twoje rany są cięższe... – zaczął i urwał, uderzony nagłą myślą.
– Na Valkę, to przecież nie jest komnata rady!
Kull rozejrzał się czując, jak opada kolejna zasłona.
– Nie, to komnata, w której zginął Eallal, od tego czasu opuszczona i zwana „Przeklętą".
– A więc w końcu nas podeszli - krzyknął wściekły Brule, kopiąc ciała, leżące na podłodze. – Jak głupcy weszliśmy w pułapkę! Czarami odmienili tu wszystko...
– Zatem przed nami dalsze diabelskie sztuczki – rzekł Kull. – Jeśli są jacyś prawdziwi ludzie w radzie koronnej Valuzji, to są teraz w prawdziwej komnacie rady. Chodźmy tam, szybko!
Pozostawili komnatę martwym, a sami pobiegli przez puste korytarze, by stanąć przed komnatą rady. Kull zadrżał. Zza drzwi dobiegł głos, który był jego głosem.

Drżącą dłonią rozsunął story i zajrzał do środka. Ujrzał członków rady, identycznych z tymi, których dopiero co wraz z Brulem wycięli do nogi, a na podwyższeniu zobaczył Kulla, władcę Valuzji. Cofnął się.
– To szaleństwo – szepnął. – Czy to ja jestem Kullem? Czy stoję tutaj, czy też Kull to tamten, a ja jestem tylko odbiciem jakiejś błądzącej myśli?
Brule chwycił go za ramię i potrząsnął gwałtownie, przywracając przytomność umysłu.
– Nie bądź głupcem, na Valkę. Dziwisz się jeszcze po tym wszystki, cośmy widzieli? Czy nie widzisz, że to prawdziwi ludzie, a tamten to człowiek-wąż, który przyjął twoją postać? Ty powinieneś teraz być trupem, a ten stwór miał rządzić zamiast ciebie, przez nikogo nie rozpoznany. Zabij go, inaczej jesteśmy zgubieni. Czerwoni Zabójcy, prawdziwi, stoją za nim i nikt prócz ciebie nie doła go dosięgnąć. Pospiesz się.
Kull otrząsnął się z oszołomienia i uniósł głowę dawnym, dumnym gestem. Odetchnął głęboko, jak dobry pływak przed skokiem w morze, po czym jednym, tygrysim susem znalazł się na podwyższeniu. Brule miał rację. Tu stali Czerwoni Zabójcy, wyćwiczeni w reakcjach szybkich jak myśl. Każdy inny zginąłby, nim by zdołał dosięgnąć uzurpatora. Ale widok króla, identycznego ze stojącym na podwyższeniu, zbił ich z tropu, na chwilę tylko, lecz to wystarczyło. Ten drugi sięgnął do miecza, nim jednak zdążył dotknąć rękojeści, miecz Kulla przeszył mu pierś i stwór, którego obecni uważali za swego władcę runął bez życia.
– Stójcie! – Kull podniósł rękę, by uspokoić zamieszanie, po czym wskazał na ciało, leżące u jego stóp, którego twarz znikała powoli, zastępowana przez łeb węża. Doradcy cofnęli się przerażeni, a wtedy do komnaty wszedł Brule, zaś drugimi drzwiami Ka-nu. Obaj uścisnęli czerwoną od krwi dłoń króla.
– Obywatele Valuzji! – rzekł Ka-nu – Widzieliście to własnymi oczyma. Oto prawdziwy Kull, najpotężniejszy z władców, jacy kiedykolwiek rządzili Valuzją. Moc Węża została złamana, wy jesteście prawdziwymi ludźmi. Panie, jakie są twoje rozkazy?
– Podnieście to ciało – rzekł Kull, a gwardziści wykonali polecenie. – A teraz chodźcie za mną.
Poszli w kierunku Przeklętej Komnaty. Zaniepokojny Brule chciał podtrzymać króla, lecz ten odepchnął jego ramię. Krawawił silnie, droga zdawała się nie mieć końca. Wreszcie stanęli u drzwi. Kull zaśmiał się dziko, słysząc przerażone okrzyki swoich doradców. Na jego rozkaz gwardziści rzucili ciało obok stosu innych, po czym król gestem ręki nakazał wszystkim wyjście. Zamknął drzwi.
Poczuł zawrót głowy. Otaczające go blade, zdziwione twarze rozpływały się w widmowej mgle. Strużki krwi spływały mu po ciele. Wiedział, że to, co chce zrobić, musi zrobić prędko lub nigdy.
Zgrzytnął miecz, dobywany z pochwy.
– Brule, jesteś tutaj?
– Jestem – twarz Pikta była tuż obok jego własnej, lecz głos dobiegał tak słabo, jakby dzieliły ich setki mil i setki lat.
– Pamiętaj o naszej przysiędze. A teraz każ im się cofnąć.
Lewą ręką odsunął bliżej stojących i wzniósł miecz. Wkładając w ten cios całą siłę, jaką jeszcze zachowały jego mięśnie, aż po rękojeść wbił go, przez drzwi, w futrynę, zamykając komnatę na zawsze.
Zatoczył się jak pijany.
– Niech ta komnata będzie od dziś podwójnie przeklęta. Niech te gnijące ciała zostaną w niej na zawsze, na znak przełamanej mocy Węża. Tu wam przysięgam, że będę ścigał ludzi-węży przez wszystkie lądy i morza i nie zaznam spoczynku, póki wszyscy nie zginą, a dobro zwycięży moce Piekieł. To przysięgam ja... Kull... król... Valuzji...
Kolana ugięły się pod nim, twarze zawirowały wokół.
Doradcy biegali wśród jęków i pisków, nie wiedząc co począć.
Ka-nu, klnąc wściekle, roztrącił ich pięściami.
– Z drogi, durnie. Chcecie zgasić tę ostatnią iskrę życia, co jeszcze tli się w tym ciele? Jak tam, Brule, jest martwy, czy będzie żył?
– Martwy? – Brule uśmiechnął się drwiąco. – To nie takie proste zabić takiego człowieka. Brak snu i upływ krwi osłabiły go... na Valkę, ma parę głębokich ran, ale żadna z nich nie jest śmiertelna. Lepiej jednak, żeby ci rozwrzeszczani durnie sprowadzili szybko kobiety.
Oczy Brule'a rozbłysły nagle.
– Na Valkę, Ka-nu, nie przypuszczałem, że w tym czasach upadku i degeneracji żyje jeszcze ktoś taki jak on. Za parę dni będzie siedział w siodle, a wtedy niech ludzie-węże strzegą się Kulla z Valuzji. To będzie piękne polowanie. Długie lata dobrobytu czekają nasz świat, gdy taki człowiek zasiada na tronie Valuzji.

Przełożył Piotr W. Cholewa



J. Pogwizd

Śmierć na balu

(Come Lady Death)

Peter S. Beagle

Zdarzyło się to w Anglii, dawno, dawno temu, kiedy ów Jerzy, który mówił po angielsku z twardym niemieckim akcentem i który nienawidził swoich własnych synów, zasiadł na tronie królewskim.

W tym czasie żyła w Londynie pewna dama, której jedynym zajęciem było wydawanie przyjęć. Nazywała się Flora Lady Neville. Była wdową, bardzo już starą. Mieszkała we wspaniałym domu niedaleko Pałacu Buckingham i miała tak wielu służących, że nie potrafiła zapamiętać wszystkich imion, a niektórych z nich nawet nigdy nie widziała. Miała więcej jedzenia niż potrafiła sama zjeść i tyle strojów, że nigdy nie mogłaby się w nie wszystkie odziać. W swych piwnicach trzymała takie ilości wina, że nikt za jej życia nie byłby w stanie go wypić. Podziemia jej domu zalegały wspaniałe dzieła sztuki – tak liczne, że nawet nie wiedziała, iż jest ich właścicielką. Ostatnie lata życia spędziła na wydawaniu przyjęć i balów, na które przybywali najwspanialsi lordowie Anglii – czasem nawet sam król. Uważano ją powszechnie za najmodniejszą i najdowcipniejszą kobietę w całym Londynie.

Z upływem czasu przyjęcia poczęły ją nudzić i mimo że wciąż zapraszała na nie najsławniejszych ludzi z całej Anglii i sprowadzała najznakomitszych kuglarzy, akrobatów, tancerzy i magików, by ich bawili, wydawały jej się coraz nudniejsze. Słuchanie dworskich plotek, które zawsze tak uwielbiała, teraz przyprawiało ją o ziewanie. Najpiękniejsza muzyka i najbardziej ekscytujące pokazy czarnej magii działały na nią usypiająco. Widok tańczącej nieopodal pięknej, młodej pary wywoływał w niej uczucie smutku – a ona nie znosiła być smutną.

Aż pewnego letniego popołudnia przywołała do siebie najbliższych przyjaciół i rzekła do nich:

– Coraz częściej doświadczam uczucia, że moje przyjęcia bawią wszystkich, tylko nie mnie. Tajemnica mojej długowieczności polega na tym, że dotychczas nic mnie nie nudziło. Przez całe swe życie interesowałam się wszystkim, co widziałam i zawsze chciałam widzieć jeszcze więcej. Nie zamierzam więc dłużej chodzić na przyjęcia, na których czeka mnie tylko nuda, zwłaszcza jeśli będą to moje przyjęcia. Zatem na swój następny bal zaproszę gościa, tego jednego jedynego, który na pewno dla nikogo, nawet dla mnie samej, nie będzie nieciekawy. Moi przyjaciele, tym honorowym gościem na moim następnym przyjęciu będzie Śmierć we własnej osobie!

Młody poeta pomyślał w duchu, że to cudowny pomysł, ale pozostali przyjaciele przerazili się i aż odsunęli się od starej damy. Błagali ją, by tego nie robiła, mówili, że nie chcą jeszcze umierać. Śmierć przyjdzie po nich sama, jak tylko będzie gotowa. Po co ją zapraszać przed wyznaczoną godziną, która i tak wkrótce nadejdzie?

Lady Neville odparła te błagania, mówiąc:

– Otóż to. Jeżeli Śmierć ma w planie zabrać kogokolwiek z nas w nocy, gdy odbywać się będzie przyjęcie i tak przybędzie – zaproszony czy też nie – wszyscy zakładali, że Śmierć jest osobnikiem rodzaju męskiego i tak też o niej mówili. – Jeśli jednak nikomu z nas nie jest pisane wyzionąć ducha, myślę, że byłoby czarujące mieć Śmierć w naszym towarzystwie – może nawet pozwolić sobie na jakąś niewielką psotkę, o ile będzie w dobrym humorze. Pomyślcie tylko o możliwości pochwalenia się – było się na przyjęciu ze Śmiercią! Cały Londyn będzie nam zazdrościł, cała Anglia!

Pomysł Lady Neville zaczął właśnie z wolna zyskiwać aprobatę jej przyjaciół, gdy pewien młody lord, od niedawna bawiący w Londynie, nieśmiało wtrącił:

– Śmierć jest taki zajęty. Co będzie, jeśli ma dużo pracy i nie będzie mógł przyjąć tego zaproszenia?

– Nikt nigdy nie odrzucił mego zaproszenia – odparła Lady Neville. – Nawet król.

Młody lord nie został zaproszony na przyjęcie.

Zaraz też usiadła i napisała zaproszenie. Początkowo jej przyjaciele spierali się między sobą o to, jak należy się zwracać do Śmierci.

Tytuł „Jego Lordowska Mość Śmierć" sugerował, jak sądzono, zbyt niski w hierarchii społecznej stopień wicehrabiego czy barona. „Jego Miłość Śmierć" zyskał większą aprobatę, ale Lady Neville stwierdziła, że to trąci hipokryzją. Z kolei zwracanie się do Śmierci za pomocą tytułu „Jego Królewska Mość" stawiałoby Śmierć na równi z Królem Anglii, a na taki akt nielojalności nie ośmieliłaby się nawet sama Lady Neville. W końcu uzgodniono, że będą zwracać się do Śmierci – „Jego Eminencja Śmierć", co

zadowoliło niemal wszystkich.

Następnie Kapitan Compsom, znany jako najzuchwalszy oficer kawalerii angielskiej i jako najelegantszy hulaka, zapytał:

– To wszystko bardzo pięknie, ale jakim sposobem mamy doręczyć zaproszenie? Czy ktokolwiek z was wie, gdzie mieszka Śmierć?

– Śmierć bez wątpienia mieszka w Londynie – powiedziała Lady Neville – tak jak wszyscy choć trochę liczący się ludzie, aczkolwiek latem prawdopodobnie udaje się do Ceauville. Sądzę, że musi mieszkać dość blisko mego domu. To jest ponad wszelką wątpliwość najlepsza dzielnica Londynu i trudno byłoby oczekiwać, by tak ważna persona jak Śmierć zamieszkiwała w jakimkolwiek innym miejscu. Jak się dobrze zastanowić, to w istocie dość dziwne, że dotychczas nie spotkałam się z nim – nadal wszyscy nie mogli myśleć o Śmierci inaczej niż o istocie płci męskiej – na ulicy.

Większość przyjaciół przyznała jej rację, ale wtem poeta o nazwisku David Lorimond wykrzyknął:

– Nie, moja pani. Mylisz się! Śmierć mieszka wśród biednych. Śmierć mieszka w najbardziej odrażających, najciemniejszych uliczkach tego miasta, w jakiejś ohydnej, zaszczurzonej ruderze, śmierdzącej jak... – tu przerwał, po części dlatego, że Lady Neville okazała swe niezadowolenie, a po części dlatego, że sam nigdy nie przekroczył progu takiej rudery, ani też nie zastanawiał się jak w rzeczywistości mogła śmierdzieć. – Śmierć mieszka wśród biednych – kontynuował – i codziennie przychodzi do nich z wizytą, albowiem jest ich jedynym przyjacielem.

Lady Neville odpowiedziała mu z takim samym chłodem, z jakim zwróciła się niedawno do młodego lorda.

– Z pewnością musi się nimi zajmować, Davidzie, ale trudno mi uwierzyć w to, że szuka ich towarzystwa. Jestem pewna, że, podobnie jak i mnie, Śmierci z trudem przychodzi myślenie o biednych jako o jednostkach ludzkich. W końcu Śmierć jest szlachcicem.

Co prawda i lordowie, i damy byli zdania, że Śmierć musi mieszkać w sąsiedztwie przynajmniej tak dobrym jak ich własne, ale wszystko wskazywało na to, że nikt z nich nie zna ani nazwy ulicy, przy której mieszka, ani też nigdy nie widział jego domu.

– Gdybyśmy tak mieli wojnę – powiedział Kapitan Compson – z łatwością moglibyśmy go odnaleźć. Wiecie, widziałem Śmierć i nawet mówiłem do niego, ale mi nigdy nie odpowiedział.

– Bardzo słusznie – powiedziała Lady Neville. – To Śmierć musi zawsze przemówić pierwszy. Nie umiałeś się właściwie zachować, Kapitanie – docięła mu Lady Neville, ale natychmiast uśmiechnęła się do niego, tak jak to zwykle czynią kobiety.

Wtem przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– O ile wiem, mój fryzjer ma chore dziecko – powiedziała. – Mówił mi o nim wczoraj i zdaje się, że stan jest beznadziejny. Poślę po niego i dam mu zaproszenie, a on z kolei będzie mógł wręczyć je Śmierci, kiedy przyjdzie zabrać tego bachora. Trochę oryginalny sposób wręczenia zaproszenia, przyznaję, ale nie widzę innej możliwości.

– A jeśli Śmierć odmówi? – zapytał lord, który niedawno był się ożenił.

– A to dlaczego? – spytała Lady Neville.

Ponownie, wśród słów powszechnej aprobaty, poeta wykrzyknął, że wykorzystanie tak przygnębiającej sytuacji dla doręczenie zaproszenia będzie okrutnym i niegodziwym postępkiem. Natychmiast jednak zamilkł, gdyż Lady Neville zapytała niewinnym głosem:

– Ależ dlaczego, Davidzie?

Posłano zatem po fryzjera, a kiedy ten stanął przed nimi, uśmiechając się nerwowo i zaciskając kurczowo dłonie, zmieszany widokiem tak wielu sławnych lordów w jednym pomieszczeniu, Lady Neville powiedziała mu jakiego zadania musi się podjąć. Jej wybór był trafny, nigdy zresztą nie dokonywała złych wyborów, albowiem fryzjer nie zaprotestował ani słóweczkiem. Po prostu wziął zaproszenie w dłoń i przeprosiwszy zgromadzonych – oddalił się.

Nie było go przez dwa dni, ale kiedy się pojawił, a nie trzeba było po niego posyłać, stanął przed Lady Neville i podał jej małą, białą kopertę. Ze słowami – jak to miło z twojej strony, bardzo ci dziękuję – otworzyła ją, znajdując w środku czyściutki blankiecik zawierający jedynie lakoniczne sformułowanie: „Śmierć ma honor przybyć na bal Lady Neville".

– Otrzymałeś to od Śmierci? – zapytała podniecona. – Jak wygląda?

Fryzjer jednak, stojąc nieruchomo, patrzył na nią niewidzącym wzrokiem i nie odrzekł ani słowa, a ona, nie czekając nawet na odpowiedź, wezwała przed swe oblicze tuzin służących i poleciła im natychmiast zwołać swych przyjaciół. Kiedy, czekając na ich przybycie, przemierzała niespokojnym krokiem tam i z powrotem swój pokój, ponownie zapytała:

– Jak wygląda Śmierć? – Fryzjer nie odpowiedział.

Przybyli przyjaciele w podnieceniu przekazywali sobie z ręki do ręki maleńki blankiecik z odpowiedzią, aż po jakimś czasie pobrudził się i pogiął pod ich palcami. Wszyscy zgodnie przyznali, że, z wyjątkiem wiadomości jaką zawierał, nie było w nim nic szczególnie niezwykłego. Nie był w dotyku ani gorący, ani zimny, a delikatna woń, jaką roztaczał należała raczej do przyjemnych. Wszyscy twierdzili, że ten zapach jest im bardzo dobrze znany, ale, o dziwo, nikt nie umiał go nazwać. Poeta powiedział, że przypomina mu kwiat bzu, ale niezupełnie.

Dopiero Kapitan Compsom zauważył coś, na co nikt jeszcze nie zwrócił uwagi.

– Spójrzcie na charakter pisma – powiedział. – Czy widzieliście kiedykolwiek coś bardziej wdzięcznego? Litery wydają się leciutkie jak ptaki. Myślę, że traciliśmy czas na rozważaniach czy mamy tytułować Śmierć „Jego Taki" czy „Jego Siaki". Ten list napisała kobieta.

Po tych słowach wśród zgromadzonych zawrzało i w zgiełku podekscytowanych głosów bilecik ponownie musiał odbyć kolejną podróż z rąk do rąk, by każdy, patrząc nań, mógł wykrzyknąć „Na Boga, ależ tak!" Ponad gwar wybił się w pewnej chwili głos poety.

– Kiedy się głębiej zastanowić, to przecież naturalne. W końcu Francuzi mówią „La morte" – Pani Śmierć. Zdecydowanie bardziej wolałbym, aby Śmierć była kobietą.

– Śmierć dosiada olbrzymiego czarnego rumaka – powiedział Kapitan Compson zdecydowanie – i nosi zbroję tego samego koloru. Jest wysokiego wzrostu, jak nikt inny. Tam na polu bitewnym to nie mogła być kobieta. Widziałem jak uderza mieczem w lewo i prawo jak każdy inny żołnierz. Może to fryzjer napisał odpowiedź, albo jego żona.

Atoli fryzjer odmówił odpowiedzi, mimo że wszyscy otoczyli go kręgiem i błagali, by im powiedział, kto wręczył mu bilecik. Początkowo obiecywali mu najprzeróżniejsze nagrody. Później grozili, że zrobią z nim różne okropne rzeczy. „Czy to ty napisałeś?" – pytano go, albo „Zatem kto to pisał? Czy to była kobieta z krwi i kości? Czy to prawdziwa śmierć? Czy śmierć jest kobietą? Czy ośmielasz się sobie żartować z nas wszystkich?"

Fryzjer nie odparł ani słowa, ani jednego słóweczka i w końcu Lady Neville wezwała służących i poleciła im wychłostać biedaka i wyrzucić na ulicę. Nawet nie spojrzał na nią, gdy go zabierano. Milczał.

Uciszając swych przyjaciół gestem dłoni, Lady Neville powiedziała:

– Bal odbędzie się za dwa tygodnie, licząc od dzisiejszego wieczoru. Niechaj Śmierć przybędzie pod taką postacią, pod jaką sobie życzy – jako mężczyzna, kobieta, czy też jako niezwykła, bezpłciowa istota – uśmiechnęła się powściągliwie. – Śmierć może równie dobrze być i kobietą – powiedziała. – Obecnie mam mniejszą, niż przedtem, pewność co do formy postaci, jaką przyjmie Śmierć, ale też mniej się Śmierci obawiam. Jestem już zbyt stara, by bać się czegokolwiek, co używa gęsiego pióra, by napisać do mnie list. Idźcie teraz do swych domów i pamiętajcie o tym, żeby w trakcie przygotowań do balu mówić o tym jak najwięcej ze swymi służącymi, by ci z kolei mogli rozgłosić tę nowinę po całym Londynie. Niech wszystkim będzie wiadomo, że tej jednej nocy nikt na całym świecie nie umrze, bowiem Śmierć będzie tańczyć na balu u Lady Nevi le.

W czasie dwóch tygodni przed mającym się odbyć balem ogromny dom Lady Neville drżał, jęczał i trzeszczał jak stare drzewo na wietrze. Poszły w ruch młotki stolarzy, a służący szorowali i polerowali podłogi i malowali budynek, przy-

Peter S. BEAGLE

Urodził się w 1939 r. w Nowym Jorku. W 1959 r. ukończył studia w University of Pittsburgh i podjął studia magisterskie w Stanford University. Nie ukończywszy ich, wyjechał na 2 lata do Europy, spędzając większą część czasu w Paryżu. Od chwili powrotu spod jego pióra wychodzi nieprzerwanie strumień wartościowych esejów, recenzji, opowiadań i powieści. Peter S. Beagle mieszka wraz z żoną i trojgiem dzieci w Santa Cruz w Kalifornii.

Różnorodność tematyki podejmowanej przez autora najlepiej ilustrują jego powieści. Na przykład **„I See By My Outfit"** (1965) jest fascynującym, nie będącym fikcją literacką sprawozdaniem z podróży przez całe Stany Zjednoczone, jaka Beagle'a [illegible] **„The Last Unicorn"** (1968) to wspaniała powieść typu fantasy. To właśnie druga z wymienionych książek ustaliła pozycję Beagle'a w gronie najznakomitszych amerykańskich twórców literatury z gatunku fantasy. Wśród innych dzieł należy wymienić **„A Fine and Private Place"** (1960), **„The California Feeling"**(1968) i **„Lila The Werewolf"** (1974).

M. D.


J. Pogwizd

gotowując go do przyjęcia. Lady Neville zawsze była dumna ze swego domu, ale gdy dzień balu stawał się coraz bliższy, poczęła obawiać się, że nie będzie wydawał się Śmierci wystarczająco wspaniały, jako że przywykła ona niewątpliwie do odwiedzania domów ludzi bogatszych i potężniejszych niż ona. Obawiając się pogardy ze strony Śmierci w dzień i w nocy nadzorowała osobiście prace swych sług. Kotary i dywany musiały być dokładnie wyprane i wyczyszczone. Ozdoby ze złota i srebrne zastawy kazała polerować tak długo, aż zaczęły samodzielnie świecić w ciemności. Imponujące schody, które jak wodospad spadały ku sali balowej, myto i pastowano tak często, że niemal nie sposób było po nich zejść, nie pośliznąwszy się. Żeby przygotować właściwie samą salę balową, trzeba było aż trzydziestu dwóch służących pracujących jednocześnie, nie licząc tych, którzy polerowali szklany, większy od człowieka żyrandol i czternaście mniejszych lamp. Gdy wszystko już było gotowe, Lady Neville kazała ponownie wykonać całą pracę od początku, nie dlatego, że dojrzała gdziekolwiek odrobinę kurzu czy brudu, lecz dlatego, że dostrzec je mogła Śmierć.

Jeśli chodzi o samą Lady Neville, to wybrała najpiękniejszą ze swoich sukni i osobiście nadzorowała jej pranie. Wezwała innego fryzjera i kazała mu ułożyć włosy we fryzurę modną jakiś czas temu, by w ten sposób pokazać Śmierci, że jest kobietą dumną ze swego wieku i nie widzi potrzeby małpowania młodych i pięknych. W dniu balu siedziała od rana przed lustrem i ograniczywszy swój makijaż do lżejszych niż zwykle dotknięć różem i cieniem do powiek oraz do wspaniałego, ryżowego pudru, uważnie przyglądała się swej chudej, starej twarzy, zastanawiając się czy spodoba się Śmierci. Kiedy pojawił się kelner z pytaniem, czy zaakceptuje na bal wina, które wybrał, odesłała go precz i nadal nieruchoma wpatrywała się w swe odbicie w lustrze, aż do chwili, kiedy nadszedł czas, by ubrać się i zejść na dół, by powitać gości.

Wszyscy przybyli wcześnie. Gdy Lady Neville wyjrzała przez okno, spostrzegła, że podjazd przed jej domem wypełniony jest powozami i wspaniałymi końmi. „Wygląda to jak ogromna procesja żałobna" – powiedziała. Lokaj u wejścia wykrzykiwał nazwiska przybywających gości, a te odbijały się echem po sali balowej: „Kapitan Henry Compson z kawalerii królewskiej! Pan David Lorimond! Lord i Lady Torrance! (Ci byli najmłodszą parą na przyjęciu i dopiero trzy miesiące po ślubie) Sir Roger Harbison! Contessa della Candini!" Lady Neville łaskawie zezwalała, by wszyscy po kolei złożyli pocałunek na jej dłoni, a następnie serdecznie ich powitała.

Sprowadziła najznakomitszych muzyków, jakich udało się jej znaleźć, ale gdy na dany przez nią sygnał popłynęły dźwięki muzyki, żadna para nie wystąpiła na parkiet, żaden też młody lord nie podszedł do niej z prośbą o zaszczyt pierwszego tańca, jak nakazywała etykieta. Wszyscy niespokojnie kręcili się w miejscu, rozmawiając półgłosem, ze wzrokiem utkwionym w drzwi do sali balowej.

Za każdym razem, gdy na podjeździe słychać było stukot końskich kopyt i kół powozu jakby sztywnieli nieco, zbijali się ciaśniej w gromadkę i zamierali w bezruchu; ilekroć lokaj u wejścia ogłaszał przybycie kolejnego gościa oddychali głębiej z ulgą, kołysząc się w natychmiastowym rozluźnieniu na nogach.

„Dlaczego przyszli na moje przyjęcie, jeśli się boją?" Lady Neville mruknęła do siebie z pogardą. „Ja nie obawiam się spotkania ze Śmiercią. Chcę, żeby wspaniałość mego domu i smak mego wina zrobił na Śmierci ogromne wrażenie. Umrę wcześniej niż ktokolwiek w tym pomieszczeniu, ale nie boję się".

Przekonana, że Śmierć nie przybędzie przed północą ruszyła pomiędzy gości, usiłując ich uspokoić – nie słowami, gdyż wiedziała, że nie dotrą do ich świadomości – ale tonem swego głosu, tak, jakby byli stadem spłoszonych koni. Z upływem czasu jednak i ona zaraziła się ich nerwowością – zaledwie siadała, już ponownie wstawała, popijała wino z tuzina kielichów, nie dopijając żadnego do końca, stale rzucała okiem na swój wysadzany klejnotami zegarek – początkowo jakby chciała przyspieszyć nadejście północy, z czasem zaczęła pocierać szkiełko nad cyferblatem, jakby chcąc odpędzić noc i wrócić słońce na niebo. Gdy nadeszła północ, stała razem z innymi, oddychając nerwowo, przestępując z nogi na nogę i nasłuchując dźwięku kół powozu, mielących żwir podjazdu.

Gdy zegar rozpoczął wybijanie północy, wszyscy, nawet Lady

Neville i odważny Kapitan Compson, wydali krótki okrzyk przestrachu i natychmiast umilkli, słuchając jego uderzeń. Mniejsze zegary w pokojach na piętrze również zaczęły wybijać północ. W uszach Lady Neville dźwięczały one jak potężne dzwony - aż do bólu. Przelotnym spojrzeniem zawadziła o zwierciadło w sali balowej i zobaczyła w nim swą szarą twarz, zadartą nienaturalnie w górę, ku sufitowi - jakby twarz tonącego, wynurzającą się w panice po oddech. „Śmierć będzie kobietą - pomyślała - ohydną, odrażającą staruchą, wysoką jak mężczyzna, a najstraszniejsze jest to, że będzie miała moją twarz".
Zegary przestały bić i Lady Neville zamknęła oczy.
Otworzyła je dopiero wtedy, gdy uświadomiła sobie, że szept wokół niej zabrzmiał innym tonem, w którym strach zmieszał się z ulgą i jakby nutą smutku, albowiem przed dom nie zajechał żaden nowy powóz. Śmierć nie przybyła.
Z wolna szept przerodził się w gwar, tu i ówdzie goście zaczynali się śmiać. Lady Neville usłyszała jak stojący nieopodal młody lord Torrance powiedział do swej żony:
- No widzisz, moja droga, mówiłem ci, że nie ma się czego bać. To wszystko było żartem.
„Jestem skończona" - pomyślała Lady Neville. Śmiech stawał się coraz donośniejszy i kłuł ją w uszy jak niedawne bicie zegarów. „Chciałam wydać bal na tyle wspaniały, żeby ci, których nie zaprosiłam musieli się wstydzić przed całym miastem i oto mam nagrodę. Jestem zrujnowana i zasłużyłam sobie na to".
Zwracając się do poety Lorimonda, rzekła:
- Zatańcz ze mną, Davidzie.
Dała znak muzykom, którzy natychmiast zaczęli grać. Kiedy Lorimond wahał się jeszcze, powiedziała:
- Zatańcz ze mną teraz. Więcej nie będziesz miał do tego okazji. Już nigdy nie wydam balu.
Lorimond ukłonił się i poprowadził ją na parkiet.
Goście rozstąpili się przed nimi i śmiech na chwilę ucichł, ale Lady Neville wiedziała, że wkrótce powróci. „Cóż, niech się śmieją" - pomyślała. „Nie bałam się Śmierci, a oni wszyscy drżeli z przerażenia. Dlaczego miałabym bać się ich śmiechu?" Czuła jednak, jak pieką ją powieki, więc zamknąwszy je, ponownie rzuciła się w wir tańca z Lorimondem.
I wtedy, najzupełniej niespodziewanie, wszystkie konie z zaprzęgów na podjeździe zarżały głośno - raz tylko, zupełnie tak jak goście o północy, wydający jeden krótki okrzyk. Ponieważ na podjeździe stało bardzo dużo koni, ich pojedyncze, ale wspólne rżenie było tak głośne, że wszyscy zgromadzeni w sali balowej jednocześnie umilkli. Usłyszeli ciężkie kroki lokaja, zmierzającego do drzwi i zadrżeli, jakby pod wpływem chłodnego powiewu, który wdarł się do domu. Wtem usłyszeli lekki głos:
- Czy spóźniłam się? Oh, tak mi przykro. Konie były zdrożone - i zanim lokaj powrócił, by zapowiedzieć gościa, do sali balowej wdzięcznym krokiem weszła śliczna, młoda dziewczyna, w białej sukni i uśmiechając się zatrzymała się u wejścia.
Mogła mieć najwyżej dziewiętnaście lat. Miała długie, rozpuszczone, złociste włosy. Opadały gęsto na jej obnażone ramiona, połyskujące ciepło przez puszyste pasma jak dwie wapienne wysepki, wystające ponad ciemnozłotą powierzchnią morza. Miała szeroką twarz, która zwężała się ku podbródkowi, a cerę tak delikatną, że niejedna dama, a wśród nich i Lady Neville, dotknęła w zdumieniu swej własnej twarzy, by natychmiast wycofać dłoń, jakby skóra uraziła ich palce. Jej usta były blade, podczas gdy usta innych kobiet były czerwone, karminowe, czy nawet purpurowe. Jej brwi, grubsze i prostsze od tych, które były w modzie, spotykały się ponad ciemnymi, spokojnymi oczami, osadzonymi tak głęboko i tak czarnymi, tak bezkompromisowo czarnymi, że pewna niemłoda żona pewnego niemłodego lorda mruknęła pod nosem:
- Ma w sobie coś z cyganki, jak sądzę.
- Albo coś jeszcze gorszego - dorzuciła kochanka jej męża.
- Uciszcie się! - Lady Neville odezwała się głośniej niż zamierzała, a młoda dziewczyna odwróciła się, by na nią spojrzeć. Uśmiechnęła się i Lady Neville próbowała odwzajemnić ten uśmiech, ale jej usta zdały się być niezwykle sztywne.
- Witam - powiedziała. - Witam cię, Pani Śmierć.
Lordowie i damy zaszeptali między sobą, gdy dziewczyna ujęła dłoń starej kobiety i złożyła przed nią ukłon, pochylając się i unosząc w jednym harmonijnym ruchu - jak fala.
- Jesteś Lady Neville - powiedziała. - Bardzo dziękuję za zaproszenie. - Jej głos był tak delikatny i tak nieobcy, jak jej perfumy.
- Proszę wybaczyć mi moje spóźnienie - powiedziała poważnie.
- Musiałam przybyć z bardzo daleka i me konie są niezmiernie zmęczone.
- Parobek je oporządzi i nakarmi - powiedziała Lady Neville - jeśli sobie tego pani życzy.
- Oh, nie - odparła dziewczyna szybko. - Proszę mu powiedzieć, żeby nie podchodził do koni. To nie są prawdziwe konie, a poza tym są bardzo narowiste.
Przyjęła kielich wina od lokaja i wypiła je powoli, wzdychając lekko z zadowoleniem.
- Jakież wspaniałe wino - powiedziała. - I jaki piękny ma pani dom.
- Dziękuję - odparła Lady Neville. Nie odwracając się do gości, czuła, że każda kobieta w tej sali zazdrości jej. Potrafiła to wyczuć, tak jak zawsze umiała wyczuć zbliżanie się deszczu.
- Chciałabym tu mieszkać - powiedziała Śmierć cicho, słodkim głosem. - Kiedyś tu zamieszkam.
Wtem, widząc jak Lady Neville sztywnieje, jakby zamieniła się w figurę lodową, położyła swą dłoń na ramieniu starej damy i rzekła:
- Oh, przepraszam. Tak mi przykro. Jestem taka okrutna, ale to niechcący. Proszę, wybacz mi Lady Neville. Nie przywykłam do towarzystwa i popełniam tyle nietaktów. Proszę, wybacz mi.
Jej dłoń, spoczywająca na ramieniu Lady Neville była tak lekka i ciepła jak dłoń każdej innej młodej dziewczyny, a jej oczy wyrażały takie błaganie, że Lady Neville odrzekła:
- Nie powiedziałaś niczego niestosownego. Dopóki jesteś moim gościem, mój dom należy do ciebie.
- Dziękuję - powiedziała Śmierć i uśmiechnęła się tak promiennie, że muzycy zagrali tak jakoś sami z siebie, bez polecenia Lady Neville. Chciała im przerwać, ale Śmierć poprosiła:
- Jaka piękna muzyka. Pozwól im grać, proszę.
Muzycy zagrali gawota, a Śmierć zupełnie nie speszona przerażonymi spojrzeniami łakomie śledzących ją oczu zanuciła cichutko melodię bez słów, uniosła nieco obiema dłońmi swą białą suknię i małymi stópkami zrobiła niepewnie kilka tanecznych kroków.
- Już tak dawno nie tańczyłam - rzuciła smutno. - Pewna jestem, że zapomniałam jak się to robi.
Była nieśmiała. Nawet nie podniosła wzroku na żadnego z młodych lordów, z których żaden nie poprosił jej do tańca.
Lady Neville poczuła zalewające ją fale wstydu i współczucia zarazem - emocje, które, jak sądziła, uschły w niej już dawno temu. „Miałaby być poniżona na balu u mnie?" - pomyślała z gniewem. „To dlatego, że jest Śmiercią, gdyby była najbrzydszą, najpaskudniejszą na całym świecie wiedźmą, to tłoczyliby się przed nią, prosząc ją do tańca, albowiem są dżentelmenami i wiedzą jak należy się zachować w towarzystwie. Żaden jednak dżentelmen nie zechce zatańczyć ze Śmiercią, choćby była najpiękniejszą ze wszystkich kobiet". Zerknęła na Davida Lorimonda. Na twarzu wystąpił mu rumieniec, patrząc na Śmierć zacisnął obie dłonie tak mocno, że palce pobielały mu jak szkło, ale kiedy Lady Neville dotknęła jego ramienia, nie odwrócił się nawet, a gdy syknęła: „Davidzie" - udał, że nie słyszy. Wtedy Kapitan Compson, siwowłosy i wspaniale prezentujący się w swym mundurze wystąpił z tłumu i szarmancko ukłonił się przed Śmiercią.
- Czy mogę dostąpić tego zaszczytu? - spytał.
- Kapitan Compson - odparła Śmierć z uśmiechem i podała mu swe ramię. - Miałam nadzieję, że to właśnie pan mnie poprosi do tańca.
Starsze kobiety z dezaprobatą zmarszczyły brwi, bowiem nie uważały tej odpowiedzi za właściwą w tych okolicznościach, ale Śmierć najwyraźniej sobie z tego kpiła. Kapitan Compson poprowadził ją na środek parkietu. Początkowo Śmierć była zdumiewająco niezdarna - była zbyt podekscytowana, by wyjść naprzeciw oczekiwaniom swego partnera i zdawała się zupełnie nie mieć poczucia rytmu. Kapitan Compson natomiast poruszał się z mieszaniną godności i swoistej wesołości. Lady Neville nigdy nie spotkała tych cech u żadnego innego mężczyzny, ale gdy spojrzał na nią ponad ramieniem Śmierci, dostrzegła coś czego nikt inny chyba nie zauważył: jego twarz, jego oczy, były nieruchome z przerażenia i mimo że podał ramię Śmierci ze swobodną galanterią, cofnął je nieznacznie, gdy je ujęła.
„Oto do czego prowadzi konieczność utrzymania reputacji" - pomyślała. „Kapitan Compson również jest zmuszony robić to, czego się od niego oczekuje. Mam nadzieję, że wkrótce ktoś inny z nią zatańczy".
Nikt inny jednak z nią nie zatańczył. Pomału inne pary opanowały swój strach i kiedy Śmierć spoglądała w inną stronę, pośpiesznie wychodziły na parkiet. Nikt jednak nie przyszedł w sukurs Kapitanowi Compsonowi, nikt nie uwolnił go od ślicznej partnerki. Tańczyli kolejne tańce. Z upływem czasu niektórzy panowie poczęli patrzeć na nią z większą dozą podziwu niż strachu, lecz gdy tylko odwzajemniała ich spojrzenia i uśmiechała się do nich, natychmiast przywierali do swych partnerek jakby w obawie, że zdmuchnie ich jakiś zimny wiatr. Jednym z niewielu, którzy przyglądali się jej szczerze i z przyjemnością był młody Lord Tor-

rance, który zwykle tańczył wyłącznie ze swą żoną. Innym był poeta Lorimond. Tańcząc z Lady Neville zauważył:
– Skoro ona jest Śmiercią, to co ci wystraszeni głupcy sobie wyobrażają, że niby kim są? Jak zachowaliby się, gdyby była chodzącą brzydotą? Brzydzę się ich strachem. To jest niesmaczne.
W tym momencie Śmierć i Kapitan Compson przemknęli w tańcu obok nich i usłyszeli jak Kapitan mówi:
– Jeśli to naprawdę ciebie widziałem podczas bitwy, jak mogłaś tak się zmienić? Jak mogłaś stać się tak śliczna?
Śmierć zaśmiała się wesoło i ciepło.
– Pomyślałam sobie, że wśród tylu pięknych ludzi lepiej będzie być piękną. Obawiałam się, że wystraszę wszystkich i zepsuję przyjęcie.
– Oni wszyscy sądzili, że będzie brzydka – powiedział Lorimond do Lady Neville. – Ja... ja wiedziałem, że będzie piękna.
– Zatem dlaczego z nią nie zatańczysz? – spytała go Lady Neville. – Ty też się boisz?
– Nie, nie. Skądże – odparł poeta szybko i zapalczywie. – Już wkrótce poproszę ją do tańca. Chcę tylko jeszcze trochę na nią popatrzeć.

Muzycy grali i grali. Taniec odpędzał noc tak powoli, jak powoli drążą skałę wody górskiego strumienia. Lady Neville zdawało się, że jeszcze żadna noc nie trwała dłużej niż ta, ale nie była ani zmęczona, ani też znudzona. Tańczyła z każdym mężczyzną na balu, z wyjątkiem Lorda Torrance'a, który tańczył ze swoją żoną, tak jakby właśnie tej nocy po raz pierwszy się spotkali i oczywiście z wyjątkiem Kapitana Compsona. W pewnej chwili Kapitan uniósł dłoń i lekko musnął nią złociste włosy Śmierci. Był nadal okazałym mężczyzną, wspaniałym partnerem dla tak ślicznej dziewczyny, ale Lady Neville kilkakrotnie mijając go w tańcu spojrzała na jego twarz i uświadomiła sobie fakt, że jest starszy niż powszechnie uważano.
Śmierć natomiast wydawała się być młodszą od najmłodszej kobiety na balu. Żadna z obecnych dam nie tańczyła w tej chwili lepiej od niej, aczkolwiek Lady Neville nie mogła sobie przypomnieć, w którym momencie jej niezdarność zamieniała się w słodycz płynnych ruchów. Uśmiechała się i zagadywała do każdego, kto na nią spojrzał – znała imiona wszystkich, śpiewała nieprzerwanie, dobierając słowa do dźwięków muzyki – słowa nonsensowne, dźwięki bez znaczenia, lecz wszyscy w skupieniu nastawiali uszu, by, nie wiedząc czemu, pochwycić jej miękki głos. Kiedy nareszcie, podczas walca, dla większej swobody w tańcu uniosła tren swej sukienki, Lady Neville odniosła wrażenie, że porusza się jak mała żaglówka po spokojnym morzu o zmierzchu.
Lady Neville pochwyciła słowa gwałtownej sprzeczki między Lady Torrance a Contessą della Candini:
– Kpię sobie z tego, że jest Śmiercią, nie jest wcale starsza ode mnie. Z pewnością nie jest!
– Nonsens – odparowała Contessa, która nigdy nie umiała zdobyć się na wielkoduszność wobec innej kobiety. – Ma dwadzieścia osiem, trzydzieści lat. I ta suknia, ta jej ślubna suknia – coś podobnego!
– Wstrętna – dorzuciła dama, która przybyła na bal w charakterze partnerki Kapitana Compsona, jednej z wielu, z jakimi się pokazywał. – Zupełnie bez smaku. Co prawda nie należy się chyba spodziewać dobrego smaku po Śmierci.
Lady Torrance wyglądała tak, jakby miała się rozpłakać.
„One są zazdrosne o Śmierć" – powiedziała Lady Neville do siebie. „Jakie to dziwne. Ja nie czuję się o nią zazdrosna. Ani trochę. I zupełnie się jej nie boję". Była z siebie niezwykle dumna.
Wtem, tak samo niespodziewanie jak wtedy, gdy zaczęli, muzycy przestali grać. Z wolna odkładali instrumenty.
W nagłej, przeraźliwej ciszy Śmierć wyrwała się Kapitanowi Compsonowi i podbiegła do wysokiego okna, rozchylając obiema dłońmi zasłony.
– Spójrzcie – powiedziała, stojąc do nich tyłem. – Chodźcie i popatrzcie. Już prawie świta.
Letnie niebo było wciąż spowite w mroku i tylko horyzont na wschodzie odrobinę się rozjaśniał na tle ciemnego nieboskłonu, ale gwiazdy już zniknęły, a sylwetki drzew, rosnących przed domem stawały się coraz wyraźniejsze. Śmierć przywarła twarzą do okna i powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszano:
– Muszę już iść.
– Nie – powiedziała Lady Neville, nie od razu świadoma tego, że przemówiła. – Musisz zostać jeszcze trochę dłużej. Bal wydałam na Twoją cześć. Proszę, zostań.
Śmierć wyciągnęła ku niej obie dłonie, a Lady Neville zbliżyła się i ujęła je w swoje:
– Cudownie się bawiłam – powiedziała łagodnie. – Nie możesz pojąć, co to za uczucie być zaproszoną na bal taki jak ten, bowiem sama wydawałaś bale i chodziłaś na inne przez całe swoje życie.



J. Pogwizd

Wszystkie wydają ci się takie same, ale dla mnie tak nie jest. Czy mnie rozumiesz? – Lady Neville przytaknęła bez słowa. – Zawsze będę pamiętała tę noc – powiedziała Śmierć.
– Zostań – powiedział Kapitan Comson. – Zostań choć chwilę dłużej. – Położył dłoń na ramieniu Śmierci, a ona uśmiechnęła się i przytuliła doń swój policzek.
– Drogi Kapitan Compson – rzekła. – Mój pierwszy prawdziwy rycerz. Czyż nie jesteś mną zmęczony?
– Nigdy – odparł. – Proszę zostań.
– Zostań – poprosił Lorimond i wydawało się, że też chce jej dotknąć. – Zostań. Chcę z tobą porozmawiać. Chcę na ciebie popatrzeć. Będę z tobą tańczył, jeśli zostaniesz.
– Iluż mam konkurentów – zdziwiła się Śmierć. Wyciągnęła dłoń do Lorimonda, ale ten cofnął się od niej i zaraz ze wstydu spiekł raka. – Żołnierz i poeta. Jak to cudownie być kobietą. Dlaczego obaj nie rozmawialiście ze mną wcześniej? Teraz muszę już iść.
– Proszę, zostań – szepnęła Lady Torrance, kurczowo chwytając rękę męża dla dodania sobie odwagi. – Uważamy, że jesteś taka piękna, oboje tak myślimy.
– Łaskawa Lady Torrance – odparła dziewczyna uprzejmie. Odwróciła się do okna, dotknęła go lekko, a ono samo otworzyło się na oścież. Chłodne, poranne powietrze wpadło do sali balowej, świeże od deszczu, ale niosące już także niewyraźną woń ulic Londynu, po których przeszło. Usłyszeli śpiew ptaka i dziwny, chrapliwy dźwięk wydawany przez konie Śmierci. – Czy chcecie, żebym została? – spytała.
To pytanie nie padło pod adresem Lady Neville, czy Kapitana Compsona, ani też żadnego z jej wielbicieli, lecz Contessy della Candini, która stała z dala od wszystkich, tuląc do piersi kwiaty i podśpiewując cicho w irytacji. Ani trochę nie chciała, żeby Śmierć pozostała, ale obawiała się, że inne kobiety pomyślą, że jest zazdrosna o urodę Śmierci, zatem odparła:
– Tak. Oczywiście, że chcę.
– Aha – powiedziała Śmierć. Mówiła prawie szeptem. – A ty? – spytała inną kobietę. – Czy chcesz, bym została? Czy chcesz, żebym należała do grona twych przyjaciółek?
– Tak – odparła kobieta – ponieważ jesteś śliczna i jesteś prawdziwą damą.

– A ty? – spytała mężczyznę – a ty? – spytała kobietę – a ty? – spytała jeszcze jednego mężczyznę – czy wy wszyscy chcecie, żebym została?
A oni wszyscy odrzekli:
– Tak, Pani Śmierć, chcemy.
– A zatem chcecie – wykrzyknęła w końcu do wszystkich. – Czy chcecie, żebym żyła pomiędzy wami, żebym była jedną z was i żebym przestała być Śmiercią? Czy chcecie bym odwiedzała wasze domy i przychodziła na wszystkie przyjęcia? Czy chcecie, żebym miała konie takie jak wasze, zamiast moich, czy chcecie żebym ubierała się jak wy, mówiła o tym co i wy? Czy ktoś z was pojmie mnie za żonę i czy pozostali zatańczą na moim weselu i przyniosą podarki dla mych dzieci? Czy chcecie właśnie tego?
– Tak – powiedziała Lady Neville. – Zostań tutaj, zostań ze mną, z nami.
Głos Śmierci, nie przybierając na mocy, stał się jednak wyrazistszy i starszy, za stary, jak pomyślała Lady Neville, na tak młodą dziewczynę.
– Zastanówcie się – powiedziała Śmierć. – Zastanówcie się czego chcecie, dobrze się zastanówcie. Czy wy wszyscy chcecie, żebym została. Jeśli teraz jeden z was powie: „nie, odejdź stąd" – będę musiała opuścić ten dom natychmiast i nigdy już nie powrócę. Zastanówcie się. Czy wszyscy chcecie?
Wszyscy zgodnie, jednym głosem zakrzyknęli:
– Tak! Tak! Musisz zostać z nami. Jesteś tak piękna, że nie możemy pozwolić na twoje odejście.
– Jesteśmy zmęczeni – powiedział Kapitan Compson.
– Jesteśmy ślepi – powiedział Lorimond, dodając – zwłaszcza na poezję.
– Boimy się – dodał cicho Lord Torrance, a żona jego chwyciła go za rękę mówiąc:
– Oboje.
– Jesteśmy nudni i głupi – powiedziała Lady Neville – i starzejemy się, nie przynosząc żadnego pożytku. Zostań z nami, Pani Śmierć.
I oto Śmierć uśmiechnęła się słodko i promiennie i postąpiła krok naprzód, a wyglądało to tak, jakby zstępowała pośród nich z ogromnej wysokości.
– Bardzo dobrze – powiedziała. – Zostanę z wami. Nie będę więcej Śmiercią. Będę Kobietą.
Przez salę przeszło głębokie westchnienie, aczkolwiek nie widziano, by ktokolwiek otworzył usta. Nikt się nie poruszył, bowiem złotowłosa dziewczyna wciąż jeszcze była Śmiercią, a jej stojące przed domem konie nadal przywoływały ją rżeniem. Nikt nie mógł na długo zatrzymać na niej wzroku, mimo że tak pięknej dziewczyny jak ona jeszcze nigdy nie widzieli.
– Jest pewna cena, którą trzeba za to zapłacić – powiedziała. – Zawsze jest jakaś cena. Ktoś z was musi zostać Śmiercią w moje miejsce, albowiem na świecie zawsze musi być Śmierć. Czy ktokolwiek z was się zgadza? Czy ktokolwiek z was zostanie Śmiercią z własnej nieprzymuszonej woli? Dopiero wtedy będę mogła stać się dziewczyną – istotą ludzką.
Nikt się nie odezwał, nie pisnął słowa, ale wszyscy z wolna cofnęli się od niej, jak fale, które, gdy chcemy je dogonić, ześlizgują się po plaży z powrotem ku morzu.
Contessa della Candini i jej przyjaciele byliby się wymknęli z sali, ale Śmierć uśmiechnęła się do nich, więc pozostali na swoich miejscach.
Kapitan Compson otworzył usta, jakby chciał zadeklarować swą gotowość do spełnienia warunku, ale nie wymówił ani słowa.
Lady Neville stała nieruchomo.
– Nikt – powiedziała Śmierć. Dotknęła palcem kwiatu, a ten zdał się uginać i przeciągać jak zadowolony kot. – Zupełnie nikt – powiedziała. – Zatem ja muszę dokonać wyboru, a jest to sprawiedliwe, bo właśnie w ten sposób ja zostałam Śmiercią. Nigdy nie chciałam być Śmiercią i jestem taka szczęśliwa, że chcecie, bym została jedną z was. Długo szukałam ludzi, którzy by mnie zechcieli. Teraz pozostało mi jedynie wybrać kogoś na moje miejsce i po kłopocie. Wybiorę bardzo rozważnie.
„Oh, jacy byliśmy głupi" – powiedziała do siebie Lady Neville. „Byliśmy tacy głupi" – ale nie odezwała się na głos, splotła jedynie dłonie i przyglądała się dziewczynie, myśląc niejasno, że gdyby miała córkę, to byłoby jej niezmiernie przyjemnie, gdyby przypominała ona Panią Śmierć.
– Contessa della Candini – rzekła Śmierć z namysłem, a kobieta wydała jedynie krótki pisk przerażenia, gdyż jak sparaliżowana nie mogła wziąć głębokiego oddechu, który dałby jej siłę do wrzasku. Pani Śmierć zaśmiała się tylko. – Nie, to byłoby głupie. – Nie powiedziała już nic więcej, ale przez długi czas po tym stwierdzeniu Contessa płonęła z poniżenia i wstydu, że nie została wybrana Śmiercią.
– Kapitan Compson też nie – mruknęła Śmierć – bowiem jest zbyt uprzejmy, żeby zostać Śmiercią, a także dlatego, że byłoby to dla niego zbyt okrutne. On tak bardzo pragnie umrzeć. – Twarz Kapitana Compsona nie zmieniała wyrazu, ale jego dłonie poczęły drżeć.
– Ani Lorimond – kontynuowała dziewczyna – ponieważ tak mało wie o życiu i ponieważ go lubię. – Poeta zaczerwienił się, zbladł i ponownie spiekł raka. Zrobił niezdarny ruch jakby chciał klęknąć na jedno kolano, ale zaraz wyprostował się i stanął sztywno, próbując dorównać postawą Kapitanowi Compsonowi.
– Ani Torrance'owie – powiedziała Śmierć. – Nigdy Lord ani Lady Torrance, gdyż za bardzo troszczą się o siebie wzajemnie, by umieć chełpić się faktem wyboru na Śmierć. – Powiedziawszy to, zawahała się przez chwilę patrząc na Lady Torrance swymi ciemnymi, niezwykłymi oczami. – Byłam w twoim wieku, gdy zostałam Śmiercią – powiedziała w końcu. – Zastanawiam się, jak to będzie, mieć znowu twoje lata. Tak długo byłam Śmiercią. – Lady Torance zadrżała i nie odezwała się.
Nareszcie Śmierć rzekła cicho:
– Lady Neville.
– Jestem tutaj – odparła Lady Neville.
– Myślę, że jesteś jedyną kandydatką – powiedziała Śmierć. – Wybieram ciebie, Lady Neville.
Ponownie Lady Neville usłyszała, jak każdy gość wzdycha cicho i mimo że stała tyłem do wszystkich, wiedziała, że odetchnęli z ulgą, że ani oni sami, ani nikt im drogi nie został wybrany. Lady Torville zaprotestowała niewielkim okrzykiem, ale Lady Neville wiedziała, że ona krzyknęłaby niezależnie od tego, jakiego wyboru dokonałaby Śmierć. Usłyszała swój własny, spokojny głos:
– To dla mnie zaszczyt. Czyż jednak nikt inny oprócz mnie nań nie zasługuje?
– Ani jedna osoba – odparła Śmierć. – Nie ma nikogo, kto byłby tak znużony egzystencją ludzką, nikogo, kto wiedziałby lepiej jak pozbawione znaczenia jest życie. Nikt też w tej sali nie ma takiej siły, by traktować życie – uśmiechnęła się słodko i okrutnie – życie dziecka swego fryzjera, na przykład, jak coś na tyle bez znaczenia, na ile naprawdę pozbawione jest sensu. Śmierć ma serce, ale jest to serce na zawsze puste i myślę, Lady Neville, że twoje serce jest jak wyschnięte koryto rzeki, jak muszla morska. Będziesz wielce kontenta, gdy zostaniesz Śmiercią. Znacznie bardziej niż ja, gdyż ja byłam wtedy bardzo młoda.
Lekkim, kołyszącym się krokiem zbliżyła się do Lady Neville. W jej szeroko otwartych, głęboko osadzonych oczach odbijała się jaskrawo czerwień wstającego słońca. Mimo że na nich nie spoglądała, wszyscy goście na balu cofnęli się przed nią, a Lady Neville tylko zacisnęła mocno obie dłonie i patrzyła jak Śmierć zbliża się do niej swym lekkim, tanecznym krokiem.
– Musimy się pocałować – powiedziała Śmierć. – W ten sposób ja zostałam Śmiercią. – W ekstazie potrząsnęła głową, aż wzburzone tym ruchem miękkie włosy zawirowały, omiatając końcami obnażone ramiona. – Prędko, prędko – powiedziała. – Nie mogę się już doczekać chwili, kiedy znowu stanę się człowiekiem.
– Być może to wcale nie będzie takie przyjemne – rzuciła Lady Neville. Była niezwykle spokojna, a jednak czuła, jak jej stare serce wali w piersi jak młotem, a koniuszki palców pulsują do uderzeń krwi w żyłach. – Po jakimś czasie może ci się to przestać podobać – powiedziała.
– Możliwe – uśmiechnięte usta Śmierci były już bardzo blisko jej twarzy. – Nie będę wtedy tak piękna, jak w tej chwili, a ludzie prawdopodobnie nie będą mnie kochać i w końcu umrę. Odprawiłam swą pokutę.
– Jaką pokutę? – spytała młodą dziewczynę stara kobieta. – Co takiego zrobiłaś? Dlaczego zostałaś Śmiercią?
– Nie pamiętam – odparła Śmierć. – I ty też z czasem zapomnisz.
– Była niższa od Lady Neville i o ileż młodsza. Mogła równie dobrze być córką Lady Neville – córką, której nigdy nie miała, a która, gdyby istniała, byłaby zawsze razem ze swą rodzicielką i lekkim ramieniem przytulałaby do siebie głowę matki, gdy ta czułaby się stara i przygnębiona. Teraz uniosła głowę, by pocałować policzek Lady Neville i gdy to uczyniła szepnęła jej do ucha:
– Ty będziesz wciąż piękna, kiedy ja już zbrzydnę. Bądź zatem dla mnie miła.
Stojąc za Lady Neville dżentelmeni i damy zaszeptali między sobą i poruszyli się nerwowo. W swych smokingach i szatach balowych wyglądali jak trzepoczące skrzydłami, zatrwożone mole.
– Obiecuję ci to – powiedziała Lady Neville i ściągnęła usta, by złożyć pocałunek na delikatnym, słodko pachnącym policzku młodej Pani Śmierci.

Przełożył **Marek Doskocz**

W niespełna trzy godziny po wschodzie słońca F'lar na spiżowym Mnementhu dokonywał inspekcji swych oddziałów. Dwieście szesnaście smoków uformowało ponad Szczytem Benden Weyr szyk bojowy. Później, w Dolinie, zgromadzili się pozostali mieszkańcy Weyr, w tym kilku jeźdźców rannych w pierwszej bitwie. Nie było tylko Lessy i Ramoth. Obie udały się do Fort Weyr, gdzie grupowało się skrzydło królewskie. F'lar nie potrafił zdławić w sobie niepokoju wywołanego świadomością, że Lessa i Ramoth także będą walczyły. Wiedział, że to pozostałość z czasów, kiedy Pern miał tylko jednego smoka-królową. Jeśli Lessa zdołała skoczyć „pomiędzy" o czterysta Obrotów w przeszłość i przyprowadzić załogę i mieszkańców pięciu Weyrów, to z pewnością potrafi obronić siebie i Ramoth przed Nićmi.

Sprawdził czy wszyscy jeźdźcy mają niezbędną ilość ogniaka w workach i czy każdy smok ma właściwy kolor – zwłaszcza te z południowego Weyr. Oczywiście smoki były w świetnej formie, ale twarze jeźdźców wskazywały wyraźnie na szok czasowy, którego doznali. Inspekcja trwała już zbyt długo, a przecież Nici wkrótce przeszyją niebo nad Telgar.

Dał rozkaz do przejścia „pomiędzy". Pojawili się w pobliżu Osady w Telgar, trochę na południe od niej i nie byli pierwszymi przybyszami. Po stronie zachodniej, północnej i po wschodniej pojawiały się coraz to nowe skrzydła jeźdźców, aż w końcu cały horyzont pokryty został ogromnymi sylwetkami w kształcie litery V, tworzonymi przez skrzydła tysięcy smoków. F'lar usłyszał odległy dźwięk dzwonu, dobiegający z Wieży Osady w Telgar. To mieszkańcy Osady witali niespodziewanie przybyłe liczne oddziały jeźdźców na smokach.

– Gdzie ona się znajduje? – spytał F'lar Mnementha. – Wkrótce będzie nam potrzebna do przekazywania rozkazów...

– *Już leci* – przerwał mu Mnementh.

Dokładnie nad Osadą w Telgar pojawiło się kolejne skrzydło. Nawet z tej odległości, F'lar dostrzegł różnicę: to złote smoki połyskiwały w jasnych promieniach wstającego słońca.

Szmer aprobaty przeszedł przez zgromadzone oddziały smoków i F'lar mimo kołaczącego gdzieś w sercu niepokoju, uśmiechnął się z dumą przyglądając się feerii złocistych błysków.

W tym momencie wschodnie skrzydła wzbiły się wysoko w górę. To smoki instynktownie poczuły obecność swego odwiecznego wroga.

Mnementh uniósł łeb, wydając z gardzieli metaliczny grzmot wojennego okrzyku.

Nici! F'lar widział je teraz wyraźnie, na tle wiosennego nieba. Krew zaczęła mu żywiej krążyć w żyłach, ale nie ze strachu – z dzikiej radości. Serce biło nierówno. Mnementh zażądał więcej ogniaka i przyśpieszył uderzenia skrzydeł w powietrzu, szykując się do skoku w górę w chwili, gdy tylko usłyszy komendę.

Smoki w Weyr, które przystąpiły już do walki, wyrzucały w jasnoniebieskie niebo jęzory pomarańczowo-czerwonego płomienia. Chowały się i wyskakiwały z „pomiędzy", pluły ogniem, nurkowały.

Wspaniałe, złote królowe pędziły tuż nad ziemią, niemal szorując po niej brzuchami, w poszukiwaniu tego co umknęło jeźdźcom.

Wtem F'lar rozkazał nabrać wysokości w celu przechwycenia Nici w pół drogi do ziemi. Gdy Mnementh jak strzała pędził do góry, F'lar wyzywająco potrząsnął pięścią wymierzoną w mrugające Czerwone Oko Gwiazdy.

– Nadejdzie dzień – krzyczał – kiedy nie będziemy siedzieć spokojnie, czekając aż opadniecie. My spadniemy na was, tam gdzie się rodzicie, na wasz własny grunt.

„Na Jajo, powiedział do siebie w duchu, jeśli możemy podróżować czterysta Obrotów w przeszłość, ponad morzami, ziemią i to w mgnieniu oka, czymże jest podróż z jednego świata w drugi?

F'lar uśmiechnął się do swych myśli. Lepiej nie wspominać o tym zuchwałym planie w obecności Lessy.

– *Wiązka z przodu* – ostrzegł go Mnementh.

Kiedy spiżowy smok zaatakował, wyrzucając przed siebie płomienie, F'lar zacisnął kolana na jego szyi. Matko nasza, był szczęśliwy, że teraz, ze wszystkich czasów, właśnie teraz, on, F'lar, jeździec spiżowego Mnementha, był jeźdźcem Pernu!

KONIEC

Niosąc kubek i dzban zawierający klah, F'lar udał się do Sali Obrad, zastanawiając się po drodze, czy powiedzieć magnatom i cechmistrzom o wyprawie na południe, czy też nie. Zdolność smoków do poruszania się „pomiędzy" w czasie podobnie jak w przestrzeni nie była powszechnie znana. Magnaci zapewne jeszcze się nie zorientowali, że skorzystano z niej poprzedniego dnia, by uprzedzić atak Nici. Gdyby F'lar mógł mieć pewność, że realizacja nowego projektu zakończy się powodzeniem – no cóż, to by wniosło optymistyczny akcent w nadchodzące spotkanie.

Na razie niech mapy z wykresami czasowymi wystarczą magnatom. Goście nie zbierali się długo. Wielu z nich nie potrafiło ukryć swego przerażenia i szoku wywołanego niespodziewanym atakiem Nici, które po długiej przerwie ponownie opadły z Gorącej Gwiazdy, by siać spustoszenie wśród wszystkiego co żywe na Pernie.

„Zanosi się na trudną sesję" – pomyślał F'lar. Poczuł przelotny żal, że nie poleciał razem z F'norem i Lessą na Południowy Kontynent.

Wkrótce przybyli prawie wszyscy, z wyjątkiem Merona z Nabol, którego najchętniej w ogóle by nie wzywał, gdyż ten wiecznie szukał zwady i Lytola z Ruathy. F'lar wysłał wezwanie do Lytola na samym końcu, albowiem nie chciał, żeby Lessa się z nim spotykała.

Była wciąż nadmiernie, i jak sądził niepotrzebnie, przewrażliwiona na punkcie swego prawa do Ruathy, którego musiała się zrzec na rzecz syna zmarłej przy porodzie Gemmy. Lytol, jako Strażnik w Ruatha, miał prawo zasiadać wśród obradujących na tej konferencji. Dla eks-jeźdźca powrót do Weyr stanowił wystarczająco bolesne przeżycie, żeby jeszcze dodatkowo narażać go na przykre starcie z nienawidzącą go Lessą. W końcu Lytol był, jeśli nie liczyć młodego Larada z Telgar, najcenniejszym sprzymierzeńcem Weyr.

Do sali wszedł S'lel, a o krok za nim Meron. Magnat był wyraźnie rozwścieczony nakazem stawiennictwa. Rozdrażnienie emanowało ze sposobu, w jaki kroczył, z jego niespokojnych oczu i wyniosłego zachowania.

Meron był jednocześnie wścibski i podstępny. Wchodząc ukłonił się wyłącznie Laradowi, ignorując pozostałych magnatów i zajął pozostawione dla niego miejsce obok Larada. Z jego demonstracyjnych gestów można było wywnioskować, że jest mu za ciasno tam, gdzie go posadzono.

Władca Weyr odpowiedział na pozdrowienie S'lela i wskazał dłonią, gdzie ma usiąść. F'lar bardzo precyzyjnie zaplanował sposób rozmieszczenia gości w Sali Obrad. Rozsadził brązowych i spiżowych jeźdźców na przemian z magnatami i cechmistrzami. W ogromnej grocie było tak ciasno, że trudno się było ruszyć, ale dzięki temu nie było też miejsca na to, by sięgnąć po sztylety, gdyby doszło do poważnej różnicy zdań.

Nagle rozmowy zgromadzonych ucichły.

F'lar podniósł wzrok i zobaczył jak na progu Sali Obrad zatrzymał się krępy, rumiany na twarzy eks-jeździec z Ruathy. Lytol powoli podniósł rękę, pozdrawiając z szacunkiem Władcę Weyr. Odpowiadając na pozdrowienie F'lar dostrzegł uporczywy tik, poruszający lewym policzkiem Lytola.

Lytol, którego matowe spojrzenie wyrażało ból i napięcie nerwowe, szybkim spojrzeniem ogarnął zgromadzonych, po czym ukłonił się jeźdźcom ze swego dawnego skrzydła, Laradowi oraz Zurgowi – Mistrzowi Cechu Tkaczy, z których on sam się wywodził. Sztywno, jak na nieswoich nogach, poszedł ku jedynemu pozostałemu miejscu i usiadłszy wymamrotał pozdrowienie do siedzącego po lewej T'suma.

F'lar wstał.

– Dziękuję wam za przybycie, drodzy Panowie. Nici ponownie opadły na Pern. Ich pierwszy atak został odparty w powietrzu. Lordzie Vincent – tu przygnębiony pan Neratu podniósł na F'lara przestraszony wzrok – wysłaliśmy do winnic nisko lecący patrol, żeby upewnić się, czy nie ma w glebie jam wyrytych przez Nici.

Vincent przełknął nerwowo ślinę i pobladł na myśl o tym, co Nici mogłyby zrobić z jego płodną ziemią i bujną roślinnością.

– Będziemy potrzebowali do pomocy twoich najlepszych winobrańców.

– Do pomocy? Przecież powiedziałeś, że... pierwszy atak został odparty w powietrzu.

– Nie ma sensu wystawiać się na ryzyko niedopatrzenia – odpowiedział F'lar, podkreślając, że ten

patrol może być uważany za jeden ze środków ostrożności, ale na pewno nie jedyny i niewystarczający. Vincent poczuł ściskanie w gardle. Patrząc na zgromadzonych szukał w nich współczucia, ale nie znalazł. Wkrótce wszyscy mieli być w takiej samej sytuacji.

– Niedługo wyruszy podobny patrol do Keroon i Ingen – F'lar spojrzał kolejno na Lorda Cormana i Lorda Bangera, którzy przytaknęli z zasępionymi minami. – Niech mi wolno będzie zapewnić was, że przez następne trzy dni i cztery godziny nie należy się spodziewać dalszych ataków – F'lar przyłożył dłoń do mapy ilustrującej jego słowa. – Nici zaczną mniej więcej tutaj, w Telgar, następnie będą przesuwać się w kierunku zachodnim przez południową, górzystą część Cromu i dalej przez Ruathę i południowy Nabol.

– A skąd ta pewność?

F'lar rozpoznał pogardliwy głos Merona z Nabol.

– Nici nie opadają bezładnie – odparł F'lar. – Lecą według schematu, który można przewidzieć; ataki trwają sześć godzin. Przerwy między kolejnymi atakami będą stopniowo ulegały skróceniu w czasie kilku najbliższych Obrotów, bowiem Gorąca Gwiazda będzie się zbliżała do nas. Następnie, w okresie mniej więcej czterdziestu Obrotów, kiedy Gorąca Gwiazda znajdzie się najbliżej naszej planety i będzie okrążać ją, ataki wystąpią co czternaście godzin i będą postępować wokół naszego globu według łatwego do przewidzenia wzoru.

– To ty tak twierdzisz – zadrwił Meron, a przez salę przebiegł stłumiony szept, wskazujący na poparcie, jakie zdobył dla siebie tym stwierdzeniem.

– Tak twierdzą Ballady Instruktażowe – wtrącił Larad zdecydowanie.

Meron rzucił okiem na Lorda z Telgar i mówił dalej:

– Przypominam sobie inną twoją przepowiednię mówiącą o tym, że Nici rzekomo zaczną opadać tuż po przesileniu dnia i nocy.

– Co też zrobiły – przerwał mu F'lar – pod postacią czarnego pyłu w regionie północnym. Powinniśmy podziękować szczęśliwym gwiazdom za to, że mieliśmy wyjątkowo ciężką i długą zimę w tym Obrocie. To pozbawiło Nici ich aktywności i odroczyło na pewien czas niebezpieczeństwo.

– Pył? – zapytał Nessel z Cromu. – Ten pył to były Nici?

Człowiek ten był jednym z krewnych Faxa i pozostawał pod silnym wpływem Merona. Niemłody już, nauczył się kiedyś od swych bliskich okrutnych metod dokonywania podbojów, ale nie starczyło mu rozumu, by coś w nich udoskonalić lub zmienić. – Moja posiadłość jest pełna tego kurzu. Czy to jest niebezpieczne?

F'lar stanowczo zaprzeczył ruchem głowy.

– Od jak dawna występują zawieje z czarnym pyłem w twojej posiadłości? Od tygodni? Wyrządziły jakieś szkody?

Nessel zmarszczył brwi.

– Interesują mnie twoje mapy, Władco Weyr – powiedział spokojnie Larad z Telgar. – Czy dadzą nam dokładne informacje, dotyczące częstotliwości ataków Nici na nasze posiadłości?

– Tak. Możecie także spodziewać się, że na krótko przed inwazją przybędą tam jeźdźcy – odpowiedział F'lar i dodał – Niemniej jednak, niezbędne będzie podjęcie i przez was samych pewnych środków zaradczych. Dlatego właśnie zwołałem Radę.

– Zaraz, zaraz! – warknął Corman z Keroon. – Chcę mieć własną kopię twoich dziwacznych map. Chcę wiedzieć co naprawdę znaczą te pasy i te faliste linie. Chcę...

– Naturalnie, będziesz miał swój własny wykres czasowy. Zamierzam powierzyć nadzór nad kopiowaniem tych map Mistrzowi Harfiarzy, Robintonowi – F'lar ukłonił się z szacunkiem w jego stronę – a także poprosić go, by upewnił się, czy wszyscy umieją je właściwie odczytać.

Robinton – wysoki, chudy mężczyzna z ponurą twarzą o ostrych rysach – złożył głęboki ukłon. Na jego szerokie usta wypłynął nieznaczny uśmiech, wywołany pełnymi nadziei spojrzeniami Lordów. Jego rzemiosło, podobnie jak i rzemiosło jeźdźców było w ostatnich czasach przedmiotem licznych drwin ze strony możnowładców. Niespodziewany szacunek, z jakim obecnie nań patrzono, szczerze go bawił. Robinton posiadał wspaniale rozwiniętą umiejętność dostrzegania śmiesznych stron życia, a jego wyobraźnia czyniła z niego znakomitego satyryka. Toteż bawiła go sytuacja, w której znaleźli się sceptyczni

wysłał F'nora o dziesięć Obrotów w przeszłość, aby zajął się hodowlą tak niezbędnych w Weyr smoków, jeszcze nie wpadli na pomysł zanalizowania Pieśni-Zagadki, ani nie wiedzieli nic o gobelinie.

– Nie opuściłbym tej bitwy, nawet gdybym nie miał smoka – oświadczył F'nor z determinacją.

– To mi przypomina, że będzie jutro w Telgar potrzebowali Lessy – zauważył F'lar. – Wiecie, ona potrafi rozmawiać z każdym smokiem – wyjaśnił T'tonowi i D'ramowi, niemal przepraszająco.

– Och, wiemy o tym – zapewnił go T'on. – Mardra nie ma nic przeciwko temu. Jako starsza Władczyni Weyr, Mardra naturalnie poprowadzi skrzydło złożone z królowych – dorzucił, widząc skonsternowanie F'lara.

– Królewskie skrzydło?

– Oczywiście – T'ton i D'ram wymienili między sobą pytające spojrzenia, zdziwieni zaskoczeniem F'lara. – Chyba dopuszczacie swoje królowe do walki, czy nie?

– Nasze królowe? T'ton, my w Benden przez całe lata mieliśmy tylko jednego smoka-królową. Tak było przez tyle pokoleń, że znaleźli się w końcu ludzie, którzy uważają legendy o walczących królowych za czystą herezję.

– Do tej chwili, w zasadzie nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak jesteście nieliczni. Tak czy owak opanował go entuzjazm – królowe są bardzo pożyteczne, jeśli zastosuje się miotacz ognia. Dopadają tych wiązek Nici, których nie zdołali zniszczyć inni jeźdźcy. Lecą niewysoko, poniżej głównych sił. To dlatego D'ram jest tak bardzo zainteresowany aerozolem trójagenonowym, który na dobrą sprawę nie zerwie nawet włosa z głowy mieszkańcom opryskiwanych terenów, a przy tym, w przeciwieństwie do miotacza ognia, jest korzystny dla pól uprawnych.

– Czy naprawdę chcesz przez to powiedzieć, że zezwalacie swoim królowym walczyć z Nićmi? – F'lar zignorował uśmiechy F'nora i T'tona.

– Zezwalamy? – ryknął D'ram. – Nie sposób ich zatrzymać. Czy nie znasz treści Ballad?

– „Przejażdżka Morety"?

– Otóż to.

Na widok wyrazu twarzy F'lara, który z irytacją odgarniał przydługie pasmo włosów, opadające na oczy, F'nor wybuchnął gromkim śmiechem. Za chwilę opanował się nieco i tylko niezbyt mądry uśmiech pozostał mu na ustach.

– Dzięki. To mi podsuwa pewien pomysł – powiedział F'lar.

Odprowadził Władców Weyrów do ich smoków, pomachał radośnie na pożegnanie Robintonowi i Fandarelowi. Nie przypuszczał wcześniej, że na dzień przed drugą bitwą będzie mu tak lekko na sercu. Spytał Mnementha, gdzie może być Lessa.

– *Kąpie się* – odparł spiżowy smok.

F'lar rzucił okiem na puste legowisko królowej.

– *Och, Ramoth jest na Szczycie, jak zwykle* – powiedział Mnementh, wyraźnie zasmucony.

F'lar usłyszał, że odgłosy pluskania w łazience ustały i opuścił windę po gorące klah. Miał na to ochotę.

– No i jak. Udało się spotkanie? – spytała słodko Lessa wynurzając się z łazienki. Jej smukłą figurę otaczał jedynie ręcznik.

– Wyjątkowo. Naturalnie wiesz, że będziemy cię potrzebowali w Telgar?

Przyjrzała mu się bacznie i w końcu ponownie się uśmiechnęła.

– Jestem jedyną Władczynią Weyr, która umie rozmawiać z każdym smokiem – odparła figlarnie.

– Fakt – rzucił F'lar wesoło – i już nie jedynym jeźdźcem w Benden dosiadającym królowej...

– Nienawidzę cię! – odcięła się Lessa i nie zdołała już wymknąć się F'larowi, który z gwałtowną pożądliwością przyciągnął ją do siebie i przytulił.

– Nawet jeśli powiem ci, że Fandarel ma dla ciebie miotacz ognia i możesz przyłączyć się do królewskiego skrzydła?

Przestała wić się w uścisku i zbita z tropu spojrzała nań pytająco.

– I że Kylara zostanie Władczynią Weyr na południu... w teraźniejszości? Jako Władca Weyr potrzebuję spokoju i ciszy między bitwami...

Ręcznik osunął się na ziemię, a Lessa odpowiedziała z żarliwością na pocałunek F'lara.

– Całkiem nieźle dawałeś sobie radę w Nerat i Keroon. Naprawdę dobrze – powiedział T'ton.

– Dwadzieścia osiem smoków i jeźdźców wykluczonych z walki. I ty to nazywasz dobrym dowodzeniem?

– Jak na pierwszą bitwę, w której każdy jeździec był jeszcze zielony jak smocze niemowlę? Nie, człowieku. Byłeś na czas w Nerat, chociaż można by powiedzieć, że po czasie – T'ton uśmiechnął się z odcieniem złośliwości – a to właśnie należy do obowiązków jeźdźca. Nie masz racji. Twierdzę, że to była dobra robota. Dobra robota – powtórzył.

Pozostali czterej Władcy Weyrów potwierdzili zasadność tej pochwały.

– Jednakowoż twój Weyr nie dysponuje jeszcze pełną siłą bojową, zatem będziemy uzupełniać twoje oddziały naszymi jeźdźcami ze skrzydeł o niepełnym składzie aż do momentu, w którym będziesz miał wystarczająco dużo własnych jeźdźców i smoków. Och, jakże królowe chwalą sobie te czasy. Są w swoim żywiole – uśmiechnął się od ucha do ucha, dając do zrozumienia, że spiżowych jeźdźców również niezmiernie cieszy możliwość walki z Nićmi.

F'lar odpowiedział uśmiechem i pomyślał, że Ramoth była już prawie gotowa do lotu godowego, a tym razem Lessa... och, ta dziewczyna znów była tak zwodniczo słodka. Musi bardziej na nią uważać.

– Zostawiliśmy ludziom Fandarela wszystkie miotacze ognia, które przywieźliśmy ze sobą. Dzięki temu będziesz mógł jutro uzbroić wszystkich ludzi z obrony naziemnej.

– Tak, t'ni, dziękuję – powiedział Fandarel. – Zrobimy nowe w rekordowym czasie i niedługo zwrócimy wasze miotacze.

– Nie zapomnij o urządzeniu do rozpylania trójagenonu w powietrzu – wtrącił D'ram.

– A zatem ustalamy – T'ton przebiegł wzrokiem po twarzach zgromadzonych jeźdźców – że załogi wszystkich Weyrów spotykają się w pełnym składzie w Telgar trzy godziny po wschodzie słońca. Będziemy ścigać atakujące Nici aż do Crom. A propos, F'lar, te twoje mapy, które pokazał mi Robinton są doskonałe. My nigdy takich nie mieliśmy.

– Skąd wiedzieliście kiedy Nici zaatakują?

T'ton wzruszył ramionami.

– Ataki następowały tak często, nawet jeszcze wtedy, kiedy byłem dzieckiem, że po prostu czuło się kiedy nastąpi kolejny. Ale twój sposób jest lepszy. Dużo lepszy.

– Precyzyjniejszy – dorzucił Fandarel z aprobatą.

– Pojutrze, kiedy zjawimy się w Telgar, zażądamy dostaw żywności do pustych jeszcze Weyrów – T'ton wykrzywił twarz w uśmiechu. – Jak w starych dobrych czasach, kiedy wymuszaliśmy na możnowładcach dodatkowe daniny – zatarł niecierpliwie dłonie. – Jak w starych czasach.

– Jest przecież południowy Weyr – przypomniał F'nor. – Opuściliśmy go sześć Obrotów temu naszego czasu i zostawiliśmy stado bydła. Z pewnością się rozmnożyło, a poza tym jest tam pod dostatkiem owoców i zbóż.

– Bardzo bym się ucieszył, gdyby południowy eksperyment był kontynuowany – oświadczył F'lar, patrząc zachęcająco na F'nora.

– Tak, tak. Nie zapomnij wysłać tam też Kylary – dorzucił szybko F'nor.

Przedyskutowali jeszcze kwestię szybkiego sprowadzenia żywności dla wstępnego zaopatrzenia nowych Weyrów i na tym zakończyli naradę.

– Trochę człowiekowi nieswojo – powiedział T'ton do Robintona, kiedy we dwóch delektowali się winem – gdy stwierdza, że Weyr, z którego wyjechał przedwczoraj i który zostawił w nienagannym porządku, obrócił się w zakurzone rumowisko. Kobiety z Jaskiń Niższych trochę się zafrasowały.

– Uporządkowaliśmy te kuchnie – odparł F'lar z oburzeniem. Spokojny, niczym nie zmącony sen ostatniej nocy przywrócił mu dawne siły.

T'ton chrząknął znacząco.

– Mardra jest zdania, że żaden mężczyzna nie jest w stanie uporządkować czegokolwiek.

– Czy sądzisz, że będziesz w stanie dosiąść jutro smoka, F'nor? – zapytał F'lar z troską. Wyraźnie dostrzegał wyczerpanie, malujące się na twarzy przyrodniego brata, choć po przespanej nocy wyglądał już znacznie lepiej. Mimo wszystko ten potworny wysiłek na przestrzeni kilku Obrotów był niezbędny i nawet w obliczu przybycia z przeszłości tysiąca ośmiuset smoków, trud ten nie był daremny. Kiedy F'lar

możnowładcy Pernu. Tym razem jednak Mistrz zadowolił się jedynie głębokim ukłonem i powściągliwym oświadczeniem:

– Zapewne wszyscy otoczą Mistrza należytą troską – stwierdził. Słowa, które wypowiedział swym tubalnym głosem, nie przypominały w niczym prowincjonalnego dialektu, jakim operowała większość zgromadzonych.

F'lar, który chciał właśnie coś powiedzieć, pochwycił nutę ironii w zdawkowej wypowiedzi Robintona i spojrzał na niego ostro. Larad także rzucił na Mistrza krótkie spojrzenie i chrząknąwszy, pośpiesznie przerwał niepokojącą ciszę.

– Wszyscy dostaniemy mapy – powiedział, uprzedzając Merona, który już otwierał usta, by przemówić. – Gdy opadną Nici, jeźdźcy przybędą, by z nimi walczyć. Chciałbym teraz wiedzieć, jakie mają być dodatkowe przedsięwzięcia i dlaczego są niezbędne?

Oczy wszystkich ponownie zwróciły się na F'lara.

– Mam tylko jeden Weyr w miejsce sześciu, które kiedyś istniały.

– Ale chodzą słuchy, że Ramoth zniosła ponad czterdzieści jaj, z których wykluły się już smoki – rzucił ktoś z głębi sali. – Wyjaśnij, dlaczego po tym fakcie jeszcze raz szukaliście kandydatów na jeźdźców wśród naszej młodzieży?

– Czterdzieści jeden niedojrzałych jeszcze smoków – sprecyzował F'lar.

W duchu liczył na powodzenie południowej wyprawy. W głosie tego człowieka słychać było wyraźnie strach.

– Rozwijają się dobrze i szybko. W tej chwili, kiedy Nici nie uderzają jeszcze z dużą częstotliwością, gdyż Gorąca Gwiazda dopiero zaczyna Przejście, jeden Weyr dysponuje wystarczającą siłą uderzenia... przy założeniu, że uzyskamy wasze współdziałanie na ziemi. Tradycja mówi – tu skłonił się taktownie ku Robintonowi, który z racji swego zawodu zajmował się jej upowszechnianiem – że wy Panowie jesteście odpowiedzialni wyłącznie za swe domostwa, które oczywiście i tak są odpowiednio chronione przez doły ogniowe i kamienne mury. Ale zważcie, że mamy wiosnę, a wzgórza zarosły dziką roślinnością. Grunty orne pokryły się kwitnącymi zbożami i innymi uprawami. Ta ogromna powierzchnia płodnej ziemi, tak podatnej na niszczące działanie Nici, nie może być patrolowana wyłącznie siłami jeźdźców z jednego tylko Weyr, albowiem prowadziłoby to do znacznego wyczerpania tak smoków jak i jeźdźców.

Po tak szczerym i jednoznacznym postawieniu sprawy przez F'lara, przez salę przebiegł gwałtowny pomruk, wyrażający strach i gniew zarazem.

– Ramoth wkrótce wzniesie się ponownie w godowym locie – komunikował F'lar tonem wyrażającym pewność. – Oczywiście, w dawnych czasach królowe zaczynały znosić zwiększoną ilość jaj na wiele Obrotów przed krytycznym momentem przesilenia dnia z nocą. Wśród tych jaj były też jaja królewskie. Na nasze nieszczęście Jora była chora i stara, a Nemoth niezbyt płodna. W efekcie... – Nie dano mu skończyć.

– Twoi dumni i pyszni jeźdźcy ściągną na nas zagładę!

– Sami jesteście sobie winni – głos Robintona wbił się jak nóż we wrzawę oskarżycielskich okrzyków. – Przyznajcie to wreszcie. Mieliście Weyr w mniejszym poważaniu niż rynsztok A-lerta. A teraz, gdy siły niszczycielskie pojawiły się na wzgórzach, podnosicie lament. Kiedy ten biedny gad A-lert usiłował was ostrzec przed najeźdźcą i skłonić do przygotowania obrony, wypędziliście go do rynsztoka i zagłodziliście niemal na śmierć. Co teraz zrobicie? Pewnie go jeszcze obijecie? Dzisiejsza sytuacja obciąża wasze sumienia, a nie władcy Weyr i jeźdźców, którzy przez setki Obrotów rzetelnie wypełniali swe obowiązki i dbali o to, by smoczy rodzaj nie wyginął... mimo waszych nieustannych protestów. Ilu z was – ciągnął moralną chłostę Robinton – okazywało hojność i przychylność rodzajowi smoczemu? Ileż to razy od czasu, kiedy zostałem Mistrzem swego cechu moi harfiarze skarżyli się, że zostali pobici za śpiewanie starych pieśni, co jest przecież ich obowiązkiem. Zaprawdę, dostojni Lordowie i Cechmistrzowie, zasługujecie na to, by wić się z bólu w swych kamiennych domostwach i w końcu uschnąć jak roślinność na waszych polach.

Wstał.

– Żadne Nici nie opadną. To tylko bajdurzenie harfiarza – odezwał się jękliwie, bezbłędnie naśladując

głos Nessela. – Ci jeźdźcy to pijawki, gotowe wyssać z nas cały dobytek i plony – jego głos przybrał zduszone, aluzyjne brzmienie tenoru Merona. – Tak, ta prawda jest tak gorzka, jak uczucie strachu w sercu śmiałego męża i tak trudna do przełknięcia jak gorzka pigułka szyderstwa. Za ten wasz stosunek do nich, jeźdźcy powinni was teraz zostawić samych na łaskę losu i Nici.

– Bitra, Lemos i ja – odezwał się wojowniczo Raid, kędzierzawy Lord Benden – zawsze wypełnialiśmy swe obowiązki względem Weyr.

Robinton odwrócił się i pochylił w jego kierunku. Spojrzał na niego przeciągle, badawczo.

– Tak, wy wypełnialiście. Ze wszystkich wielkich majątków wy trzej zachowaliście lojalność. A co z całą resztą? – jego głos wzbierał gniewem. – Znam wasze opinie o rodzaju smoczym. Słyszałem też wasze szepty o planach inwazji na Weyr – zaśmiał się chrapliwie i wyciągnął swój długi, kościsty palec, wskazując na Vincenta. – Gdzież byś teraz był, szlachetny Lordzie Vincent, gdyby jeźdźcy nie pogonili cię razem z wojskiem z powrotem do twej osady, zostawiając ci nadzieję na zwrot waszych kobiet? Faktycznie, wy wszyscy – tu po kolei wytknął palcem zbuntowanych onegdaj Lordów – wymaszerowaliście na Weyr, ponieważ twierdziliście, że... Nici przestały istnieć!

Pochylony, oparłszy obie dłonie na biodrach patrzył przenikliwie na zgromadzonych. F'lar chciał krzyczeć z radości. Nie miał żadnych wątpliwości, dlaczego ten człowiek został obrany Mistrzem Harfiarzy i dziękował losowi, że Weyr ma takiego stronnika.

– A teraz, w tym krytycznym momencie, macie zdumiewającą czelność by protestować przeciw środkom zaradczym proponowanym przez Weyr? – w jego głosie brzmiała drwina zmieszana ze zdziwieniem. – Macie słuchać Władcy Weyr i oszczędzić mu swych idiotycznych złośliwości! – wyrzucił z siebie te słowa, jak ojciec strofujący nieposłuszne dziecko. – Jeśli dobrze rozumiem – tu zwrócił się do F'lara, a ton jego głosu był teraz niezwykle uprzejmy – prosiłeś nas o współpracę szlachetny F'larze? W jakim zakresie?

F'lar chrząknął i przystąpił do wyjaśnień.

– Żądam, żeby mieszkańcy osad patrolowali własne pola i lasy, jeśli to możliwe, w czasie ataku Nici, a już na pewno po ich odejściu. Wszelkie nory w ziemi powstałe na skutek agresji muszą być odnalezione, oznakowane, a zapadłe w nie Nici – zniszczone. Im szybciej zostaną odkryte, tym łatwiej można się będzie ich pozbyć.

– Nie ma czasu na wykopanie dołów ogniowych na tak rozległych przestrzeniach... stracimy połowę gruntów ornych – wykrzyknął Nessel.

– Dawno temu stosowano inne metody. Mam nadzieję, że Mistrz Cechu Kowalskiego je zna – F'lar wykonał uprzejmy gest ręką w kierunku Fandarela.

Cechmistrz był wyższy o kilka cali od wszystkich zgromadzonych w sali mężczyzn; jego masywnie zbudowane plecy i silnie umięśnione ramiona opierały się o sąsiadów, mimo że za wszelką cenę starał się unikać kontaktu. Kiedy wstał, przypominał swą posturą pień potężnego drzewa.

– Były takie maszyny. Prawda to – mówił powoli, celowo akcentując wyrazy tak, by zebrani słysząc go nabrali przekonania, że myśli intensywnie. – Mój ojciec mówił o nich, że są największym cudem kowalskiej roboty. W Pałacu mogą być ich rysunki. Chyba, żeby nie było. Takie rzeczy nie zachowują się długo na skórach – zerknął ukosem spod krzaczastych brwi na Mistrza Cechu Garbarzy.

– Teraz musimy martwić się jak zachować swoją własną skórę – wtrącił F'lar, by zapobiec ewentualnej kłótni między rzemieślnikami.

Fandarel wydał nieokreślony gardłowy dźwięk i F'lar nie był pewny, czy to był stłumiony śmiech, czy też aprobata dla jego słów.

– Pomyślę nad tą sprawą. Tak samo wszyscy moi koledzy po fachu – zapewnił Fandarel Władcę Weyr. – Wypalić Nici z ziemi, żeby nie zniszczyć gleby – to może nie być takie łatwe, ale po prawdzie, są takie płyny, co płoną i są żrące. Używamy jednego takiego kwasu do robienia wzorów na sztyletach i ozdobach z metalu. My kowale nazywamy go trójagenonem. Jest też „czarna ciężka woda" pływająca na powierzchni w sadzawkach w Ingen i Boll. Pali się długo i daje dużo ciepła. Jeśli też jest tak jak mówisz, że zimno rozbija Nici na pył, to może lód z najzimniejszych lądów na północy mógłby zamrozić i rozbić Nici wryte w ziemię. Tylko problem w tym, żeby ten lód przetransportować tam, gdzie spadną Nici, bo one przecież nie spadną tam, gdzie my chcemy – wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Och, wkrótce się pozbierają – powiedziała Lessa i zaśmiała się w odpowiedzi na dezaprobatę R'gula.

– Muszą się pozbierać, jeśli mamy oczyścić niebo z Nici – warknął gniewnie R'gul.

– W tej chwili to już nie jest problem – zapewnił go F'lar spokojnie.

– Nie problem? Mamy tylko sto czterdzieści cztery smoki.

– Dwieście szesnaście – poprawiła go Lessa z naciskiem.

– Czy Mistrz Kowalski zbudował skuteczny miotacz ognia? – zapytał, ignorując zupełnie jej uwagę.

– Nie inaczej – odparł F'lar, uśmiechając się szeroko.

Jeźdźcy z pięciu Weyrów przywieźli ze sobą cały sprzęt bojowy. Fandarel niemal zerwał im z pleców miotacze i niewątpliwie przed nastaniem następnego dnia każdy kowal na kontynencie wykona duplikat tego urządzenia. T'ton powiedział F'larowi, że w jego epoce każda Osada była wyposażona w taką ilość miotaczy, że można było uzbroić w nie wszystkich mieszkańców. W czasie Długiego Interwału miotacze zapewne przetopiono albo uznawszy je za nieprzydatne, wyrzucono i zapomniano o nich. D'ram doszedł do wniosku, że lepszy od miotaczy jest skonstruowany przez Fandarela rozpylacz trójagenonu, albowiem może on jednocześnie służyć do nawożenia gleby.

– Tak, jeden lub dwa miotacze to lepsze niż nic. Przydadzą się nam pojutrze.

– Znaleźliśmy coś, co będzie nieporównanie skuteczniejsze – wtrąciła Lessa i pospiesznie, przeprosiwszy mężczyzn, pobiegła do sypialni.

Zza kotary w drzwiach dobiegły ich dźwięki jakby śmiechu czy szlochu. R'gul zmarszczył brwi. Ta dziewczyna była zdecydowanie za młoda na stanowisko Władczyni Weyr w tak ciężkich czasach.

– Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, jak krytyczne jest nasze położenie? Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę oddział F'nora, o ile w ogóle będą w stanie latać? – gniewnie zapytał R'gul. – Powinieneś całkowicie zabronić jej opuszczania Weyr.

F'lar puścił tę uwagę mimo uszu i zaczął nalewać sobie kielich wina.

– Kiedyś twierdziłeś, że tych pięć opuszczonych Weyrów stanowi dowód na poparcie twej teorii, że Nici już nigdy nie zaatakują Pernu.

R'gul przełknął ślinę. Pomyślał, że kajanie się, nawet jeśli tego właśnie oczekiwał od niego Władca Weyr, nie pomoże im zwalczyć Nici.

– W istocie, część tej teorii była słuszna – ciągnął F'lar, nalewając kielich dla R'gula. – Twoja interpretacja była jednak błędna. Te Weyry były puste, ponieważ ich mieszkańcy... przybyli tutaj.

R'gul zatrzymał kielich w pół drogi do ust i podejrzliwie popatrzył na F'lara. Ten człowiek też był za młody, by udźwignąć brzemię swych obowiązków. Ale... zdawał się naprawdę wierzyć w to co mówi.

– Możesz wierzyć lub nie, R'gul, a i tak nie później niż za dzień uwierzysz – tych pięć Weyrów nie świeci już pustkami. Oni są tutaj w Weyrach, w teraźniejszości. Przyłączą się do nas pojutrze w Telgar. Są w sile tysiąca ośmiuset smoków, mają miotacze ognia i mają doświadczenie w prowadzeniu walki.

Przez dłuższą chwilę R'gul patrzył w milczeniu na tego biednego człowieka. Powoli, z godnością postawił kielich na stole i obróciwszy się na pięcie wyszedł z pomieszczenia. Nie chciał, by dłużej wystawiano go na pośmiewisko. Ponieważ już pojutrze mają walczyć z Nićmi, to zrobi najlepiej, jeśli zaraz opracuje plan przejęcia władzy w dniu jutrzejszym.

Kiedy następnego dnia rano ujrzał klucz wspaniałych spiżowych smoków niosących Władców Weyrów i dowódców skrzydeł na konferencję, R'gul samotnie i cicho upił się.

Lessa wymieniła pozdrowienia ze swymi przyjaciółmi, a następnie uśmiechając się słodko, opuściła zgromadzonych, tłumacząc się, że musi nakarmić Ramoth. F'lar odprowadził ją wzrokiem pełnym troski, po czym przywitał się z Robintonem i Fandarelem, których także zaproszono na spotkanie. Obaj Cechmistrzowie nie mówili wcale, ale też nie uronili ani jednego słowa wypowiedzianego na konferencji. Ogromna głowa Fandarela zwracała się ku kolejnym mówcom. Z rzadka tylko mrugał swymi głęboko osadzonymi oczami. Na twarzy Robintona malował się nieznaczny uśmiech. Obecność gości z przeszłości sprawiała mu widoczną rozkosz.

F'lar, który chciał zrezygnować z tytularnej pozycji Władcy Weyr w Benden, albowiem, jak twierdził, był zbyt mało doświadczony, został szybko zakrzyczany.

siebie. I oto znów byli w Ruatha. Smoki radośnie uformowały imponujący szyk. Na tle świateł Pałacu widniały sylwetki Lytola, wysokiego Robintona i... F'lara.

Metaliczny głos Mnementha powitał przybyszy. Ramoth jak burza wylądowała i porzuciwszy Lessę poleciała do swego partnera, by spleść z nim radośnie szyje.

Lessa, niezdolna do wykonania żadnego ruchu, stała tam, gdzie zostawiła ją Ramoth. Czuła, że Mardra i T'ton stoją przy niej. Całą jej uwagę pochłaniał widok F'lara, który co sił w nogach pędził przez Podwórce na jej spotkanie. A ona nie mogła się nawet ruszyć.

– Lessa, Lessa – urywany głos F'lara śpiewnie brzmiał w jej uszach. Przycisnął jej twarz do swojej i miażdżąc jej usta aż do utraty tchu zaniechał swej pieczołowicie wyuczonej obojętności. Pocałował ją, uścisnął, objął i uniósł, po czym rozgorączkowany wycisnął na jej ustach kolejny pocałunek. Raptem, opuściwszy ją na ziemię chwycił ją za ramiona. – Lesso, jeśli jeszcze raz... – powiedział akcentując każde słowo skurczem palców i nagle przerwał, uświadamiając sobie, że otacza ich grono uśmiechających się przybyszów.

– Mówiłam wam, że będzie mną potrząsał – mówiła Lessa, zalewając się łzami. – Ale F'larze, przyprowadziłam ich wszystkich... wszystkich z wyjątkiem Benden Weyr. To właśnie dlatego porzucono pięć Weyrów. To ja ich przyprowadziłam.

F'lar rozejrzał się wokoło. Popatrzył ponad głowami Władców Weyrów i zobaczył mnóstwo, całą masę smoków siadających w dolinie, na wzgórzach, wszędzie gdziekolwiek spojrzał. Widział smoki niebieskie, zielone, spiżowe, brązowe i całe skrzydło złożone wyłącznie ze złotych królowych.

– Przyprowadziłaś Weyry – powtórzył oszołomiony.

– Tak. Oto Mardra i T'ton z Fort Weyr, D'ram i...

Przerwał jej lekkim szarpnięciem za ramiona, po czym przyciągnął ją do swego boku, aby móc zobaczyć i przywitać gości.

– Nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak jestem wam wdzięczny – powiedział i zamilkł, albowiem zbyt wiele słów jednocześnie cisnęło się mu na usta.

T'ton wystąpił naprzód i wyciągnął do niego dłoń. F'lar uścisnął ją mocno.

– Mamy tysiąc osiemset smoków, siedemnaście królowych i wszystko co niezbędne dla założenia naszych Weyrów.

– Przywieźli też miotacze ognia – wtrąciła podniecona Lessa.

– Ale żeby polecieć... żeby spróbować czegoś takiego – szepnął F'lar ze zdumieniem i podziwem.

T'ton, D'ram i inni gruchnęli śmiechem.

– Twoja Lessa to wspaniała...

– ...przewodniczka, zwłaszcza że całe jej zadanie wykonała za nią Gorąca Gwiazda – skończyła Lessa skromnie.

– Jesteśmy jeźdźcami – ciągnął T'ton poważnie – tak jak ty F'larze z Benden. Powiedziano nam, że są tu Nici, z którymi należy walczyć, a to robota dla jeźdźców... w każdej epoce!

Mimo że zakładano właśnie pięć Weyrów wokół doliny w Ruatha, F'lar był zmuszony ściągnąć z powrotem swych ludzi z południa. Wyczerpani życiem w „podwójnym czasie", byli u kresu wytrzymałości. Słaniając się na nogach, z ulgą i wdzięcznością powracali do swych domostw, które opuścili dwa dni i zarazem dziesięć Obrotów temu.

R'gul, całkowicie nieświadomy tego, że Lessa dokonała wyprawy w przeszłość, powitał F'lara i Władczynię Weyr, wracających do Weyr, wiadomościami o pojawieniu się F'nora z siedemdziesięcioma dwoma nowymi smokami. Dodał zaraz, że wątpi, czy którykolwiek z jeźdźców w tej grupie będzie w stanie wziąć udział w walce.

– Nigdy w życiu nie widziałem tak wyczerpanych ludzi – paplał R'gul – nie mogę pojąć co im się stało; przecież mieli tyle słońca, żarcia i w ogóle, a przy tym żadnych obowiązków.

F'lar i Lessa wymienili spojrzenia.

– Cóż, R'gul, południowy Weyr powinien być zachowany. Przemyśl to sobie.

– Jestem walczącym jeźdźcem, a nie babą – warknął stary jeździec. – Trzeba by czegoś więcej niż podróż „pomiędzy", żeby mnie doprowadzić do tak żałosnego stanu.

F'lar patrzył na niego zdziwiony. Czy ten człowiek nie zdawał sobie sprawy z własnej śmieszności. Ale nie, mówił ze szczerą troską.

Cechmistrz podrapał się potężnymi palcami w głowę tak mocno, że słychać było szorowanie paznokci o grube włosy i twardą czaszkę.

– Ciekawa sprawa. Ciekawa – mruknął bynajmniej nie zniechęcony trudnościami w rozwiązaniu tego problemu. – Rozważę ją bardzo dokładnie. – Usiadł, a solidna ława zatrzeszczała pod jego ciężarem.

Mistrz Cechu Rolników uniósł nieśmiało dłoń, prosząc o głos.

– Przypominam sobie, że kiedy zostałem Cechmistrzem, natrafiłem gdzieś na wzmiankę o tym, jak nasi przodkowie hodowali w Ingen robaki piaskowe i używali ich jako środka ochrony gleby.

– Nie słyszałem, żeby w Ingen było cokolwiek pożytecznego z wyjątkiem piachu i upałów – rzucił ktoś z sali.

– Każdy pomysł może okazać się dobry – odparł F'lar ostro, usiłując zidentyfikować wichrzyciela. Proszę Cechmistrzu, żebyś odnalazł tę wzmiankę, a ciebie, Lordzie Banger z Ingen, żebyś znalazł mi kilka tych robaków!

Banger, nie mniej zaskoczony wiadomością, że jego jałowe grunty miały w sobie coś wartościowego, skwapliwie przytaknął.

– Dopóki nie zdobędziemy skuteczniejszego środka do unicestwienia Nici, wszyscy mieszkańcy osad muszą się zorganizować podczas inwazji w grupy bojowe, które odszukają nory Nici, a następnie będą wrzucać do nich płonący ogniak. Wolałbym nie narażać ludzi na ciosy zadane przez Nici, ale wiemy jak szybko potrafią one zakopać się w ziemię. Nie wolno nam pozostawić żadnej, by mogła rozmnażać się bez przeszkód. Jeśli nie będziecie działać – zrobił wymowny gest w stronę Lordów – możecie stracić więcej niż inni. Strzeżcie nie tylko samych siebie, bowiem jama po jednej stronie granicy posiadłości może powiększyć się i wejść na teren sąsiada. Zmobilizujcie każdego mężczyznę, wszystkie kobiety, dzieci, rzemieślników i rolników. Zróbcie to zaraz.

W Sali Obrad panowało ogromne napięcie, oszołomienie wizją niebezpieczeństwa. Przecięło je wystąpienie Zurga – Mistrza Cechu Tkaczy.

– Mój fach też ma coś do zaoferowania... co jest zresztą naturalne, jako że mamy do czynienia z nićmi przez całe nasze życie – głos Zurga był cichy i oschły; spojrzenie jego osadzonych za wąską szparą między powiekami oczu przeskakiwało szybko po twarzach zgromadzonych. – Widziałem kiedyś w osadzie Ruatha na ścianie pałacowej komnaty gobelin... Gdzie on teraz jest? Któż to wie? – spojrzał z szelmowskim uśmiechem na Merona z Nabol i Bargena z High Reaches, który był spadkobiercą tytułu i tej posiadłości Faxa. – Dzieło to było tak stare jak rodzaj smoczy i przedstawiało, pośród innych rzeczy, stojącego człowieka, który niósł na plecach dziwne urządzenie. W obu dłoniach trzymał cylindryczny przedmiot o długości miecza, a z przedmiotu tego dobywały się języki płomieni, uderzające w ziemię. Było to wspaniale utkane nicią barwioną pomarańczowo-czerwoną farbą – nam już nie znaną... U góry naturalnie znajdowały się smoki w ciasnym szyku bojowym – głównie spiżowe smoki... dziś nie umiemy sporządzić farby oddającej wiernie kolor ich skóry. Pamiętam to dzieło z dwóch powodów: z uwagi na wiele zapomnianych technik, jakimi je tworzono i dla jego treści.

– Miotacz ognia? – wykrzyknął kowal. – Miotacz ognia – powtórzył cichnącym głosem. – Miotacz ognia – wymamrotał, marszcząc silnie swe krzaczaste brwi w głębokim zamyśleniu. – Miotacz jakiego ognia? Trzeba się nad tym zastanowić – opuścił nisko głowę, tak pochłonięty próbą rozwiązania nowego problemu, że stracił zupełnie zainteresowanie dalszą dyskusją.

– Tak, to prawda, Zurg. Wiele rozmaitych sposobów, technik i receptur stosowanych w każdym rzemiośle uległo w ostatnich Obrotach zapomnieniu – stwierdził F'lar. – Jeśli chcemy zostać przy życiu, musimy tę wiedzę zrekonstruować... i to szybko. Chciałbym zwłaszcza odzyskać gobelin, o którym mówił Cechmistrz Zurg.

F'lar znacząco zawiesił wzrok na tych spośród Lordów, którzy po śmierci Faxa toczyli spór o prawa do siedmiu pozostawionych przez niego posiadłości ziemskich.

– Być może pozwoli nam uniknąć wielu strat. Proponuję, żeby wrócił na swoje miejsce do Ruathy, albo niech się pojawi w warsztacie Zurga lub Fandarela – jak wam wygodniej.

Wśród zgromadzonych zapanowało chwilowe poruszenie, ale nikt nie przyznał się do posiadania dzieła.

– Zatem niechaj będzie zwrócony synowi Faxa, obecnemu Lordowi z Ruathy – dopowiedział F'lar z wymuszonym uśmiechem.

Lytol fuknął pod nosem i potoczył groźnym spojrzeniem po zgromadzonych. F'lar spodziewał się raczej, że całe to zajście wyda się Lytolowi zabawne i widząc jego reakcję poczuł ulotne współczucie dla osieroconego Jaxoma, którego wychowaniem zajmował się ten ponury, chociaż uczciwy człowiek.

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, Władco Weyr – wtrącił Robinton – wszyscy możemy wyciągnąć korzyści ze studiowania starych Kronik, które każdy w domu posiada. – Uśmiechnął się nagle z zakłopotaniem. – Przyznaję, że ogarnia mnie w tej chwili wstyd, albowiem my, Harfiarze usunęliśmy z naszego repertuaru niepopularne ballady i skąpiliśmy niektórych dłuższych Ballad Instruktażowych i Sag... z braku słuchaczy, a czasem w trosce o wyniesienie cało swojej skóry.

F'lar zamaskował śmiech nagłym kaszlem. Robinton był geniuszem.

– Muszę zobaczyć ten gobelin z Ruathy – wyrwał się nagle Fandarel.

– Jestem przekonany, że wkrótce będzie w twoich rękach – zapewnił go F'lar z udaną pewnością. – Moi Lordowie, czeka nas wiele pracy. Teraz, kiedy już wiecie w obliczu jakiego niebezpieczeństwa stoimy, pozostawiam w waszych rękach sprawę organizacji swoich ludzi w majątkach. Sami wiecie najlepiej jak tego dokonać. Rzemieślnicy! Niech najbystrzejsi z was zajmą się naszymi szczególnymi problemami: niech przejrzą wszystkie Kroniki, które mogą wnieść coś nowego do rozważanych zagadnień. Lordowie z Telgar, Crom, Ruathy i Nabol! Będę z wami za trzy dni. Lordowie z Nerat, Keroon oraz Ingen! Jestem do waszej dyspozycji, jeśli będziecie potrzebowali pomocy przy niszczeniu nor na terenie waszych posiadłości. Korzystając z faktu, że jest między nami Mistrz Górników, powiadomcie go o swoich potrzebach. Jak przebiega praca w kopalniach?

– My szczęśliwie mamy pełne ręce roboty, Władco Weyr – odparł Mistrz.

W tym momencie F'lar dostrzegł F'nora stojącego w zacienionym korytarzu, który wiódł do Sali Obrad. F'nor usiłował ściągnąć na siebie jego spojrzenie. Brązowy jeździec promieniał w uśmiechu i było oczywiste, że ma wiele wiadomości do zakomunikowania.

F'lar zastanawiał się jak mogli tak sprawnie i szybko wrócić z Południowego Kontynentu i wtem uświadomił sobie, że F'nor znowu jest opalony. Krótkim, urwanym ruchem głowy dał mu znak, żeby oddalił się do pomieszczeń sypialnych i tam na niego poczekał.

– Lordowie i Cechmistrzowie, każdemu zostanie oddany do dyspozycji młody smok. Użyjecie ich do przesyłania wiadomości i do transportu. A teraz, życzę dobrego dnia!

Wyszedł z Sali Obrad i udał się korytarzem do legowiska królowej. Kiedy rozsunął rozhuśtane jeszcze kotary u wejścia do sypialni, F'nor właśnie nalewał sobie kielich wina.

–. Sukces! – zawołał F'nor widząc F'lara. – Chociaż nigdy nie pojmę skąd wiedziałeś, że należy wysłać dokładnie trzydziestu dwóch kandydatów. Sądziłem, że obrażasz tym naszą szlachetną Pridith, ale ona złożyła trzydzieści dwa jaja w ciągu czterech dni. Gdy pojawiło się pierwsze nie wytrzymałem i odłożyłem swój wyjazd do chwili, kiedy skończyła składanie jaj.

F'lar zareagował na te wieści serdecznymi gratulacjami. Świadomość, że całe to przedsięwzięcie, które początkowo wydawało się być pechowe, da w rezultacie pewne korzyści przyniosła F'larowi ulgę. Wszystko czego mu było w tej chwili potrzeba, to dowiedzieć się jakoś o ile dłużej F'nor przebywał na południu do chwili jego wizyty ubiegłej nocy, kiedy z obłędem w oku wpadł do Archiwum. Dzisiaj na jego opalonej, uśmiechniętej twarzy nie znać było jeszcze żadnego śladu przygnębienia, czy wyczerpania.

– Nie ma jaja królewskiego? – spytał F'lar z nadzieją w głosie. Można by było wysłać w przeszłość kolejną królową i powtórzyć eksperyment, skoro pierwszy udał się, dając im dodatkowe trzydzieści dwa smoki.

F'nor zasępił się.

– Nie. A byłem pewny, że będzie. Ale jest czternaście spiżowych. Pod tym względem Pridith przewyższyła Ramoth – dodał z dumą.

– A co poza tym słychać w Weyr?

F'lar podniósł na niego oczy, marszcząc brwi w zakłopotaniu. Uświadomił sobie, że próbował unieść kubek z winem przytrzymywany zdecydowanie przez Robintona.

– Co mówiłeś?

– Chodź. Będę ci towarzyszył do Benden i nikt nie odwiedzie mnie od tego zamiaru. Człowieku, przez tych kilka godzin postarzałeś się o całe lata.

– A czyż to nie jest zrozumiałe – wrzasnął F'lar, zrywając się na nogi. Wylewał bezsilną złość na najbliższy cel – na Robintona.

Robinton ze wzrokiem pełnym współczucia, wyciągnął rękę i chwycił mocno F'lara za ramię.

– Panie, nawet ja, Mistrz Harfiarzy, nie potrafię znaleźć słów godnych wyrażenia współczucia i czci jaką cię darzę, ale musisz się przespać. Musisz przetrwać dzień jutrzejszy, a pojutrze musisz stanąć do boju... – głos mu się załamał. – Jutro trzeba będzie sprowadzić F'nora... i Pridith.

F'lar obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku nieszczęsnych drzwi Pałacu w Ruatha.

Przed nimi wystrzeliła w górę Wielka Wieża w Ruatha. W świetle zmierzchu ujrzeli wyraźnie wysokie mury okalające Pałac.

Gwałtowny, głośny dźwięk trąbki ogłaszającej alarm zagłuszony został przez rozrywający uszy grzmot wywołany niespodziewanym pojawieniem się setek smoków, które natychmiast, skrzydło za skrzydłem uformowały pełny szyk bojowy, wypełniając przestrzeń powietrzną nad doliną.

Drzwi Pałacu otworzyły się i smuga światła padła plamą na kamienie flagowe przed Dworem.

Lessa poleciła Ramoth wylądować w pobliżu Wieży i zeskoczywszy z grzbietu swego smoka pobiegła przed siebie, by powitać ludzi, którzy wysypywali się przez drzwi na jej spotkanie. W tłumie rozpoznała krępą postać Lytola, który trzymał na wyciągniętej wysoko ponad głowę dłoni misę z płonącymi żagwiami. Jego widok przyniósł jej taką ulgę, że zapomniała o swej dawnej awersji do Strażnika.

– Pomyliłaś się o dwa dni, Lesso – wykrzyknął, gdy tylko zbliżył się do niej na tyle, że mógł przekrzyczeć hałas wywołany lądowaniem smoków.

– Pomyliłam się? Jak mogłam się pomylić? – dyszała Lessa.

T'ton i Mardra stanęli przy niej.

– Nie ma powodu do zmartwienia – zapewnił ją Lytol, ujmując w uścisku jej dłonie. Z radośnie rozbieganymi oczami uśmiechnął się. – Spudłowaliście. Wracajcie „pomiędzy", wracajcie do Ruathy sprzed dwóch dni. Ot, i cała filozofia – uśmiechnął się szeroko, widząc jej konsternację. – Nic się nie stało – powiedział, poklepując jej dłonie – weź tę samą godzinę, Pałac, wszystko, ale wyobraź sobie dodatkowo F'lara, Robintona i mnie stojących na kamieniach flagowych. Umieść Mnementha na Wielkiej Wieży i niebieskiego smoka na schodach. A teraz, w drogę.

– *Mnementh?* – zapytała Lessę Ramoth niecierpliwie oczekująca spotkania ze swym partnerem. Pochyliła ogromną głowę, a w jej wielkich ślepiach błysnęły iskierki podniecenia.

– Nie rozumiem – jęknęła Lessa. Mardra otoczyła jej ramiona przyjacielską ręką.

– Ale ja rozumiem. Rozumiem, zaufajcie mi – błagał Lytol, nieśmiało poklepując Lessę po plecach. Szukając poparcia spojrzał na T'tona. – Jest dokładnie tak, jak mówił F'nor. Nie można być w kilku różnych punktach czasu i nie czuć potwornego wyczerpania, a kiedy zatrzymaliście się o dwanaście Obrotów od tej chwili, Lessa niespodziewanie zaniemogła.

– Ty o tym wiesz? – wykrzyknął T'ton.

– Oczywiście. Po prostu cofnijcie się o dwa dni. Teraz rozumiecie, że wiem o wszystkim. Naturalnie wtedy będę bardzo zdziwiony, ale teraz, dzisiejszej nocy, wiem że pojawiliście się dwa dni wcześniej. No, lećcie już! Nie próbujcie nawet dyskutować! F'lar był na wpół przytomny ze zmartwienia o ciebie.

– Będzie mną potrząsał – Lessa rozpłakała się jak mała dziewczynka.

– Lessa! – T'ton wziął ją za rękę i zaprowadził z powrotem do Ramoth, która przykucnęła, żeby Lessa mogła jej dosiąść.

T'ton przejął pełne dowodzenie. Polecił swemu Fidranthowi, żeby przekazał pozostałym smokom punkty orientacyjne, które podał Lytol, a Ramoth uzupełniła ten obraz o opis Mnementha i ludzi na kamieniach flagowych.

Chłód „pomiędzy" otrzeźwił Lessę, mimo że błąd, który popełniła mocno podważył jej wiarę w samą

tęskniła za nim bardziej niż się spodziewała. Ponadto obawiała się, że Ramoth rozpocznie gody bez Mnementha. Nie ulegało wątpliwości, że wiele spiżowych smoków i ich jeźdźców z ochotą przyjęłoby takie rozwiązanie, ale Lessa nie wyrażała żadnego nimi zainteresowania.

T'ton i Mardra obarczyli ją zadaniem opracowania wielu szczegółów związanych z organizacją exodusu, albowiem należało zrobić tak, żeby w Weyrach nie pozostał po nich żaden ślad – z wyjątkiem gobelinu i Pieśni-Zagadki, która miała zostać skomponowana w jakiś czas po ich odlocie.

Ze łzami ulgi w oczach Lessa poleciła Ramoth, by wzniosła się ponad Gwiezdny Kamień Fort Weyr i zajęła miejsce obak T'tona i Mardry na tle spowitego mrokiem nocy nieba.

We wszystkich pięciu Weyrach wspaniałe oddziały jeźdźców uformowały się w powietrzu, demonstrując gotowość opuszczenia swej epoki.

Gdy tylko smoki Władców Weyrów zameldowały Lessie, że wyobraziły już sobie punkty orientacyjne wyznaczone przez położenie Gorącej Gwiazdy, Lessa – podróżnik z przyszłości – dała rozkaz odlotu.

Wykonali jedenaście skoków „pomiędzy". Podczas krótkich postojów między kolejnymi etapami podróży spiżowe smoki Władców Weyrów konsultowały się z Lessą, która koordynowała całe przedsięwzięcie. Z tysiąca ośmiuset niezwykłych podróżników tylko czterech nie zdołało przenieść się w przyszłość – wszyscy czterej dosiadali niemłodych już smoków. Jeźdźcy wszystkich pięciu oddziałów uzgodnili, że przed ostatnim skokiem o długości zaledwie dwunastu Obrotów, zatrzymają się na krótki posiłek i napiją się gorącego klah.

– Łatwiej jest – mówił T'ton, gdy Mardra podała im klah – pokonywać odcinek o długości dwudziestu pięciu Obrotów niż dwunastu – spojrzał w górę na ich wiernego przewodnika – pulsującą nierównomiernym światłem Gorącą Gwiazdę. – W tak krótkim czasie nie zmieni ona w widoczny sposób swego położenia. Liczę na to Lesso, że podasz nam dodatkowe punkty orientacyjne.

– Chcę was zabrać do Ruathy, zanim F'lar odkryje, że wyjechałam – spojrzawszy na Gorącą Gwiazdę zadrżała na całym ciele i pośpiesznie przypięła się ustami do naczynia z gorącym klah. – Raz już kiedyś widziałam Gwiazdę właśnie taką jak teraz... nie, dwa razy... W Ruatha – patrzyła szeroko otwartymi oczami na T'tona. Poczuła ściskanie w gardle na wspomnienie tamtego dnia, w którym nabrała przekonania, że Gorąca Gwiazda stanowi dla niej zagrożenie. Było to w trzy dni po przybyciu do Ruathy Faxa i F'lara. Fax oddał życie przebity sztyletem F'lara, a ona pojechała do Benden Weyr. Nagle poczuła się jak pijana. Ogarnęła ją słabość i dziwny niepokój. Pomiędzy poprzednimi etapami podróży nie czuła się tak źle.

– Co ci jest, Lesso – spytała troskliwie Mardra. – Jesteś taka blada. Drżysz – otoczyła Lessę ramieniem i popatrzyła z przejęciem na T'tona.

– Dwanaście Obrotów temu byłam w Ruatha – wymamrotała Lessa, chwytając rękę Mardry w poszukiwaniu oparcia. – Byłam w Ruatha dwukrotnie. Odlatujmy szybko. Za dużo mam wrażeń, jak na jeden ranek. Muszę wracać. Muszę wracać do F'lara. Na pewno będzie się na mnie bardzo gniewał.

Nuta histerii w jej głosie zaniepokoiła Mardrę i T'tona.

T'ton pośpiesznie rozkazał wygasić ogniska i przygotować się do ostatniego skoku w przyszłość.

Z umysłem zmąconym chaosem myśli, Lessa przekazała smokom Władców Weyrów kilka obrazów służących za punkty orientacyjne: Ruatha w świetle zapadającego zmierzchu, Wielka Wieża, Pałac, pejzaż wiosenny...

* * *

Lytol i Robinton wmusili we F'lara posiłek celowo obficie zakrapiany winem. Z głębi świadomości do F'lara dobiegał głos mówiący mu, że musi się wziąć w garść, ale czuł, że to ponad jego siły. Jego zwykła energia gdzieś się zapodziała. Myśl o tym, że są jeszcze Pridith i Kylara, dzięki którym będzie można utrzymać ciągłość smoczego rodzaju, nie przynosiła mu żadnej ulgi. Stale odkładał na później wydanie polecenia, żeby sprowadzić z powrotem F'nora. Wezwanie Pridith i Kylary byłoby równoznaczne z akceptacją faktu, że Lessa i Ramoth nie powrócą. F'lar nie czuł się na siłach stawić czoła takiej rzeczywistości.

„Lessa, Lessa" – jej imię dźwięczało mu nieustannie w myśli. Targany sprzecznymi uczuciami, to potępiał ją nieostrożną, bezmyślną śmiałość, to uwielbiał ją za próbę dokonania tak niewiarygodnego wyczynu.

– Słuchaj F'lar. Teraz bardziej potrzebujesz snu niż wina – głos Robintona przeciął tok jego myśli.

F'nor zmarszczył brwi i pokiwał głową zwlekając z odpowiedzią, jakby to pytanie wprawiło go w zakłopotanie.

– Kylara... no cóż, są z nią kłopoty. Stale rozrabia. T'bor nie ma z nią lekkiego życia i ostatnio zrobił się tak drażliwy, że wszyscy go unikają. Młody N'ton – F'nor rozchmurzył się nieco – ma już zadatki na dobrego dowódcę skrzydła, a jego spiżowy smok może prześcignąć Ortha T'bora, kiedy Pridith ponownie wzniesie się w locie godowym. Nie znaczy to, że chciałbym, żeby Kylara była partnerką N'tona... czy czyjąkolwiek.

– Jakieś kłopoty z zaopatrzeniem?

F'nor zaśmiał się beztrosko.

– Gdybyś nie wydał zdecydowanego polecenia, że nie wolno nam kontaktować się z wami tutaj, moglibyśmy zaopatrywać was w owoce i świeże warzywa, które są o niebo lepsze od czegokolwiek co rośnie na północy. Wszyscy jeźdźcy powinni jadać tak jak my! F'lar, musimy pomyśleć o założeniu tam bazy zaopatrzeniowej. Wtedy nie trzeba będzie martwić się o transporty z dziesięciną i...

– Wszystko we właściwym czasie. Teraz wracaj. Sam rozumiesz, że twoje wizyty muszą trwać krótko.

F'nor wykrzywił twarz w uśmiechu.

– Och, nie jest tak źle. W tej chwili mnie tu nie ma.

– Fakt – zgodził się F'lar – ale nie pomyl się w obliczaniu czasu, żebyś się przypadkiem nie zjawił, kiedy tu będziesz.

– Hm? A, tak. Jasne. Stale zapominam, że dla nas czas płynie powoli, podczas gdy dla was – pędzi na złamanie karku. Dobra, nie pojawię się tu ponownie do chwili kiedy Pridith po raz wtóry zniesie jaja.

Rzucając radośnie słowa pożegnania, F'nor dziarskim krokiem opuścił sypialnię. F'lar w zamyśleniu patrzył jak oddala się w kierunku Sali Obrad. Trzydzieści dwa młode smoki, w tym czternaście spiżowych, to nie było mało. Eksperyment wydawał się być wart ryzyka. A jeśli ryzyko stanie się większe?

Ktoś chrząknął głośno, by ściągnąć na siebie uwagę. F'lar podniósł wzrok i ujrzał Robintona, stojącego w wejściu, które prowadziło do Sali Obrad.

– Zanim sporządzę kopie tych map i pouczę innych, Władco Weyr, muszę najpierw sam je dokładnie poznać i zrozumieć. Ośmieliłem się zatem pozostać w Weyr.

– Byłeś wspaniały, Cechmistrzu.

– Bronisz szlachetnej sprawy, Władco Weyr. Błagałem niebiosa – jego oczy błysnęły złośliwie – o możliwość przemawiania do tak szlachetnej publiczności.

– Kielich wina?

– Winne grona z Benden są przedmiotem zazdrości całego Pernu.

– O ile ktoś posiada podniebienie godne tak delikatnego bukietu.

– Smakosze o nie dbają.

F'lar zastanawiał się, kiedy ten człowiek przestanie bawić się słowami. Zapewne chodziło mu o coś więcej niż poznawanie map.

– Mam w pamięci pewną balladę, której nie śpiewałem od czasu, gdy zostałem Cechmistrzem, z uwagi na to, że brak w niej konkluzji – rzekł niezwykle poważnie, gdy skończył delektować się winem. – Jest to niespokojna pieśń, zarówno w warstwie tekstowej jak i muzycznej. Kiedy jest się harfiarzem, trzeba nauczyć się pewnej wrażliwości, która pozwoli ocenić czego ludzie chcą słuchać, a co odrzucą... siłą. – Wykrzywił usta w uśmiechu, wracając pamięcią do niezbyt odległych czasów, kiedy ludzie wrogo przyjmowali harfiarzy. – Zrozumiałem, że ta ballada drażniła zarówno śpiewaka jak i słuchaczy, i wyłączyłem ją ze śpiewnika. Obecnie, tak jak ten gobelin, zasługuje na ponowne odkrycie.

Po śmierci C'gana, jego instrument powieszono na ścianie w Sali Obrad, aby czekał tam dnia, w którym wybierze się nowego śpiewaka Weyr. Gitara była bardzo stara, a jej pudło wykonane zostało z cienkiej warstwy drewna. Stary C'gan zawsze miał ją nastrojoną i przechowywał instrument w pokrowcu. Mistrz Harfiarzy ujął ją z nabożeństwem i uderzając lekko w struny uniósł w zachwycie brwi, słysząc przepiękne brzmienie.

Uderzył akord – dysonans. F'lar zastanawiał się czy to gitara jest rozstrojona, czy harfiarz przypad-

kowo szarpnął niewłaściwą strunę, ale Robinton powtórzył dziwny akord, modulując go w nietypowy moll tak, że dźwięk zabrzmiał jakoś nieprzyjemnie, bardziej nawet od poprzedniego.

– Mówiłem ci, że to niespokojna pieśń. Ciekaw jestem, czy znasz odpowiedzi na pytania, które stawia, albowiem ja dziesiątki razy próbowałem rozwiązać tę zagadkę bezskutecznie.

Jego słowa przeszły w śpiew:

Wszyscy odeszli, odeszli przed siebie.
Tylko echo powtarza pytanie.
Pusty, zamarły Weyr...
Dlaczego jeźdźcy odeszli?
Dokąd odeszły smoki?
Tylko wichry hulają po Weyrach.
Jak pusto, jak obco dokoła –
Odeszli nasi obrońcy... lecz dokąd?
Czy zamieszkali w nowym Weyr,
Gdzie Nici sieją zniszczenie?
Ile światów ich od nas dzieli?
Dlaczego, och dlaczego pusty Weyr?

Zabrzmiał ostatni, płaczliwy akord.

– Naturalnie wiesz, że ta pieśń została zapisana w roczniku harfiarskim jakieś czterysta Obrotów temu – powiedział Robinton, obejmując gitarę tak, jakby troskliwie trzymał w ramionach niemowlę. – Gorąca Gwiazda właśnie zakończyła Przejście i ataki Nici już nie sięgały celu. Ludzie jednak nie wiedzieli o tym jeszcze i nic dziwnego, że fakt zniknięcia jeźdźców z pięciu Weyrów był dla nich szokiem. Wyobrażam sobie, że w tym czasie ludzie wymyślili niejedno wytłumaczenie tego zjawiska, ale żadne... nawet jedno z nich... nie jest utrwalone w piśmie. – Robinton urwał znacząco.

– Ja również nie znalazłem żadnego – odparł F'lar. – Prawdę mówiąc, przyniesiono mi Kroniki z pozostałych Weyrów, bo chciałem sporządzić wykres czasowy, ilustrujący ataki Nici, ale rzeczywiście wszystkie po prostu urywają się... – nie wypowiadając zdania do końca F'lar uczynił ruch dłonią, jakby dokonywał cięcia nożem. – W Kronikach pochodzących z Benden nie ma żadnej wzmianki o zarazie, masowej śmierci, pożarze czy kataklizmie – ani słowa wyjaśnienia tej nagłej przerwy w utrzymywaniu stosunków z pozostałymi Weyrami. Kroniki Benden opisują dalsze wydarzenia, ale dotyczące jedynie Benden. Jest tylko jedna wzmianka, którą można by łączyć z tym masowym zniknięciem, a mianowicie fakt, że rozpoczęto patrolowanie całego Pernu, co nie leżało bezpośrednio w zakresie obowiązków jeźdźców z Benden. I to wszystko.

– Dziwne – mruknął Robinton. – Kiedy niebezpieczeństwo ze strony Gorącej Gwiazdy przeminęło, jeźdźcy mogli, załóżmy, odejść, w „pomiędzy", żeby nie być ciężarem dla mieszkańców Pernu, którzy musieli składać dziesięcinę. Trudno mi jednak w coś podobnego uwierzyć. Kroniki naszego cechu mówią, że plony były wyjątkowo niskie i że miały miejsce różne kataklizmy, inne niż Nici. Ludzie co prawda potrafią być odważni, a jeźdźcy wśród nich są przecież najdzielniejsi, ale – masowe samobójstwo? Po prostu nie mogę przyjąć takiego wytłumaczenia... nie w przypadku jeźdźców.

– Serdeczne dzięki – rzucił F'lar z nutą ironii.

– Drobiazg – odparł Robinton i skinął łaskawie głową.

F'lar zaśmiał się lekko, z uznaniem.

– Wydaje mi się, że za bardzo izolowaliśmy się tu, w Weyr, od świata.

Robinton wysączył ostatnią kroplę z kielicha i patrzył nań tęsknie, aż F'lar uzupełnił go winem.

– Wasza izolacja jednak na coś się przydała i muszę przyznać, że wspaniale stłumiliście ten bunt Lordów – wtrącił Robinton, uśmiechając się szeroko. – Gwizdnąć im kobiety w czasie tak krótkim jak jeden oddech smoka! – jego ciałem wstrząsnął krótki śmiech. Nagle spoważniał i patrząc F'larowi prosto w oczy rzekł: – Jestem chyba jak nikt inny przyzwyczajony do słuchania tego, czego zwykle nie mówi się na głos. Podejrzewam, że w czasie dzisiejszych obrad nie przedstawiłeś w pełni prawdziwego obrazu sytuacji. Możesz polegać na mojej dyskrecji... i możesz być całkowicie pewny pełnego poparcia z mojej strony i całego mojego cechu, bynajmniej nie pozbawionego możliwości oddziaływania na ludzi. Krótko

Harfiarz zachichotał przewrotnie i Lessa nabrała pewności, że jej wskazówki były wystarczające.

Rozgorzała dyskusja na temat: jak bezpiecznie wykonać tak długi lot, aby nie zakłócić funkcjonowania zmysłów. Przedstawiono również wiele konstruktywnych pomysłów, dotyczących sposobu odnalezienia punktów odniesienia na drodze do przyszłości, ale okazały się one niepraktyczne. Pięć Weyrów, do których się wybierali, nie było w czasach Lessy zasiedlonych, a ona podczas gigantycznego skoku w przeszłość nie zatrzymywała się po drodze dla zebrania pośrednich znaków czasu.

– Mówiłaś, że skok „pomiędzy" okresami odległymi o dziesięć Obrotów nie wywołuje niepożądanych objawów? – spytał Lessę T'ton, kiedy Władcy Weyrów zebrali się ponownie, by przełamać impas powstały na poprzednich spotkaniach.

– Żadnych. Zabiera... hm, raptem tyle czasu co skok „pomiędzy" dwoma punktami w przestrzeni.

– Skok przez czterysta Obrotów wytrącił cię zupełnie z równowagi. Hmm. Może segmenty czasu o długości dwudziestu pięciu Obrotów będą wystarczająco bezpieczne.

Już wyglądało na to, że ta propozycja spotka się z ogólną aprobatą, gdy przemówił D'ram, rozważny wódz z Ista Weyr.

– Nie chciałbym, żeby to co powiem zostało odebrane jako chowanie głowy w piasek, ale istnieje jedna kwestia, która nie została poruszona. Skąd będziemy wiedzieli, że wskoczyliśmy w czasy Lessy? Latanie „pomiędzy" jest ryzykownym zajęciem. Ludzie często giną, a Lessa też ledwie uszła z życiem.

– Słuszna uwaga, D'ram – zgodził się pośpiesznie T'ton – ale sądzę, że istnieją fakty, które dowodzą, że polecieliśmy... polecieliśmy w przyszłość. To właśnie one skłoniły Lessę do działania. Już choćby sam fakt jakiegoś nagłego zajścia, które spowodowało porzucenie pięciu Weyrów, jaki pchnął Lessę do tego, by przybyć do nas z prośbą o pomoc, może służyć za taki dowód.

– Zgoda, zgoda – przerwał mu D'ram z troską – chodzi mi jedynie o to, czy możemy mieć pewność, że dotrzemy do czasów Lessy? Te czasy jeszcze nie nadeszły. Skąd można to wiedzieć?

T'ton nie był jedynym człowiekiem wśród zgromadzonych, który gorączkowo szukał odpowiedzi na postawione pytanie. Raptem uderzył obiema dłońmi o blat stołu.

– Na Jajo, stoimy przed alternatywą: umierać powoli nie robiąc nic albo umrzeć szybko – próbując. Dość już mam tego spokojnego życia, które my jeźdźcy musimy prowadzić po odejściu Gorącej Gwiazdy po to, by osiągnąwszy wiek starczy odejść w „pomiędzy". Wyznaję, że jest mi jakoś przykro, kiedy widzę jak plama Gorącej Gwiazdy kurczy się na tle nieba o zmierzchu. Słuchajcie, nie bójmy się ryzyka. Jesteśmy jeźdźcami smoków; wychowano nas w duchu walki z Nićmi. Czyż nie tak? Udajmy się na polowanie... czterysta Obrotów w przyszłość!

Ściągnięta twarz Lessy odprężyła się. Musiała przyznać, że nie można było wykluczyć tej możliwości, o której mówił D'ram. Myśl o tym wypełniła jej serce lękiem. Mogła na własną odpowiedzialność ryzykować swoim życiem, ale ryzykować życiem kilkunastu setek jeźdźców i smoków oraz towarzyszących im pozostałych mieszkańców pięciu Weyrów?...

Donośne słowa T'tona raz na zawsze przekreśliły jej wątpliwości.

– Jestem przekonany – triumfalny głos Mistrza Harfiarzy wdarł się w chór głosów, wyrażających poparcie dla stanowiska T'tona – że znam niezbędne punkty orientacyjne na drodze do przyszłości. Dwadzieścia Obrotów, czy dwadzieścia setek, to nieistotne ile. Istnieje niezawodne rozwiązanie. T'ton sam je już przedstawił: „Gorąca Gwiazda kurczy się na tle nieba o zmierzchu..."

Później, kiedy wykreślali orbitę Gorącej Gwiazdy, zrozumieli jak proste było to rozwiązanie i aż śmiali się, że ich odwieczny wróg będzie dla nich drogowskazem.

Na szczycie Fort Weyr, podobnie jak na szczycie każdego Weyru, leżały potężne głazy. Głazy te ustawione były w taki sposób, że w pewnych dniach roku, na podstawie ich rozmieszczenia można było ocenić, czy Gorąca Gwiazda, która poruszając się po nierównej orbicie wykonywała trwające dwieście Obrotów okrążenie słońca – zbliża się, czy oddala od Pernu. Po przestudiowaniu Kronik, które oprócz innych jeszcze informacji dawały opis wędrówki Gorącej Gwiazdy po niebie, bez trudu opracowano dla każdego Weyru plan wykonywania skoków „pomiędzy" czasem nad własnymi bazami, bowiem gdyby prawie tysiąc osiemset objuczonych smoków usiłowało dokonać tego w jednym miejscu, niewątpliwie miałyby miejsce kolizje.

Teraz każda minuta spędzona tutaj wydawała się Lessie wiecznością. Już miesiąc nie widziała F'lara i

MŁODY DZIENNIKARZ ALFRED JAAS USIŁUJE ROZWIKŁAĆ TAJEMNICĘ NIEUCHWYTNEGO „CZŁOWIEKA BEZ TWARZY." NIEMAL W KAŻDEJ SWOJEJ PODRÓŻY SŁUŻBOWEJ TRAFIA NA JEGO ŚLADY, LECZ JESZCZE NIGDY NIE UDAŁO MU SIĘ SPOTKAĆ KOSMICZNEGO ROBIN HOODA. PO SZCZĘŚLIWIE ZAKOŃCZONYCH POSZUKIWANIACH GROŹNEJ BANDY KANALIZATORA, JAAS ZAMIERZA WŁAŚNIE POPROSIĆ SWOJEGO SZEFA O ZASŁUŻONY URLOP, LECZ...

SZEFIE! JEST REPORTAŻ! CHCIAŁBYM PANA PROSIĆ O...

OK. DOSTANIESZ PREMIĘ. ALE PRZEDTEM POLECISZ NA ZLEP. WŁAŚNIE PRZED CHWILĄ ZDOBYŁEM NIEZWYKLE CENNE INFORMACJE.

SZEFIE, ONE MNIE ROZSZARPIĄ...

DOSTANIESZ SALLY JAKO OCHRONĘ. A-PRESS JAKO PIERWSZA MUSI MIEĆ MATERIAŁ Z TEGO ZJAZDU NA HETERZE. I TY GO PRZYWIEZIESZ.

CHODŹ, AL. PRZY MNIE ZLEP NIC CI NIE ZROBI.




BRYGA
SIĘ NA ZLEP
FQ
FABRYKA QUITERONÓW W CLEYERTO'VEY


OBIAD, KOCHANIE!
CHWILECZKĘ. WŁAŚNIE USTALAM NAJWAŻNIEJSZE PARAMETRY.




POSPIESZ SIĘ, AL! JESZCZE MUSISZ SIĘ UBRAĆ JAK TRZEBA, A ZA 28 MINUT WCHODZIMY W TUNEL LĄDOWNICZY!


Liga Emancypantek Przestrzennych
WITA UCZESTNICZKI LXIX ZJAZDU!!!


SŁYSZAŁYŚCIE JUŻ O TARLEY'U? PODOBNO...


LXIX ZLEP
DZIĘKUJĘ WSZYSTKIM UCZESTNICZKOM ZJAZDU W IMIENIU NOWEGO ZARZĄDU LIGI. PRZYSTĘPUJEMY TERAZ DO PIERWSZEGO PUNKTU OBRAD: SPRAWY NIEJAKIEGO SALVATORA TARLEY'A.
OBURZENIEM PRZEJMUJE NAS FAKT PORWANIA MŁODEJ, NIEWINNEJ VEGANKI GRGYX. GDYBY TARLEY TRAFIŁ NA KTÓRĄŚ Z NAS...
POKAZAĆ MU!
JAK JA GO DOPADNĘ!
PO MNIE, KOCHANA, PO MNIE!
WŁAŚNIE, DLACZEGO NIE KTÓRĄŚ Z NAS!?
PHI!
A CO ON BY Z TOBĄ ROBIŁ?
Z DROGI STARA KLĘPO!
STAĆ! WSZYSTKO MUSI ODBYĆ SIĘ Z ZACHOWANIEM WŁAŚCIWYCH FORMALNOŚCI. OCZYWIŚCIE TARLEY'A PO UJĘCIU NIE PRZEKAŻEMY RZĄDOWI, BO SAMIEC Z SAMCEM ZAWSZE SIĘ DOGADA...
...JENIEC POZOSTANIE W DYSPOZYCJI WŁADZ LIGI! KTO ZA? SPRZECIWÓW NIE WIDZĘ.
UU-HAAJ
UFF! NA SZCZĘŚCIE BYLIŚMY NAJBLIŻEJ DRZWI.
ZORIENTUJ SIĘ CO UCHWALIŁY, A JA ZMYKAM NA STATEK. GDYBY MNIE TERAZ DOPADŁY...
W PORZĄDKU. WRÓCĘ ZA PÓŁ GODZINY I ŻADNEJ OBCEJ BABY NA STATEK NIE WPUSZCZAJ, BO JAK ZOBACZĘ...!


MINĘŁY CZTERY GODZINY, A MIAŁAŚ BYĆ ZARAZ. CO POSTANOWIŁY?
ZA TYDZIEŃ RUSZAMY NA GANIMEDA. TEN TARLEY TO MUSI BYĆ KAWAŁ CHŁOPA...


JA CI POKAŻĘ PRAWDZIWEGO MĘŻCZYZNĘ!
AJ! TY BRUTALU ZAZDROSNY!
START AWARYJNY


LECIMY JUŻ DWA TYGODNIE. DOBRZE MI Z TOBĄ, WSTRĘTNY PORYWACZU, ALE POWIEDZ WRESZCIE, DLACZEGO MINĄŁEŚ ZIEMIĘ?
MARZYŁAŚ O ZOBACZENIU TARLEY'A? WŁAŚNIE LECIMY NA GANIMEDA. TRZEBA GO UPRZEDZIĆ, CO MU GROZI. I UBIERZ SIĘ, BO ZA CHWILĘ LĄDUJEMY.


NIE WIEDZIAŁAM, ŻE TU JEST ATMOSFERA... OCH!
CZEGO TU?
SZUKAMY TARLEY'A. CHCEMY GO OSTRZEC, ŻE ZA TYDZIEŃ ZWALĄ SIĘ TUTAJ WSZYSTKIE EMANCYPANTKI PRZESTRZENNE.
Z. KASPRZAK 84.


TARI!
CO KOCHANIE!?
PODOBNO ZAPRASZAŁEŚ TU JAKIEŚ BABY. WYTŁUMACZ MI TO ZARAZ!


UPARŁAŚ SIĘ NA TEN GŁUPI SPACER, JAKBYŚ NIE WIEDZIAŁA, ŻE OSTATNIA SERIA MECHANEURAKÓW COŚ KNUJE. WIDZISZ TERAZ, CO SIĘ DZIEJE?!
LEPIEJ NIE MIESZAJ SIĘ W RODZINNE ROZMOWY...
TY MI LEPIEJ POWIEDZ CO Z TYMI BABAMI. BO WRÓCĘ DO MAMY!
TRZEBA IM POMÓC!

– Moja droga, teraz już całkowicie ci wierzymy – odparła szczerze Mardra. – Dokonałaś wyjątkowo bohaterskiego czynu.

– Nie sądzę – odpowiedziała Lessa – żebym z tą wiedzą, którą teraz posiadam zdobyła się na to ponownie.

– Tak, F'lar potrzebuje skutecznego wsparcia z naszej strony, ale jeśli weźmiemy pod uwagę szok jaki wywoła skok „pomiędzy" w przyszłość to przyznacie, że mamy twardy orzech do zgryzienia – zauważył T'ton.

– Więc polecicie? Polecicie?

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak – powiedział T'ton ponuro, wymuszając uśmiech. – Powiedziałaś, że opuściliśmy Weyry... a raczej porzuciliśmy je nie zostawiając żadnego wyjaśnienia. Polecieliśmy dokądś... do kiedyś raczej, bo przecież wciąż jesteśmy tutaj.

Ucichli wszyscy, bowiem jednocześnie przyszła im do głowy ta sama myśl: Weyry zostały opuszczone, ale Lessa nie dysponowała żadnym dowodem na to, że te pięć Weyrów pojawiło się w jej czasach.

– Musi istnieć jakiś dowód. Musi! – krzyknęła Lessa panicznie. – Poza tym nie ma czasu do stracenia. Nie ma zupełnie czasu!

T'ton zaśmiał się krótko.

– Moja droga, na tym krańcu historii jest bardzo dużo czasu.

Zmusili Lessę do odpoczynku. Bardziej niż ona sama przejęci byli jej kilkutygodniową chorobą, w której delirycznie krzyczała, że spada, że nic nie widzi, nie słyszy, nie czuje. Jak jej powiedziano, Ramoth także nie wyszła bez szwanku z przerażającej nicości, z przedłużającego się pobytu w „pomiędzy". Kiedy pojawiła się nad Ruathą sprzed czterystu Obrotów jej dawniej muskularne ciało wyglądało jak bladożółte widmo.

Ojciec Mardry, Lord z Ruathy, bliski był szaleństwa na skutek zaskoczenia wywołanego pojawieniem się na progu swego domu słaniających się jeźdźca-kobiety i bladej królowej. Naturalnie, i na całe szczęście, posłał do Fort Weyr po swą córkę, z prośbą o pomoc. Następnie Lessę i Ramoth przetransportowano do Fort Weyr, a Lord z Ruathy otoczył całe zajście najwyższą tajemnicą.

Kiedy Lessa odzyskała siły, T'ton zwołał Władców poszczególnych Weyrów na naradę. O dziwo, nikt z nich nie sprzeciwił się projektowi odlotu... Postawili jedynie dwa warunki: problem szoku czasowego musi zostać jakoś rozwiązany, muszą znać punkty odniesienia na drodze w przyszłość. Lessa szybko pojęła dlaczego jeźdźcy smoków z taką niecierpliwością chcieli przenieść się w przyszłość. Większość z nich urodziła się w okresie wojny z Nićmi. Teraz, już prawie od czterech miesięcy zajmowali się wyłącznie wykonywaniem nudnych, rutynowych patroli i doskwierała im monotonia takiego życia. Gry Wojenne stanowiły bladą namiastkę prawdziwych bitew, które niedawno staczali. Osady, które dotychczas okazywały im niemal przesadną życzliwość, stopniowo obojętniały. W miarę opadania fali strachu wywołanej atakami Nici, Władcy Weyrów coraz częściej dostrzegali objawy niechęci ludności Pernu wobec jeźdźców. Pogarszające się nastroje tak w Weyrach, jak i w osadach były jak podstępna, wyczerpująca choroba. Alternatywa, z którą wystąpiła Lessa była z pewnością lepsza od powolnego upadku grożącego im w ich epoce.

Spotkania Lessy z Władcami Weyrów były pieczołowicie utrzymywane w tajemnicy przed Władcą Benden Weyr. Ponieważ Benden przetrwał do czasów Lessy, jego mieszkańcy musieli pozostać w niewiedzy, a sam Weyr nienaruszony, aż do jej czasów. Sam fakt pobytu Lessy w Fort Weyr również musiał być zatajony, bowiem w jej epoce nikt o tym nie wiedział.

Nalegała, żeby wezwano Mistrza Harfiarzy, gdyż jej Kroniki mówiły, że został wezwany. Kiedy jednak ten poprosił, by mu podała słowa Pieśni-Zagadki uśmiechnęła się i odmówiła.

– Kiedy okaże się, że Weyry zostały porzucone przez jeźdźców, napiszesz ją ty sam, albo twój zastępca – powiedziała mu Lessa.– To musi być twoje dzieło, a nie powtórzenie moich słów.

– Ciężkie to zadanie, kiedy się wie, że trzeba skomponować Pieśń, która za czterysta Obrotów będzie tak cenną wskazówką.

– Pamiętaj tylko – ostrzegła go – że to jest Pieśń Instruktażowa. Musi mieć specyficzną melodię, która ocali ją od zapomnienia, bowiem Pieśń ta stawia pytania, na które ja muszę odpowiedzieć.

mówiąc, jak moi harfiarze mają ci pomóc? – szarpnął struny instrumentu w rytmie żywego marsza. – Rozgrzać ludzi za pomocą ballad o minionej sławie i dawnych zwycięstwach? Wzmocnić ich psychiczne i fizyczne siły, by umieli stawić czoła trudom? – melodia dobywająca się spod jego rozpędzonych palców zmieniła się gwałtownie w surowy, zdecydowany rytm.

– Gdyby wszyscy twoi harfiarze umieli poruszyć ludzi, tak jak ty, nie martwiłbym się, że nawet pięćset dodatkowych smoków, gdybyśmy je mieli, mogłoby w krótkim czasie zginąć.

– A zatem, mimo twych odważnych słów i wspaniałych map, sytuacja jest bardziej rozpaczliwa niż mówiłeś, a raczej przezornie nie mówiłeś.

– Może być.

– Czy miotacze ognia, o których przypomniał Zurg i które ma zrekonstruować Fandarel będą istotnie liczącym się atutem w naszym ręku?

F'lar bacznie obserwował tego rozumnego człowieka i po chwili podjął szybką decyzję.

– Nawet robaki piaskowe z Ingen będą pomocne, ale w miarę zbliżania się Gorącej Gwiazdy, interwały pomiędzy dziennymi atakami ulegną skróceniu, a my będziemy dysponować jedynie siedemdziesięcioma dwoma nowymi smokami. Do tej liczby należy dodać te, które walczyły wczoraj. Zresztą jeden z nich już nie żyje, a kilka nie będzie w stanie latać przez wiele tygodni.

– Siedemdziesiąt dwa? – zapytał krótko zaskoczony Robinton. – Ramoth dała zaledwie czterdzieści, a i te są jeszcze za młode, by połykać ogniak.

F'lar nakreślił wizję ekspedycji, którą prowadzili w tym momencie F'nor i Lessa. Opowiedział o pojawieniu się F'nora i o jego ostrzeżeniu, a także o tym, że eksperyment częściowo się powiódł, gdyż w jego wyniku Pridith dała życie trzydziestu dwóm smokom.

– Jakim sposobem F'nor mógł powrócić z takimi wiadomościami, skoro nie ma jeszcze żadnej wiadomości od Lessy czy Południowy Kontynent nadaje się do życia? – zapytał zdziwiony Robinton.

– Smoki mogą poruszać się „pomiędzy" nie tylko w przestrzeni, lecz również w czasie. Przelatują w inny czas równie łatwo jak w inne miejsce.

Robinton, pojmując treść nowiny wytrzeszczył zdumione oczy.

– Dzięki temu właśnie uprzedziliśmy wczoraj rano atak Nici w Nerat. Skoczyliśmy „pomiędzy" czasem o dwie godziny wstecz, aby stawić czoła Niciom w chwili natarcia.

– Potraficie naprawdę skoczyć wstecz? Jak daleko w przeszłość?

– Nie wiem. Kiedy uczyłem Lessę latania na Ramoth, ta niechcący wróciła do Osady w Ruatha o świcie trzynaście Obrotów temu, w chwili kiedy Fax rozpoczynał natarcie ze wzgórz. Kiedy Lessa wróciła do teraźniejszości, tym razem ja spróbowałem skoku w czasie o parę Obrotów wstecz. Dla smoka poruszanie się „pomiędzy" w czasie i przestrzeni jest błahostką, natomiast wszystko wskazuje na to, że dla jeźdźców takie skoki są potwornie wyczerpujące. Wczoraj po powrocie z Nerat, kiedy to musieliśmy udać się do Keroon, czułem się tak, jakby moje ciało zostało zmiażdżone i wystawione na działanie palących promieni letniego słońca na Równinie Ingen – F'lar pokręcił głową, jakby nie chciał dać wiary swoim słowom. – Niewątpliwie udało nam się wysłać Kylarę, Pridith i innych „pomiędzy" o dziesięć Obrotów wstecz, ponieważ F'nor zameldował mi, że są już tam od kilku Obrotów. Daje się jednak zauważyć coraz silniejsze wyczerpanie ludzi. Ale nawet siedemdziesiąt dwa dojrzałe smoki to zysk.

– Wyślij jeźdźca w przyszłość, żeby zobaczył, czy to wystarczy – zaproponował Robinton. – Oszczędzisz sobie kilku dni zmartwienia.

– Nie wiem jak dostać się w czas, który jeszcze nie nadszedł. Smokowi trzeba podać pewne dane orientacyjne. Jakie jednak dane o czasie przyszłym możesz mu podać, skoro ich nie znasz, bo jeszcze ich sam nie widziałeś.

– Masz wyobraźnię. Dokonaj projekcji.

– I stracić smoka; w sytuacji, w której nie wolno mi szafować życiem żadnego z nich? Nie! Muszę prowadzić dalej ten eksperyment... zresztą sądząc z powrotu F'nora, niewątpliwie zdecydowałem się go przeprowadzić. To mi z kolei przypomina, że muszę wydać wyjeżdżającym na południe rozkaz pakowania. Później przystąpię do objaśnienia ci map z wykresami czasowymi.

Dopiero w jakiś czas po południowym posiłku, który Robinton spożył wraz z Władcą Weyr, Cech-

mistrz nabrał całkowitej pewności, że rozumie treść przedstawionych mu map i opuścił Weyr, by rozpocząć ich kopiowanie.

Nad morzem toczącym swe fale z łoskotem
Szybują dwa smoki – brązowy ze złotym.
Przed nimi kontynent zamarły w pokorze
Czy znajdą tam życie? – Ta misja pokaże...

Kiedy Ramoth i Canth wyniosły swych jeźdźców ponad Gwiezdny Kamień, Lessa i F'nor dostrzegli pierwszą grupę Lordów i Cechmistrzów, zdążających na Obrady.

Lessa i F'nor doszli do wniosku, że w celu przeniesienia się na Południowy Kontynent o dziesięć Obrotów wstecz najłatwiej będzie najpierw skoczyć „pomiędzy" czasem do Weyr sprzed dziesięciu Obrotów, który F'nor doskonale pamiętał, a następnie przelecieć „pomiędzy" w przestrzeni tak, by znaleźć się nad morzem u wybrzeży zapomnianego Południowego Kontynentu, których opis znaleziono w Kronikach.

F'nor dokonał projekcji konkretnego dnia sprzed dziesięciu Obrotów na umysł Cantha, a Ramoth wkrótce też odebrała ten obraz, kontaktując się z brązowym smokiem. Przeraźliwy chłód „pomiędzy" zaparł Lessie dech w piersi. W chwilę później widok ludzi krzątających się w Weyr dziesięć Obrotów temu przyniósł jej ulgę i zanim się obejrzała smoki porwały ich „pomiędzy", wynosząc nad wzburzone morze Południa.

W oddali, w ponurym świetle pochmurnego dnia, czaiła się purpurowa plama Południowego Kontynentu. Lessa poczuła jak podniecenie zajmuje miejsce dotychczasowego niepokoju związanego z przemieszczaniem się w czasie. Uderzając powietrze głębokimi pociągnięciami ogromnych skrzydeł, Ramoth ruszyła w kierunku odległego wybrzeża. Canth mężnie usiłował dotrzymać jej kroku.

– *To tylko brązowy smok* – upominała Lessa swą złotą królową.

– *Kiedy leci za mną musi trochę wyciągać skrzydła* – odparła chłodno Ramoth.

Lessa uśmiechnęła się. Pomyślała, że Ramoth wciąż czuje rozgoryczenie, że nie było jej dane walczyć wspólnie ze smokami z Weyr. Wszystkie samce będą musiały przez jakiś czas znosić jej humory. Ujrzeli najpierw stado wherów i doszli do wniosku, że na Kontynencie musi być jakaś roślinność. Whery co prawda mogą przez jakiś czas prawie w ogóle nie jeść, ograniczając się jedynie do pożerania robaków, ale z natury są stworzeniami roślinożernymi.

Lessa poprosiła Cantha, żeby powtórzył swemu jeźdźcowi jej pytania:

– *Jeśli Południowy Kontynent został całkowicie wyniszczony i pozbawiony soków życia przez Nici, to jakim cudem pojawiło się tu znowu życie? Skąd wzięły się whery?*

– *Widziałaś kiedyś jak pękają i otwierają się gniazda nasienne, a wiatr roznosi po świecie zarodki przyszłych roślin? A widziałaś kiedykolwiek whery, odlatujące jesienią na południe?*

– *Tak, ale...*

– *No właśnie!*

– *Ale przecież ta ziemia została wyjałowiona.*

– *Nawet popalone przez Nici wzgórza na naszym kontynencie potrzebują czasu krótszego niż cztery Obrotów, by zazielenić się na wiosnę* – odparł F'nor przez Cantha – *zatem można założyć, że Południowy Kontynent mógł także odżyć.*

Nawet przy tempie, jakie narzuciła Ramoth trzeba było niemało czasu, by dotrzeć do poszarpanej linii brzegowej, tworzonej przez nieprzyjaźnie wyglądające, niezwykle twarde skały, oświetlone przyćmionym, ponurym światłem. Lessa jęknęła z odrazą, ale kazała Ramoth wzlecieć ponad wzgórza zasłaniające widok lądu w głębi. Z tej wysokości wszystko wydawało się szare i bez życia. Wtem przez grubą pokrywę chmur błysnęło słońce, a szary ląd zamigotał żywymi barwami zieleni i brązu, odsłaniając widok bujnej roślinności tropikalnej. Okrzyk triumfu, który wydała Lessa zlał się z głośnym „hura" F'nora i metalicznie brzmiącymi głosami smoków. Spłoszone niezwykłymi dźwiękami whery poderwały się z piskiem ze swych gniazd.

W głębi, za wysokim, skalistym cyplem, ląd schodził łagodnie w dół, tworząc pokryty trawą płaskowyż otoczony dżunglą. Przypominał nieco Środkowy Boll. Mimo że F'nor i Lessa spędzili cały ranek na

T'ton, dorzucając żagwi do ażurowych koszy umocowanych do ścian, spozierał przez ramię na Lessę sprawdzając, czy światło ją nie razi.

– Ramoth! – wykrzyknęła Lessa i siadła na posłaniu. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że umysł smoka, z którym nawiązała kontakt nie należy do Ramoth.

– Ach, to ta – zaśmiała się Mardra z udanym przestrachem. – Ona gotowa jest wygryźć nas wszystkich w Weyr. Nawet moja Loranth musiała zawołać pozostałe królowe, żeby pomogły jej okiełznać Ramoth.

– Wyleguje się na Gwiezdnych Kamieniach w takiej pozie, jakby była ich właścicielką i stale lamentuje – dodał T'ton mniej życzliwie. – Ha! Wreszcie ją uspokojono – tu wymownie chwycił palcami swoje ucho, tak jak ojciec strofujący niesfornego syna.

– Możecie polecieć, prawda? – wyrzuciła z siebie Lessa.

– Polecieć? Dokąd polecieć, moja droga? – spytała zaskoczona Mardra. – Stale coś bredziłaś o tym, żebyśmy „polecieli", o nadciągających Niciach, o Gorącej Gwieździe w polu widzenia Skalnego Oka i... moja droga, czy nie wiesz, że Gorąca Gwiazda oddaliła się od Pernu już dwa miesiące temu?

– Nie, nie, one właśnie zaatakowały. To dlatego cofnęłam się „pomiędzy" czasem.

– Cofnęłaś się? „Pomiędzy" czasem? – wykrzyknął T'ton, przyglądając się Lessie podejrzliwie i podszedł do łóżka.

– Czy mogłabym dostać jeszcze trochę klah? Wiem, że to co mówię wydaje się nie mieć sensu, bo i nie obudziłam się jeszcze na dobre. Nie jestem jednak ani szalona, ani nadal chora, a cała sprawa jest dość skomplikowana.

– Taak, niewątpliwie – przytaknął T'ton ze zwodniczą łagodnością, ale jednak opuścił windę do kuchni po klah. Powoli, jakby zbliżał się do niebezpiecznego zwierzęcia, przyciągnął krzesło do jej łóżka i usiadł, by usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Z całą pewnością nie jesteś szalona – rzekła uspokajająco Mardra i patrząc znacząco na swego partnera dorzuciła – w przeciwnym razie nie dosiadałabyś królowej.

T'ton nie mógł nie zgodzić się z takim argumentem. Lessa czekała na klah. Przyjęła naczynie z wdzięcznością i drobnymi łyczkami pociągała gorący, wzmacniający napój.

Kiedy skończyła pić, wzięła głęboki oddech i zaczęła swą opowieść o długim Interwale między groźnymi Przejściami Czerwonej Gwiazdy; o tym jak jedyny pozostały Weyr popadł w niełaskę i był traktowany z pogardą, o moralnym upadku Jory i utracie przez nią kontroli nad swą królową, co w rezultacie wpłynęło na zgnuśnienie Nermoth i ta, mimo że Gorąca Gwiazda już się zbliżała, nie znosiła większej ilości jaj; o tym, jak dobrała się z Ramoth i w konsekwencji została Władczynią Benden Weyr; o tym, jak F'lar przechytrzył zbuntowanych możnowładców w dzień po pierwszym locie godowym Ramoth i rozpoczął rządy silnej ręki, przygotowując Weyr na przyjęcie walki z Nićmi, których ataku oczekiwał. Opowiedziała też Mardrze i T'tonowi, którzy tym razem słuchali jej z najwyższym zainteresowaniem, o swoich pierwszych próbach latania – na Ramoth i o tym jak nieumyślnie poleciała „pomiędzy" do Ruathy, cofając się w czasie do dnia, w którym Fax dokonał najazdu na Osadę w Ruatha.

– Najazd... na moją rodzinną Osadę! – wykrzyknęła Mardra w osłupieniu.

– Ruatha dała Weyrom wiele sławnych Władczyń – powiedziała Lessa z szelmowskim uśmiechem, na co T'ton odpowiedział gromkim śmiechem. – Ona jest z Ruathy, to nie ulega wątpliwości – zapewnił Mardrę.

Lessa opisała im sytuację, w której obecnie znajdowali się jeźdźcy – zbyt małe siły, by stawić czoła Niciom. Następnie wspomniała o Pieśni-Zagadce i wspaniałym gobelinie.

– Gobelin? – wykrzyknęła Mardra przejęta, unosząc dłoń do twarzy. – Opisz mi go!

Kiedy Lessa spełniła tę prośbę ujrzała, że nareszcie oboje jej wierzą.

– Mój ojciec właśnie zlecił wykonanie gobelinu przedstawiającego taką właśnie scenę. Niedawno mi ją opisał, albowiem ostatnia bitwa z Nićmi została stoczona właśnie nad Ruathą.

Mardra, jakby jeszcze nie mogła w to wszystko uwierzyć, zwróciła się do T'tona, który już nie wyglądał na rozbawionego.

– Niewątpliwie dokonała tego o czym nam tu mówiła, bo skądże mogłaby wiedzieć o gobelinie?

– Możecie również zapytać o to swoją i moją królową – zaproponowała Lessa.

– Są w zasadzie takie same jak dziś z tym, że nadproża nie są rzeźbione, nie ma Podwórca i Wieży...

– Jasne! Och, na pierwsze Jajo, jakież to proste. Zurg mówił, że ten arras jest stary. Lessa musiała dojść do wniosku, że liczy sobie właśnie czterysta Obrotów i użyła go jako obrazu odniesienia dla swego smoka. Na tej podstawie odleciała „pomiędzy" w czasie.

– Ha! Zatem jest już tam cała i bezpieczna – wykrzyknął Robinton i z ulgą opadł na krzesło.

– Och nie, Harfiarzu. To nie jest takie proste – wymamrotał F'lar, a Robinton ujrzał jak na twarzy Lytola odbija się przygnębione spojrzenie i rozpacz Władcy Weyr.

– Jak to?

– „Pomiędzy" nie ma nic – powiedział F'lar śmiertelnie poważnym głosem. – Skok „pomiędzy" różnymi miejscami zabiera nam tyle czasu co trzykrotne kaszlnięcie. „Pomiędzy" w czasie równym czterystu Obrotom... – słowa uwięzły mu w gardle.

Kto chce – może
Kto próbuje – zdobywa
Kto kocha – żyje

Usłyszała głosy – okropny ryk, który świdrując jej obolałe uszy powoli cichł, aż przekroczył próg słyszalności. Następnie poczuła jak łóżko, które ma pod sobą, zaczyna wirować – prędzej, coraz prędzej. Jęknęła, poczuła, że robi się jej niedobrze. Przylgnęła dłońmi do krawędzi łóżka i w tej chwili potworny ból, dobywający się gdzieś ze środka czaszki, przeszył jej głowę. Krzyczała w proteście przed bólem i w straszliwym uczuciu utraty kontaktu z wirującym, toczącym się twardym gruntem.

Jednak cały czas jakaś niesamowita wewnętrzna konieczność zmuszała ją do tego, żeby próbować wykrztusić wiadomości, z którymi tu przybyła. Czasami czuła, że w tej ogromnej, ogarniającej ją ciemności Ramoth stara się nawiązać z nią kontakt. Nadludzkim wysiłkiem usiłowała uczepić się umysłu Ramoth w nadziei, że złocista królowa może wyrwać ją z bezkresnych tortur. Wyczerpana, tonęła w nicości i tylko niejasna potrzeba utrzymywania kontaktu ze swym smokiem ocaliła ją.

W końcu do jej świadomości dotarł dotyk delikatnej, gładkiej dłoni złożonej na jej ramieniu i smak ciepłego płynu w ustach. Poruszyła językiem i przełknęła płyn przez obolałe gardło. Atak kaszlu pozbawił ją tchu i rzucił osłabioną na posłanie. Spróbowała dźwignąć powieki. Obraz jawiący się przed jej oczami już nie chwiał się i nie tańczył.

– Kim... ty... jesteś? – wykrztusiła z trudem skrzeczącym głosem.

– Och, moja droga Lesso...

– Czy to jestem ja? – spytała niepewnie, zakłopotana.

– Tak przynajmniej mówi twoja Ramoth – zapewniono ją. – Jestem Mardra z Fort Weyr.

– Och, F'lar tak będzie się na mnie gniewał – jęknęła Lessa, gwałtownie odzyskując pamięć. – Będzie mną potrząsał i szarpał. On zawsze mnie szarpie, kiedy jestem nieposłuszna. Ale miałam rację. Mardro?... Och, ta... okropna... nicość – wyszeptała coraz wolniej i niezdolna zapanować nad niezaspokojoną potrzebą organizmu poczuła, że zapada w sen. Na szczęście tym razem łóżko już nie kołysało się pod nią.

Pomieszczenie niewyraźnie oświetlone ściennymi żagwiami wydawało się być podobne, a jednocześnie jakby różne od jej pokoju w Benden Weyr. Lessa leżała nieruchomo, usiłując uchwycić wzrokiem różnice. Aha, ściany pomieszczenia były bardzo gładkie. Było większe, z wygiętym wysokim sklepieniem. Gdy jej oczy przywykły do słabego oświetlenia, zaczęła dostrzegać szczegóły umeblowania. Wyposażenie tej izby było bardziej kunsztowne. Poruszyła się niespokojnie.

– A, widzę, że tajemnicza dama ponownie się zbudziła – powiedział jakiś mężczyzna. Przez rozsuniętą kotarę u wejścia do izby wdarło się światło z sąsiedniego pomieszczenia. Lessa poczuła raczej niż widziała obecność ludzi po tamtej stronie kotary.

Jakaś kobieta pochyliwszy się przemknęła pod ramieniem mężczyzny i zwinnym krokiem podeszła do łóżka.

– Pamiętam cię. Ty jesteś Mardra – powiedziała Lessa zaskoczona.

– W istocie, a to jest T'ton, Władca Weyr w Forcie.

poszukiwaniach, nie udało im się znaleźć odpowiedniego masywu skalnego z jaskiniami, w którym dałoby się założyć nowy Weyr. „Czyżby to miał być jeden z czynników składających się na niepowodzenie tej południowej wyprawy?" – zastanawiała się Lessa. Zniechęceni, wylądowali nad niewielkim jeziorem, na położonym wysoko płaskowyżu. Było ciepło, ale nie duszno. F'nor i Lessa usiedli do południowego posiłku, a smoki odpoczywały, pławiąc się w wodzie.

Lessa czuła się nieswojo i zupełnie nie miała ochoty na jedzenie. Zauważyła, że F'nor też jest niespokojny – nerwowo rzucał krótkie spojrzenia na jezioro i skraj dżungli.

– Co u licha nas tak niepokoi? Przecież żadne dzikie zwierzęta nie zbliżają się do smoków. Jesteśmy dziesięć Obrotów przed nadejściem Gorącej Gwiazdy, zatem nie może tu być Nici.

F'nor wzdrygnął się i uśmiechnął niepewnie. Resztki nie zjedzonego chleba wrzucił do torby na jedzenie.

– To chyba dlatego, że to miejsce jest takie puste – powiedział rozglądając się wokoło.

Na jednym z drzew dostrzegł dojrzały owoc księżycowy.

– No, przynajmniej ten owoc wygląda swojsko. Nareszcie coś, co nie ma smaku kurzu.

Zwinnie wspiął się na drzewo i zerwał pomarańczowo-czerwony owoc.

– Pachnie ładnie i wydaje się dojrzały – stwierdził i zręcznie przepołowił owoc nożem. Z uśmiechem podał Lessie wycięty uprzednio kawałek wykrawając drugi dla siebie. Uniósł go do ust i wyrecytował teatralnie:

– Skosztujmy owocu i umrzyjmy razem!

Lessa zaśmiała się i gestem uniesionej dłoni, trzymającej owoc, wyraziła zgodę na spełnienie żartobliwej propozycji. Jak na komendę, jednocześnie zatopili zęby w soczysty miąższ. Słodki sok pociekł z kącików jej ust i Lessa pośpieszne oblizała wargi, by nie uronić ani kropli tego wspaniałego płynu.

– Umrę szczęśliwy! – wykrzyknął F'nor, wycinając kolejną cząstkę owocu.

Nieco uspokojeni chwilą beztroski mogli powrócić do poprzedniego tematu.

– Myślę – powiedział F'nor – że to wszystko dlatego, że tu nie ma skalnych jaskiń i że tu jest tak... tak spokojnie. To ta świadomość, że z wyjątkiem nas czworga nie ma tu żadnych ludzi ani zwierząt.

Lessa skinieniem głowy przyznała mu rację.

– Ramoth, Canth, czy brak Weyr bardzo by was zmartwił?

– *Dawno temu nie mieszkaliśmy w jaskiniach* – odparła Ramoth wyniośle i okręciła się wokół własnej osi. Pokaźnych rozmiarów fale uderzyły o brzeg jeziora, sięgając niemal zwalonego pnia, na którym siedzieli Lessa i F'nor. – *Słońce tu przyjemnie grzeje, a woda wspaniale chłodzi. Podobałoby mi się tutaj, ale nie jest mi dane tu być.*

– Jest niezadowolona – Lessa szepnęła do F'nora. – Najdroższa, pozwól Pridith mieć coś swojego – wykrzyknęła na pocieszenie do złotej królowej. – Ty masz swój Weyr i całą resztę!

Ramoth zanurkowała w jezioro i dając upust swojemu niezadowoleniu, potężnym wydechem spieniła powierzchnię wody.

Canth przyznał, że życie na wolnym powietrzu wcale mu nie przeszkadza. Przyjemniej będzie spać na suchej, ciepłej ziemi, aniżeli na chłodnej skale w jaskini, trzeba tylko przygotować odpowiednie zagłębienie pod legowisko. Nie, brak jaskini zupełnie mu nie wadzi, byle mógł najadać się do syta.

– Będzie trzeba sprowadzić tu bydło – mruknął F'nor. – I to w takiej ilości, żeby po rozmnożeniu dysponować odpowiednio dużym stadem. Tutejsze whery są wyjątkowo duże – to dobrze. Słuchaj, wydaje mi się, że z tego płaskowyżu nie ma naturalnych wyjść. Nie będzie trzeba grodzić pastwisk. Muszę to sprawdzić. Ten płaskowyż ma jezioro i wystarczająco dużo otwartej przestrzeni, żeby zbudować na nim domy, a zatem wydaje się idealny dla naszych celów. Pomyśl, wychodzisz z domu i zrywasz śniadanie z drzewa!

– Byłoby wskazane dobrać takich ludzi, którzy nie wychowywali się w Pałacach – dodała Lessa. – Nie czuliby się nieswojo pozbawieni kamiennych ścian domostw i bliskości wzgórz, które stanowią naturalną ochronę naszych osad. Przyznam, że jestem większą niewolnicą przyzwyczajenia niż przypuszczałam – zaśmiała się krótko. – Te nie zamieszkane, spokojne, otwarte przestrzenie wydają mi się... nieprzyzwoite – wzdrygnęła się nieco, ogarniając wzrokiem szeroką, otwartą równinę, rozpościerającą się za jeziorem.

– Śliczne i pełne owoców – sprostował F'nor, podskakując ku gałęziom i zrywając kolejne pomarańczowo-czerwone sukulenty.
– Niezwykle mi smakują. Nie przypominam sobie, by owoce z Nerat były tak słodkie i soczyste, choć to przecież ta sama odmiana.
– Niezaprzeczalnie znacznie lepsze od tych, które otrzymuje Weyr. Podejrzewam, że Nerat zachowuje najlepsze dla siebie, a najgorsze wysyła nam.
Oboje łakomie rzucili się na owoce.
Dokładna penetracja terenu dowiodła, że płaskowyż jest niedostępny z zewnątrz i pokryty roślinnością w ilości zaspokajającej z nadwyżką potrzeby życiowe ogromnego stada bydła, którym miały się żywić smoki. Z jednej strony kończył się przepaścią głęboką na kilka długości smoka. W dole rozpościerała się gęsta dżungla. Z drugiej strony ograniczony był nadmorską skarpą. Bujny drzewostan zapewniał obfitość budulca na domostwa dla mieszkańców nowego Weyr. Ramoth i Canth autorytatywnie stwierdziły, że smokom będzie wystarczająco wygodnie pod osłoną liści gęstej dżungli. Ta część kontynentu przypominała pod względem warunków klimatycznych Górny Nerat, a zatem nie będzie tu ani za gorąco, ani za chłodno.
O ile Lessa z ochotą chciała wyruszyć z powrotem do Benden Weyr, to F'nor zwlekał z decyzją.
– W drodze powrotnej możemy polecieć „pomiędzy" jednocześnie w czasie i przestrzeni – zawyrokowała ostatecznie Lessa – i w ten sposób znajdziemy się w Weyr wczesnym popołudniem. Do tego czasu Lordowie z pewnością opuszczą już Weyr.
F'nor przyjął jej propozycję.
Lessa zebrała w sobie całą odwagę. Zastanawiała się dlaczego transfer w czasie napawał ją większym niepokojem niż skok „pomiędzy" w przestrzeni. Przecież na smokach nie robiło to żadnego wrażenia. Ramoth instynktownie wyczuła niepewność Lessy i pisnęła, by dodać jej odwagi. Długa, bardzo długa chwila przeraźliwego zimna „pomiędzy" zakończyła się raptownie i jeźdźcy na swych smokach znaleźli się w promieniach słońca ponad Weyr.
Z pewnym zaskoczeniem Lessa zobaczyła, że na ziemi przed Jaskiniami Niższymi leży pełno worków i tobołków, a jeźdźcy nadzorują ich załadunek na grzbiety swoich smoków.
– Co tu się dzieje? – wykrzyknął F'nor.
– Najwidoczniej F'lar spodziewa się sukcesu – odparła bez namysłu.
Mnementh, który leżąc na skalnym występie przed jaskinią królowej obserwował krzątaninę ludzi na dole, przesłał podróżnikom pozdrowienie i poinformował ich, że F'lar życzył sobie ich widzieć jak tylko wylądują.
Odnaleźli F'lara w Sali Obrad. Jak zwykle pochylał się nad jakimiś starymi, nieczytelnymi skórzanymi Kronikami, które tu przyniósł.
– No i...? – zapytał, uśmiechając się szeroko na powitanie.
– Zieleń; bujna roślinność; nadaje się do zamieszkania – odparła Lessa zdawkowo, przyglądając mu się bacznie. Musiał dowiedzieć się czegoś nowego na temat Południowego Kontynentu. Cóż, miała nadzieję, że się nie wygada. F'nor nie był głupcem, a wszelkie wieści o tym co go czeka, mogłyby wpłynąć na jego postawę wobec całego eksperymentu, co w konsekwencji mogłoby okazać się niebezpieczne.
– Właśnie to pragnąłem usłyszeć – powiedział F'lar bez namysłu. – Teraz opowiedzcie mi szczegółowo co widzieliście i co odkryliście. Będzie można nareszcie wypełnić puste miejsca na mapie.
Lessa pozwoliła F'norowi zdać relację z wyprawy, F'lar słuchał sprawozdania ze szczerym zainteresowaniem, robiąc jednocześnie notatki.
– W nadziei, że przyniesiecie dobre nowiny zarządziłem pakowanie zapasów i alarm dla tych jeźdźców, którzy z tobą polecą – powiedział do F'nora, kiedy ten skończył relację. – Pamiętaj, że mamy tylko trzy dni na to, by wysłać was dziesięć Obrotów w przeszłość i zrealizować nasze przedsięwzięcie. My tutaj nie mamy ani chwili do stracenia i musimy mieć znacznie więcej dojrzałych smoków gotowych do stoczenia bitwy w Telgar już za trzy dni. Zatem, mimo że dla was tam upłynie aż dziesięć Obrotów, tutaj miną zaledwie trzy dni. Lesso, twój pomysł, żeby wysłać jeźdźców wychowanych na wsi jest bardzo dobry. Szczęśliwym zrządzeniem losu nasz najnowszy narybek z ostatniego poszukiwania Kandydatów

zdumiewająco gładką skórę, pokrywającą wygiętą szyję smoka i zaśmiała się, aby ukryć swe zdenerwowanie i strach przed tym, czego zamierzała dokonać.
Powiedziała sobie, że istnieją wystarczające powody ku temu, by działać tak, jak postanowiła. Początek ballady: „Wszyscy odeszli, odeszli przed siebie", stanowił wyraźną wskazówkę, że oni polecieli „pomiędzy" czasem. Gobelin dał jej informacje niezbędne do skoku „pomiędzy" w czasie. Och, jakże była wdzięczna Mistrzowi Cechu Tkackiego, który utkał te drzwi. Musi pamiętać, żeby mu powiedzieć jak wspaniałe dzieło stworzył. Miała nadzieję, że będzie w stanie dokonać skoku. Dość! Na pewno będzie w stanie. Czyż Weyry nie zniknęły? Wiedząc, że polecieli „przed siebie", wiedząc jak można polecieć wstecz w czasie i zabrać ich ze sobą w przyszłość, Lessa była właśnie tą osobą, na której spoczywał obowiązek sprowadzenia ich w dzień dzisiejszy. To jest bardzo proste i tylko ona i Ramoth mogą tego dokonać, ponieważ już to zrobiły.
Ponownie zaśmiała się nerwowo i drżąc wzięła kilka głębokich oddechów.
– *W porządku, moja złota miłości* – szeptała. – *Przekazałam ci informacje. Wiesz dokąd chcę lecieć. Zabierz mnie „pomiędzy" w czas odległy o czterysta Obrotów.*
Zimno było przenikliwe – znacznie bardziej niż to sobie wyobrażała. Jednakże to nie było fizyczne zimno. To była świadomość nieistnienia czegokolwiek. Żadnego światła, żadnego dźwięku, żadnego wrażenia dotyku. Kiedy krążyły długo, coraz dłużej w tej nicości, Lessę ogarnęła straszliwa, obezwładniająca panika. Wiedziała, że dosiada Ramoth, ale nie czuła jej szyi pomiędzy swymi udami, pod dłońmi. Mimowolnie chciała krzyknąć i otworzyła usta... w nicość. W uszach nie zabrzmiał żaden dźwięk. Wiedziała, że uniosła dłonie do policzków, ale tego też nie czuła.
– *Jestem tutaj* – usłyszała głos Ramoth dźwięczący w jej umyśle – *Jesteśmy razem.*
Tylko to zapewnienie pozwoliło jej obronić się przed ogarniającym ją szaleństwem w tej przerażającej, trwającej wieki, a przecież bezczasowej nicości.

* * *

Ktoś okazał się na tyle przytomny, żeby wezwać Robintona. Harfiarz znalazł F'lara siedzącego przy stole. Ze śmiertelnie bladą twarzą patrzył na opuszczone wnętrze jaskini. Wejście Mistrza Harfiarzy i dźwięk jego spokojnego głosu wyrwały nareszcie F'lara z odrętwienia wywołanego szokiem. Stanowczym gestem dłoni odesłał towarzyszących Robintonowi ludzi.
– Odeszła. Próbowała przenieść się czterysta Obrotów w przeszłość – powiedział F'lar.
Mistrz Harfiarzy zagłębił się w krzesło naprzeciw F'lara.
– Zabrała gobelin do Ruathy – ciągnął tym samym zduszonym głosem.– Mówiłem jej o powrotach F'nora. Mówiłem jej jakie to niebezpieczne. Nawet się nie bardzo sprzeczała. Wiem, że lot „pomiędzy" w czasie przerażał ją, o ile cokolwiek w ogóle może Lessę przerażać – bezsilnie uderzył w stół pięścią. – Powinienem był ją podejrzewać. Kiedy Lessa myśli, że ma rację, to nigdy nie analizuje, nie rozważa sensu przedsięwzięcia. Natychmiast je realizuje!
– Ale przecież nie jest zwykłą, głupią babą – przypomniał mu Robinton, cedząc słowa. – Nie wykonałaby skoku „pomiędzy", gdyby nie dysponowała niezbędnymi dla tego celu informacjami, nieprawdaż?
– „Wszyscy odeszli, odeszli przed siebie" – to jedyna wskazówka, którą posiadamy.
– Hola, hola – rzucił ostrzegawczo Robinton i strzelił palcami. – Ubiegłej nocy, kiedy patrzyła na gobelin przejawiała niezwykłe zainteresowanie drzwiami Pałacu. Pamiętasz, rozmawiała o nich z Lytolem.
F'lar zerwał się na równe nogi i już z korytarza krzyknął:
– Zbieraj się! Musimy jechać do Ruathy!
Lytol zapalił wszystkie pochodnie w komnacie tak, by F'lar i Robinton mogli dokładnie zbadać gobelin.
– Spędziła całe popołudnie po prostu patrząc na niego bez przerwy – powiedział strażnik i nie dowierzając potrząsnął głową. – Jesteście pewni, że spróbowała wykonać ten niewiarygodny skok?
– Z pewnością. Mnementh nigdzie nie słyszy ani jej, ani Ramoth, a mówi, że dociera do niego echo myśli Cantha, który znajduje się wiele Obrotów „temu" na Południowym Kontynencie – powiedział F'lar, przechodząc obok gobelinu.
– Co jest z tymi drzwiami, Lytolu? Myśl że człowieku!

– Nie dowierzam Władczyni Weyr, kiedy mówi takim słodkim głosem – wycedził.
– Cóż panowie, czas już na nas – powiedział Robinton wstając.
– Ramoth jest młoda, ale nie taka głupia – mruknął F'lar do siebie, kiedy pozostali wyszli.
Ramoth spała nieświadoma tego, że jest obserwowana. F'lar myślą zwrócił się do Mnementha, szukając u niego pociechy – bezskutecznie. Smok obojętnie wylegiwał się na swym skalnym progu.

Czarne, zimne jest „pomiędzy"
Martwe, trupie, bez litości.
Kruche skrzydła mego smoka –
– Iskra życia wśród nicości.

– Chcę widzieć ten gobelin z powrotem na ścianie w Ruatha. – Lessa wierciła F'larowi dziurę w brzuchu następnego dnia. – Chcę, żeby był tam, skąd pochodzi.
Tego ranka wybrali się na inspekcję rannych i już zdążyli się pokłócić na temat potrzeby wysłania N'tona razem z południową ekspedycją. Według planu Lessy miał spróbować dosiąść cudzego smoka. F'lar natomiast chciał wysłać go na południe, by dysponując czasem dziesięciu Obrotów nauczył się dowodzić powierzonym mu skrzydłem jeźdźców. W nadziei, że w ten sposób powstrzyma Lessę od dalszego rozważania możliwości przeniesienia się przez nią o czterysta Obrotów w przeszłość, F'lar przypomniał jej o powrotach F'nora i długo komentował trudności z jakimi ona sama już się spotkała. Lessa zadumała się nad jego słowami, choć nic mu nie odpowiedziała.
Dlatego, kiedy Fandarel zawiadomił F'lara, że chce mu zaprezentować nowy mechanizm, Władca Weyr był przekonany, że Lessa nie zachowa się nieodpowiedzialnie i zrobił jej przyjemność zezwalając na samodzielne odwiezienie odzyskanego gobelinu do Ruathy. Lessa oddaliła się, by wydać rozporządzenie, aby zrolowano i przytroczono arras do grzbietu Ramoth.
F'lar obserwował jak Ramoth potężnymi uderzeniami szerokich skrzydeł wznosi się ponad Gwiezdny Kamień i znika „pomiędzy" w drodze do Ruathy. W tej chwili na skalnym stopniu, na którym stał, pojawił się R'gul i zameldował, że transport ogniaka właśnie wjeżdża do Tunelu. F'lar zajęty takimi jak ta i innymi sprawami, dopiero późnym rankiem znalazł chwilę czasu, aby obejrzeć prymitywny i nieskuteczny miotacz ognia skonstruowany przez Fandarela. Miotacz po prostu nie „miotał" ognia. Było już późne popołudnie, gdy F'lar wrócił wreszcie do Weyr.
R'gul z obrażoną miną powiedział F'larowi, że szukał go F'nor – już dwukrotnie.
– Dwukrotnie?
– Tak jak mówię. Dwukrotnie. Nie chciał mi zostawić żadnej wiadomości dla ciebie – R'gul był wyraźnie dotknięty odmową F'nora. Kiedy przed wieczornym posiłkiem Lessa jeszcze się nie pojawiła, F'lar wysłał umyślnego do Ruathy, by ten sprawdził, czy faktycznie dotarła tam z gobelinem. Okazało się, że Lessa dręczyła wszystkich mieszkańców Pałacu i dyrygowała nimi tak długo, aż gobelin został właściwie zawieszony. Przez następne kilka godzin siedziała na wprost arrasu i przyglądała mu się, czasami tylko wstając i przechodząc wzdłuż rozpostartej na ścianie tkaniny.
Następnie, dosiadając Ramoth wzniosła się w powietrze nad Wielką Wieżą i zniknęła. Lytol, podobnie jak wszyscy w Ruatha, był przekonany, że wróciła do Benden Weyr.
– *Mnementh* – ryknął F'lar, gdy posłaniec skończył swą relację – *gdzie one są?*
Mnementh długo milczał.
– *Nie słyszę ich* – powiedział, a miękkie brzmienie jego myśli przesycone było troską tak wielką, na jaką stać tylko smoka. F'lar gwałtownym ruchem zacisnął obie dłonie na krawędzi stołu i wlepił spojrzenie w puste legowisko królowej. Z przerażeniem pojął, dokąd Lessa spróbowała polecieć.

* * *

Pod nimi znajdowała się Wielka Wieża w Ruatha. Lessa pokierowała Ramoth nieco bardziej w lewo, ignorując zrzędzenie królowej, albowiem wiedziała, że smok też jest podekscytowany.
– *Tak jest najdroższa, teraz jesteśmy dokładnie pod takim samym kątem do wrót Pałacu jak to przedstawia gobelin. Tylko wtedy, gdy wykonywano tkaninę nikt jeszcze nie wyrzeźbił nadproży i nie zamontował daszka. Wtedy też nie było jeszcze ani Wieży, ani Podwórca ani bramy* – Lessa klepnęła

pochodzi głównie z rodzin rolników i rzemieślników, zatem nie ma z tym żadnego problemu. Większość z tych trzydziestu dwóch to dopiero nastolatki.
– Trzydziestu dwóch? – wykrzyknął F'nor. – Trzeba nam pięćdziesięciu. Małe smoki muszą mieć możliwość wyboru, nawet jeśli kandydaci zaczną opiekować się smoczętami przed wykluciem.
F'lar wzruszył niedbale ramionami.
– Przyślesz po następnych, jeśli będzie trzeba. Będziecie tam mieli dużo czasu, pamiętaj – F'lar urwał jakby w ostatniej chwili zdecydował się nie kończyć swojej myśli i zaśmiał się, wypełniając pustkę po nie dokończonym zdaniu.
F'nor nie miał czasu sprzeczać się z Władcą Weyr, bowiem ten natychmiast zasypał go kolejnymi poleceniami.
F'nor miał zabrać ze sobą jeźdźców ze swojego skrzydła, aby pomogli mu w szkoleniu kandydatów. Mieli również zabrać czterdzieści młodych smoków, dzieci Ramoth, w tym młodą królową Pridith z Kylarą, a także T'bora na jego spiżowym Piyanthu. Spiżowy smok N'tona wkrótce dorośnie i będzie mógł uczestniczyć w locie godowym Pridith, a zatem młoda królowa zyska możliwość pewnego wyboru spiżowego partnera.
– A co by było, gdybyśmy zastali kontynent nagi i jałowy – spytał F'nor zaintrygowany niezmienną pewnością siebie F'lara. – Co wtedy?
– Hm, wysłalibyśmy ich w przeszłość do, powiedzmy, High Reaches – odparł F'lar szybko, jakby spłoszony tym pytaniem i nie dając F'norowi czasu na powzięcie podejrzenia, kontynuował poprzednią myśl. – Powinienem wysłać więcej spiżowych smoków, ale potrzebuję ich na miejscu, żeby móc spenetrować Keroon i Nerat w poszukiwaniu nor wykopanych przez Nici. Już kilka takich odnalazły i zniszczyły w Nerat. Podobno Vincent jest bliski ataku serca ze strachu.
Lessa pozwoliła sobie w tym miejscu na kilka niemiłych uwag na temat postawy owego Lorda.
– A jak tam obrady dziś rano? – spytał F'nor przypomniawszy sobie o spotkaniu F'lara z Lordami i Cechmistrzami.
– Mniejsza teraz o to. Masz przecież dziś do wieczora odlecieć na Południowy Kontynent, F'nor.
Lessa dociekliwie patrzyła na Władcę Weyr. Doszła do wniosku, że musi jak najprędzej dowiedzieć się co tu się wydarzyło przed ich powrotem z wyprawy na południe.
– Lesso, narysuj mi to miejsce, dobrze? – poprosił F'lar. Kiedy pośpiesznie podał jej płachtę czystej skóry i rylec, Lessa dostrzegła w jego oczach wyraźne błaganie. Najwyraźniej nie chciał, by Lessa zadała mu jakieś pytanie, które mogłoby zaniepokoić F'nora. Lessa westchnęła i uniosła rylec.
Rysowała szybko, uwzględniając kilka szczegółów, o których przypomniał jej F'nor, i wkrótce miała dość dokładną mapę przedstawiającą płaskowyż, który wybrali z F'norem pod nowy Weyr. Wtem zupełnie niespodziewanie straciła ostrość widzenia. Zakręciło jej się w głowie.
– Lessa? – F'lar pochylił się ku niej.
– Wszystko... się rusza... wiruje... – powiedziała słabym głosem i upadła w jego ramiona.
F'lar, unosząc jej lekkie ciało na rękach, wymienił zaniepokojone spojrzenie ze swym przyrodnim bratem.
– Zawołam Manorę – zaproponował F'nor.
– A jak ty się czujesz? – F'lar prawie wykrzyknął to pytanie.
– Jestem zmęczony i to wszystko – zapewnił F'nor i pochylając się nad szybem windy kuchennej krzyknął, żeby zawołano Manorę i przysłano gorące klah. Niewątpliwie i jemu przydałby się łyk gorącego napoju.
F'lar ułożył Władczynię Weyr na tapczanie i otulił ją delikatnie futrem.
– Nie podoba mi się to – mruknął pod nosem. Błyskawicznie przypomniał sobie, co F'lar mówił mu o zachowaniu Kylary, czego sam F'nor nie mógł jeszcze w tej chwili wiedzieć, albowiem miał tego dopiero doświadczyć w nadchodzącej przyszłości. Czyżby Lessa miała być aż tak nieodporna?
– Skok w czasie sprawia, że człowiek czuje się jakby – F'nor zawahał się, szukając właściwego określenia – niezupełnie... kompletny. Wczoraj poleciałeś „pomiędzy" w czasie, by walczyć w Nerat.
– Poleciałem, ale ani ty, ani Lessa nie walczyliście dzisiaj – zauważył F'lar. – Musi to być jakiś wewnętrzny... umysłowy stres... charakterystyczny dla wędrówki „pomiędzy" w czasie. Posłuchaj mnie F'nor:

kiedy zamieszkacie w południowym Weyr, chcę żebyś wyłącznie ty odwiedzał nas tutaj. To będzie mój rozkaz i powiem Ramoth, żeby zakazała smokom wracać do nas. W ten sposób żaden jeździec nie będzie w stanie powrócić nawet jeśli będzie chciał. Jest w tym wszystkim jakiś nieznany nam czynnik, który może okazać się bardziej niebezpieczny niż przypuszczamy. Nie wystawiajmy się na ryzyko.

– Zgoda.

– I jeszcze jeden szczegół, F'nor. Bądź niezwykle ostrożny, kiedy będziesz wybierał czas swego powrotu do nas. Nie wykonywałbym skoku „pomiędzy" w czasie bliskim temu, w którym jesteś obecny w Weyr. Nie potrafię sobie wyobrazić co by się stało, gdybyś powróciwszy stanął w korytarzu naprzeciw samego siebie. F'nor, ja nie mogę Cię stracić.

Z niezwykle rzadką u siebie demonstracją uczucia F'lar mocno uścisnął swego przyrodniego brata.

– Pamiętaj F'nor. Byłem tu przez cały ranek, a ty wróciłeś do Weyr ze swej pierwszej wyprawy dopiero po południu. I pamiętaj też o tym, że my tutaj mamy tylko trzy dni. Wy będziecie mieli dziesięć Obrotów.

F'nor wyszedł, mijając się w korytarzu z Manorą.

Manora nie mogła znaleźć żadnej przyczyny złego samopoczucia Lessy i w końcu doszli z F'larem do wniosku, że to było po prostu wyczerpanie spowodowane wczorajszym wysiłkiem, kiedy Lessa musiała przekazywać wiadomości smokom oraz jeźdźcom i dzisiejszą niezwykle męczącą podróżą w czasie.

Kiedy F'lar wychodził, by życzyć południowej ekspedycji szczęśliwej podróży, Lessa spała spokojnie. Jej twarz była blada, ale oddech głęboki i regularny.

F'lar, za pośrednictwem Mnementha, polecił Ramoth, żeby wydała smokom biorącym udział w wyprawie zakaz opuszczania Południowego Kontynentu. Co prawda królowa wywiązała się z tego zadania, ale nie omieszkała poskarżyć się Mnementhowi, co ten natychmiast przekazał F'larowi, że wszycy wokoło mieli masę przygód, tylko ona jedna – królowa Weyr – była ich stale pozbawiona.

Zaledwie objuczone smoki jeden po drugim zniknęły z pola widzenia ponad Gwiezdnym Kamieniem, a już w Weyr lądował młodziutki jeździec pełniący funkcję gońca w Osadzie Nerat. Blady z przerażenia meldował:

– Władco Weyr, odkryto mnóstwo nor i nie sposób zniszczyć ich samym ogniem. Lord Vincent cię wzywa.

F'lar nie wątpił, że jest w tej chwili Vincentowi potrzebny.

– Zjedz chłopcze obiad, zanim wyruszysz z powrotem. Wkrótce się tam udam.

Kiedy w drodze do sypialni mijał Ramoth, usłyszał jak z głębi jej gardła dobywa się pomruk niezadowolenia.

Królowa właśnie ułożyła się do snu.

Z dłonią wciśniętą pod policzek, Lessa jeszcze spała. Jej ciemne włosy zwisały luźno znad krawędzi tapczanu. Gdy tak patrzył na jej kruchą, dziecięcą jakby postać, wydała mu się nadzwyczaj droga. F'lar uśmiechnął się do swych myśli. Była wczoraj taka zazdrosna o niego, kiedy Kylara opatrywała jego rany. Pochlebiało mu to. Lessa nigdy się od niego nie dowie, że Kylara, przy całej swej doskonałej urodzie i namiętności, nie była dłań nawet w dziesiątej części tak powabna jak ciemnowłosa, delikatna Lessa, której postępków nigdy nie był w stanie przewidzieć. Nawet niezwykła krnąbrność Lessy i jej cięty, złośliwy dowcip nie raziły go, a przeciwnie – podnosiły jeszcze atrakcyjność ich związku. Z czułością jakiej nigdy nie mógłby jej okazać, gdyby nie spała, złożył pocałunek na jej ustach. Poruszyła się na posłaniu i uśmiechając się przez sen westchnęła cicho.

F'lar zostawił ją taką, z niechęcią wracając do swych obowiązków. Kiedy zatrzymał się przy legowisku Ramoth, królowa uniosła swą ogromną, trójkątną głowę i spojrzała jarzącymi się ślepiami na Władcę Weyr.

– Mnementh, proszę cię, przekaż Ramoth, żeby skontaktowała się z młodym smokiem w warsztacie Fandarela. Chciałbym, żeby Mistrz Kowalstwa udał się wraz ze mną do Nerat. Chcę zobaczyć jak jego trójagenon podziała na Nici.

Ramoth wysłuchawszy Mnementha skinęła łbem.

– *Już się skontaktowała. Młody zielony smok przybędzie tak szybko jak tylko zdoła* – przekazał Mnementh F'larowi. – *Łatwiej się prowadzi takie rozmowy, kiedy Lessa nie śpi* – mruknął.

w Komnacie Reprezentacyjnej i ze wszystkich cennych przedmiotów mojego rodu otaczany był największą troską. Gdzie on był? – jej oczy błyszczały złowrogo.

– Pani, gobelin właśnie wraca na swoje właściwe miejsce – odparł Lytol bezbarwnym głosem, unikając jej spojrzenia. – To dzieło mistrza – kontynuował, dotykając z nabożeństwem ciężkiej, grubej tkaniny. – Jakież kolory; jakiż wzór. Z pewnością rzemieślnik, który wykonał dłań warsztat tkacki poświecił temu zadaniu całe swe życie, a wykonanie dzieła było możliwe dzięki zbiorowemu wysiłkowi całego cechu. Jeśli tak nie było, to nie znam się na prawdziwie artystycznym rzemiośle.

F'lar przeszedł wzdłuż krawędzi ogromnego arrasu, żałując, że nie można go nigdzie rozwiesić dla pełnego ogarnięcia perspektywy heroicznych scen. W swej górnej części obraz przedstawiał formację trzech skrzydeł smoków, lecących w szyku bojowym. Ziejąc ogniem nurkowały za opadającymi, szarymi w kolorze, wiązkami Nici. Wszystko to na tle połyskującego nieba – nieba o jakże wiernie oddanym odcieniu błękitu, tak charakterystycznym dla jesieni. „Taki błękit już nie występuje, pomyślał F'lar, z chwilą nadejścia ocieplenia." Niżej, zbocza wzgórz pokrywały się już złocistym kolorem żółknących pod wpływem zimnych nocy, jesiennych liści. Widoczne skały łupkowe wskazywały, że miejscem akcji jest region Ruatha. Czy to z tego powodu ten arras zawisł w Pałacu w Ruatha? Dalej widać było mężczyzn, którzy opuściwszy mury bezpiecznego Pałacu przypadli do skał. Dźwigali ze sobą te dziwne rury, o których mówił Zurg. Aparaty w ich rękach wycelowane były w wijące się Nici, które próbowały zakopać się w ziemi. Z dysz owych urządzeń dobywały się długie jęzory oślepiającego płomienia.

Lessa wydała okrzyk zdziwienia i weszła wprost na rozłożoną tkaninę. Bacznie przyglądała się misternie utkanej sylwetce Pałacu z jego masywnymi, otwartymi na oścież wrotami, których spiżowe ornamenty zostały wykonane przez tkacza z niezwykłą starannością i precyzją.

– Sądzę, że taki wzór ornamentu znajduje się na wrotach Pałacu w Ruatha – zauważył F'lar.

– I tak... i nie – odparła Lessa niepewnie.

Lytol spojrzał najpierw na Lessę, a później na utkany obraz wrót.

– To prawda. I nie, i tak. Nie dalej jak godzinę temu sam przechodziłem przez te drzwi – nachmurzywszy się wbił uważne spojrzenie w rysunek u swych stóp.

– Oto są modele urządzeń, które Fandarel chce przestudiować – rzekł F'lar, przyglądając się miotaczom ognia na gobelinie. F'lar zastanawiał się, czy Mistrzowi Kowalstwa uda się w ciągu trzech dni zbudować na podstawie tego utkanego wzorca skutecznie działający miotacz ognia. Jeśli nie uda się to Fanderelowi, to znaczy, że nie uda się już nikomu.

Mistrz Cechu Kowalskiego na widok gobelinu nie posiadał się z radości. Leżąc na tkaninie wodził po niej nosem, studiując cal po calu szczegóły konstrukcji. Pojękiwał, posapywał i mruczał coś do siebie, aż w końcu usiadł po turecku, by sporządzić stosowne szkice.

– Było zrobione. Może być zrobione. Musi być zrobione – mruczał pod nosem.

Kiedy Lessa dowiedziała się od młodego B'ranta, że ani on, ani Lytol nie mieli dziś jeszcze nic w ustach, sprowadziła z kuchni klah, mięso i chleb. Z wdziękiem i wesołością obsłużyła wszystkich zgromadzonych mężczyzn. Widok Lessy, podającej posiłek Lytolowi przyniósł F'larowi znaczną ulgę. Lessa próbowała też siłą wmusić w Fandarela jedzenie i klah. Ta mała istotka, nalegająca żeby zszedł wreszcie z rozłożonego gobelinu i zjadł coś, a później będzie sobie rysował i mamrotał, wyglądała zabawnie na tle mamuciej figury kowala.

Fandarel w końcu stwierdził, że już ma wszystkie niezbedne rysunki i natychmiast opuścił zgromadzonych, odlatując na smoku do swej kuźni.

– Nie ma sensu go pytać kiedy wróci. Za bardzo jest teraz pochłonięty myślami, żeby cokolwiek usłyszeć – skomentował nagłe wyjście Fandarela, rozbawiony jego zachowaniem F'lar.

– Jeśli pozwolicie, ja też już was opuszczę – powiedziała Lessa, uśmiechając się uprzejmie do czterech pozostałych przy stole mężczyzn. – Szanowny Panie Strażniku Lytolu, młodemu B'rantowi równie należałoby pozwolić odejść od stołu. Zasypia na siedząco.

– Z całą pewnością nie zasypiam, o Pani – zapewnił ją pośpiesznie B'rant i otworzywszy szeroko oczy udawał, że jest w wyśmienitej formie.

Lessa zaśmiała się na ten widok i wycofała się do sypialni.

F'lar odprowadził ją zamyślonym spojrzeniem.

żadnej informacji mówiącej dokąd się udają, bo to zniszczyłoby całe przedsięwzięcie. Podobnie jak ja nie mogłem powiedzieć F'norowi, że wiem, iż wyprawa na południe nie obędzie się bez problemów. Ale jak oni się tutaj dostaną, jeśli teraz jest czasem, w którym mają się pojawić? Teraz ich tu nie ma. Skąd mogli wiedzieć, gdzie będą potrzebni? To jest prawdziwy problem! Bo jakim sposobem można podać smokowi obraz czasu, który jeszcze nie nadszedł?

– Ktoś z nas musi polecieć w przeszłość i podać im właściwe informacje – odparła Lessa cicho.

– Chyba oszalałaś! – krzyknął F'lar z przerażeniem. – Dobrze wiesz co się z tobą dzisiaj działo. Jak możesz w ogóle myśleć o przeniesieniu się w przeszłość, której nie jesteś sobie w stanie nawet z grubsza wyobrazić? Czterysta Obrotów w przeszłość? Lot o dziesięć Obrotów wstecz sprawił, że zemdlałaś i odchorowałaś wywołany nim szok.

– Czy ta gra nie jest warta świeczki? – spytała, patrząc na F'lara posępnie. – Czy Pern nie jest wart takiej ofiary?

F'lar chwycił ją za ramiona i ze strachem w oczach zaczął potrząsać drobną postacią Lessy.

– Nawet Pern nie jest warty stracenia ciebie czy Ramoth. Lesso, Lesso nie ośmielaj się być mi w tej sprawie nieposłuszną – jego krzyk przeszedł w głośny, lodowaty szept, drżący od gniewu.

– Być może istnieje jakiś sposób wprowadzenia tego pomysłu w życie bez naszego bezpośredniego udziału – wtrącił Robinton przytomnie. – Któż może wiedzieć co przyniesie dzień jutrzejszy? Stoimy przed zagadnieniem, które niewątpliwie wymaga bardzo wnikliwej analizy i oceny pod różnym kątem.

Lessa, nie próbując wyzwolić się z kleszczowego uścisku F'lara, patrzyła uważnie na Robintona.

– Wina? – zaproponował Mistrz Harfiarzy, nalewając Lessie kubek trunku. Jego zachowanie odniosło pożądany skutek i rozładowało atmosferę napięcia wywołaną sprzeczką Lessy z F'larem.

– Ramoth nie boi się spróbować – powiedziała Lessa i z determinacją zacisnęła usta.

F'lar popatrzył badawczo na złocistego smoka, który odwróciwszy łeb wyciągnął szyję, aż po staw grzbietowy swego ogromnego skrzydła i obserwował rozmawiających ludzi.

– Ramoth jest młoda – rzucił F'lar i zaraz pochwycił pełną urazy myśl Mnementha.

Lessa, która również odebrała myśl spiżowego smoka odrzuciła w tył głowę i zaśmiała się głośno, aż dźwięk odbił się echem o sklepienie jaskini.

– Ja też chciałbym się pośmiać z jakiegoś dobrego dowcipu – Robinton niedwuznacznie domagał się wyjaśnienia.

– Mnementh powiedział F'larowi, że za to on nie jest młody, a także nie boi się spróbować. To dla niego po prostu jakby dłuższy krok – wyjaśniła Lessa, ocierając łzy z roześmianych oczu.

F'lar gniewnie spojrzał w głąb korytarza, na którego końcu Mnementh leżał sobie na skalnym progu.

– *Nadlatuje obładowany smok* – poinformował Mnementh. – *To B'rant i Lytol na brązowym Fanthu.*

– Co, znowu niesie hiobowe wieści? – spytała Lessa ironicznie.

– Lesso z Ruathy, dla Lytola jazda na obcym smoku sama w sobie jest już wystarczająco trudna, podobnie jak sam fakt przybycia tutaj jest dlań bolesny. Nie powiększaj zatem jego cierpienia swym dziecinnym zachowaniem – powiedział F'lar surowo.

Lessa spuściła wzrok wściekła, że F'lar zwraca się do niej w ten sposób przy Robintonie.

Lytol wkroczył do legowiska królowej, trzymając jeden koniec ogromnego, zrolowanego gobelinu. Młody B'rant, oblany potem z wysiłku, z niemałym trudem podtrzymywał drugi jego koniec. Lytol z szacunkiem oddał ukłon Ramoth i dał znak młodemu brązowemu jeźdźcowi, by pomógł mu rozwinąć niesiony przez nich ciężar. Gdy olbrzymi gobelin ukazał się oczom zgromadzonych, F'lar zrozumiał dlaczego Mistrz Cechu Tkackiego tak dobrze go zapamiętał. Kolory, jakkolwiek malowane w zamierzchłych czasach, nadal pozostawały żywe i klarowne. Treść obrazu była jeszcze bardziej interesująca.

– Mnementh, ściągnij tu Fandarela. Oto wzór miotacza ognia, który chciał zobaczyć – powiedział F'lar.

– To jest gobelin z Ruathy – wykrzyknęła Lessa gniewnie. – Pamiętam go jeszcze z dzieciństwa. Wisiał

F'lar skwapliwie przyznał mu rację. We wczorajszej bitwie ta umiejętność Lessy była ich poważnym atutem, który czasem stanie się jeszcze cenniejszy.

Może byłoby lepiej gdyby spróbowała porozmawiać z F'norem na wskroś czasu..., ale nie, przecież F'nor wrócił.

F'lar szybkim krokiem wszedł do Sali Obrad. Wciąż żywił nadzieję, że gdzieś wśród tych prawie nieczytelnych partii starych Kronik uda mu się odnaleźć tę jedną jedyną wskazówkę, której tak rozpaczliwie potrzebował. Musi przecież istnieć jakieś wyjście z tego impasu. Jeśli nie wyprawa na Południowy Kontynent to coś innego. Coś innego!

Fandarel okazał się być człowiekiem o równie stalowych nerwach co mięśniach. Ze spokojem spoglądał na ohydne kłębowisko rosnących w oczach bruzd rytych przez mnożące się Nici.

– Setki, tysiące w jednej norze – krzyczał jak obłąkany Lord Vincent z Nerat. – Kiedy wy tak stoicie wahając się co zrobić, te rośliny więdną w oczach – wymachiwał bezładnie ramionami, wskazując na plantację młodych drzewek, na której odkryto norę z Nićmi. – Zróbcie coś! Ile jeszcze młodych drzew zginie choćby na tym jednym polu? Ile takich nor uniknęło wczoraj smoczego dechu? Gdzie jest smok, który je wypali? Dlaczego jeszcze tu stoicie?

F'lar i Fandarel zafascynowani i poruszeni widokiem procesu zniszczenia dokonywanego przez ich odwiecznego wroga, nie zwracali uwagi na szalejącego Lorda. Paniczne zachowanie Vincenta nie znajdowało uzasadnienia w rzeczywistym rozwoju wypadków. Na zboczu góry, na którym się znajdowali, odkryto tylko jedną norę. F'lar nawet nie chciał zastanawiać się jak wiele Nici, mimo ogromnych wysiłków smoków i jeźdźców, mogło jednak dopaść ciepłej i żyznej ziemi Nerat. Gdyby tylko wczoraj mieli wystarczająco dużo czasu na to, by wysłać patrole, które zniszczyłyby zabłąkane wiązki Nici. Za trzy dni w Telgar, Ruatha i Crom będą już lepiej przygotowani do przyjęcia bitwy i unikną błędów popełnionych w Nerat. To wszystko jednak za mało. Za mało.

Fandarel dał znak ręką, by dwóch towarzyszących mu rzemieślników wystąpiło naprzód. Obaj dźwigali niezwykłe urządzenie: pokaźnych rozmiarów metalowy cylinder, do którego przymocowana była rurka z szeroką dyszą. Z drugiego końca cylindra wychodziła druga rurka połączona z małym cylindrem, wewnątrz którego znajdował się tłok. Podczas gdy jeden z kowali zaczął energicznie poruszać tłokiem, drugi z trudnością podtrzymując szarpane przez pompującego urządzenie skierował dyszę ku norze z Nićmi. Na znak głową, dany przez pompującego, trzymający dyszę odkręcił mały kurek, znajdujący się na rurce i odpychając jej wylot jak najdalej od siebie skierował go w norę. Przejrzysty strumień aerozolu zatańczył u wylotu dyszy i opadł w głąb nory. Zaledwie kropelki kwasu zetknęły się z kłębiącymi się Nićmi, z nory z sykiem wypadły obłoki pary. Jeszcze chwila, a z bladych, skręconych Nici pozostała jedynie dymiąca masa poczerniałych włókien. Fandarel machnął dłonią, by jego ludzie cofnęli się i przez dłuższą chwilę spoglądali w kopcący dół. W końcu mruknąwszy coś pod nosem, wyszukał sobie długi kij, który wraził w pogorzelisko, rozgrzebując spalone resztki. Żadna Nić się nie ruszyła.

– Hę – bąknął z wyraźnym zadowoleniem. – Na dobrą sprawę, trzeba będzie tak chodzić od nory do nory – dodał. – Chcę spróbować jeszcze raz.

Eskortowani przez wciąż dramatycznie załamującego ręce, płaczliwego Vincenta oraz przez miejscowych rolników, udali się do plantacji nad morzem, gdzie odkryto nie zniszczoną norę z Nićmi. Nici wbiły się tam w ziemię tuż obok ogromnego drzewa, które w tej chwili prawie zupełnie już uschło.

Fandarel swoim kijem zrobił mały otwór w ziemi w miejscu, gdzie biegł kanał wydrążony przez Nici i polecił swym ludziom, by przystąpili do dzieła. Pompujący naparł na tłok, a drugi z kowali przygotował dyszę do włożenia jej w otwór w gruncie. Fandarel rozpoczął powolne odliczanie, w końcu dał znak do odpalenia. W małej dziurce w ziemi pokazał się dym.

Po upływie czasu niezbędnego dla zadziałania środka, Fandarel polecił rolnikom, by rozkopali ziemię nad norą, uważając jednocześnie, by nie wejść w bezpośredni kontakt z trójagenonem. Kiedy podziemny korytarz został odsłonięty stwierdzono, że kwas dokonał swego niszczycielskiego dzieła, nie pozostawiając na swej drodze nic oprócz całkowicie zwęglonej gmatwaniny Nici.

Fandarel uśmiechnął się lekko, ale zaraz później podrapał się w głowę z wyraźnym niezadowoleniem.

– Gdzie by nie wetknąć dyszy i tak to zabiera za dużo czasu. Najlepiej niszczyć je na powierzchni – gderał.

– Najlepiej dopaść je w powietrzu – wtrącił się Vincent z pretensją w głosie. – A ta mikstura! Co ona pomoże moim młodym sadom? Co to pomoże?

Fandarel odwrócił się ku niemu, najwidoczniej dopiero teraz dostrzegając obecność sfrustrowanego możnowładcy.

– Człowieczku, środek, którego używacie na wiosnę do nawożenia gleby pod uprawy to nic innego jak rozcieńczony trójagenon. To prawda, że to pole zostało wypalone i będzie jałowe przez kilka lat, ale nie ma już w nim Nici. Lepiej by było, to jasne, gdybyśmy mogli użyć tego aerozolu wysoko w powietrzu. Wtedy opadałby powoli i rozproszyłby się na tyle, że nie byłby szkodliwy, a przeciwnie – użyźniałby znacznie glebę – przerwał, drapiąc się głośno po głowie. – Młode smoki mogłyby wznieść obsługę rozpylacza w powietrze... Hm, to jest pomysł..., ale aparat jest jeszcze zbyt niewygodny w użyciu – zawyrokował i odwrócił się tyłem do zaskoczonego możnowładcy. Następnie spytał F'lara czy gobelin wrócił na swoje miejsce. – Nie potrafię jeszcze dojść do tego, jak to zrobić, żeby rura miotała ogień – mówił do F'lara. – Ten rozpylacz skonstruowałem na wzór opryskiwaczy, które robimy dla sadowników.

– Nadal oczekuję wiadomości o gobelinie – odparł F'lar – ale ten aerozol jest skuteczny. Nici w norze są martwe.

– Robaki piaskowe też są skuteczne, ale niezbyt wydajne – odburknął Fandarel niezadowolony. Machnął dłonią na swych ludzi i w zapadającym zmroku oddalił się w kierunku smoków.

W Weyr na ich powrót oczekiwał już Robinton. Z trudem ukrywał podniecenie. Niemniej jednak najpierw uprzejmie zapytał Fandarela o wynik jego wysiłków. Mistrz Kowalski wzruszył ramionami i mruknął:

– Cały mój cech próbuje rozwikłać ten problem.

– Cechmistrz jest niezwykle skromny – wtrącił się F'lar. – Zbudował już wspaniałe urządzenie, które rozpyla trójagenon w norze i wypala Nici na czarną masę.

– Mało wydajne. Mnie się podoba pomysł z miotaczem płomieni – powiedział Mistrz Cechu Kowalskiego z błyskiem w oczach na tle swej kamiennej twarzy. – Miotacz ognia – powtórzył i zamyślił się głęboko. Gwałtownie potrząsnął głową, aż trzasnęły kręgi szyjne. – Idę – rzucił i ukłoniwszy się pośpiesznie harfiarzowi i Władcy Weyr – wyszedł.

– Podoba mi się zaangażowanie tego człowieka – stwierdził Robinton. Mimo rozbawienia wzbudzonego dość ekscentrycznym zachowaniem kowala, poczuł dlań duży szacunek. – Muszę przydzielić moim uczniom zadanie ułożenia odpowiedniej Sagi o Mistrzu Cechu Kowalskiego. Rozumiem – powiedział, odwracając twarz do F'lara – że południowa wyprawa została zainaugurowana.

F'lar przytaknął niepewnie.

– Masz jakieś wątpliwości? – spytał Robinton.

– Ta podróż „pomiedzy" w czasie pociąga za sobą pewne ofiary – przyznał F'lar, spoglądając niespokojnie w kierunku sypialni.

– Władczyni Weyr jest chora?

– Śpi, ale dzisiejsza eskapada odbiła się na jej zdrowiu. Potrzebne jest nam inne, mniej niebezpieczne rozwiązanie! – F'lar uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– W zasadzie nie przychodzę z żadnym rozwiązaniem – powiedział Robinton szybko – ale z czymś co, jak sądzę, jest kolejną częścią zagadki. Znalazłem pewną wskazówkę. Czterysta Obrotów temu ówczesny Mistrz Harfiarzy został wezwany do Fort Weyr wkrótce po tym, jak Gorąca Gwiazda cofnęła się z nieba nad Pernem.

– Wskazówka? Jaka?

– Zwróć uwagę na fakt, że Nici właśnie zakończyły swe ataki, kiedy Mistrz Harfiarzy został wezwany późnym wieczorem do Fort Weyr. Niezwykłe to było wezwanie. Wprawdzie – tu Robinton wyciągnął długi, zakończony zrogowaciałym naskórkiem palec ku F'larowi, by podkreślić znaczenie swych słów – nie znajdujemy żadnej wzmianki o przebiegu tej wizyty, ale przecież jakaś powinna być. Za takimi wezwaniami zawsze kryje się jakiś cel. Przebieg takich spotkań z zasady jest opisywany, a o tym jednym nie ma ani słowa. W kilka tygodni po wizycie Mistrza Harfiarzy w Fort Weyr w Kronice ponownie

pojawiają się jego zapiski tak, jakby to tajemnicze spotkanie w ogóle nie miało miejsca. Jakieś dziesięć miesięcy później do zestawu obowiązkowych Ballad Instruktażowych zostaje dodana Pieśń-Zagadka.

– Jesteś zdania, że te dwa fakty pozostają w związku z opuszczeniem pięciu Weyrów?

– Tak, chociaż nie umiem powiedzieć dlaczego. Czuję jedynie, że te wydarzenia, ta wizyta, te zniknięcia i Pieśń-Zagadka są ze sobą powiązane.

F'lar nalał dwa kielichy wina.

– Ja też sprawdziłem stare Kroniki, szukając jakiegoś punktu zaczepienia – wzruszył ramionami. – Do momentu zniknięcia jeźdźców, życie musiało toczyć się normalnie. Kroniki mówią o przyjmowaniu transportów z dziesięciną, o składowaniu zapasów, podają liczby ranionych smoków i jeźdźców wracających już do czynności patrolowych. W pewnym momencie tekst urywa się i od tej chwili wszystkie opisy dotyczą wyłącznie Benden Weyr.

– Ale dlaczego z sześciu pozostał właśnie ten Weyr? – zapytał Robinton. – Gdyby należało zostawić tylko jeden, to wybór Ista Weyr byłby bardziej celowy. Benden, położony tak daleko na północ, jest miejscem, którego szanse przetrwania setek Obrotów są znacznie mniejsze.

– Benden położony jest wysoko w górach i pozostaje w izolacji od przyległych terytoriów. Czyżby zaraza opanowała tych pięć Weyrów, nie sięgając Benden Weyr?

– I nie zostawiła żadnych śladów? Oni wszyscy, to znaczy jeźdźcy, smoki i pozostali mieszkańcy Weyrów, nie mogli nagle w jednej chwili paść martwi. Zostałyby przecież po nich spalone słońcem szkielety.

– A zatem zadajmy sobie pytanie: po co wezwano harfiarza? Czy kazano mu ułożyć Balladę Instruktażową na temat tego masowego zniknięcia?

– No cóż – mruknął Robinton – z pewnością ułożono ją nie po to, by rozproszyć nasze wątpliwości, a już na pewno nie za pomocą tej melodii – o ile to w ogóle można nazwać melodią. Poza tym ta pieśń nie odpowiada na żadne pytania. Ona je stawia.

– Stawia pytania, na które my mamy odpowiedzieć? – zasugerował F'lar niepewnie.

– Ależ tak – oczy Robintona błysnęły – żebyśmy na nie odpowiedzieli. To prawda, nie sposób zapomnieć tej pieśni, a to znaczy, że skomponowano ją tak, by nie uległa zapomnieniu. F'larze, te pytania są bardzo ważne!

– Jakie pytania są takie ważne? – zapytała Lessa, która właśnie bezszelestnie weszła do pomieszczenia.

Obydwaj mężczyźni zerwali się na nogi. F'lar z niezwykłą sobie troskliwością podsunął Lessie krzesło i nalał jej wina.

– Nie jestem ze szkła – powiedziała kwaśno, jakby urażona nadmiarem uprzejmości. Zaraz jednak uśmiechnęła się do F'lara, chcąc złagodzić kąśliwość uwagi. – Wyspałam się i czuję się dużo lepiej. O czym to tak zawzięcie dyskutujecie?

F'lar w paru słowach przekazał jej treść rozmowy z harfiarzem. Kiedy wspomniał o Pieśni-Zagadce, Lessa drgnęła.

– Ja też nie potrafię zapomnieć, tak mi ją wbijano do głowy – tu skrzywiła się na wspomnienie nielubianych lekcji u R'gula. – Oznacza to jednak, że jest istotna. Ale dlaczego? Przecież tylko stawia pytania – zatrzepotała powiekami i spojrzała na mężczyzn. W jej oczach zobaczyli zdumienie. – Wszyscy odeszli, odeszli... przed siebie! – zacytowała, zrywając się z krzesła. – To jest to. Wszystkie pięć Weyrów odeszło przed siebie. Ale od kiedy?

F'larowi aż odebrało mowę. Oszołomiony wytrzeszczył oczy na Lessę.

– Poszli przed siebie w nasz czas. Pięć Weyrów wypełnionych smokami – powtórzyła z respektem w głosie.

– Nie, to niemożliwe – zaoponował F'lar.

– Dlaczego nie? – rzucił Robinton podniecony nową ideą. – Czyż to nie rozwiązuje problemu, z którym się zmagamy – problemu zdobycia bojowych smoków? Czyż to nie wyjaśnia przyczyny, dla której opuścili tak nagle swe Weyry, nie zostawiając żadnego wytłumaczenia oprócz tej Pieśni-Zagadki?

F'lar odgarnął kosmyk włosów, który opadł mu na oczy.

– To by tłumaczyło ich postępowanie przed odlotem – przyznał F'lar – bo przecież nie mogli zostawić

Mutant

Jan Lubos

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"



Z. Latała

Ron i Ber siedzieli na tarasie widokowym restauracji hotelowej. Obaj wysocy, barczyści i ciemnowłosi sprawiali w pierwszej chwili wrażenie braci. Zastanawiała u obu oszczędność gestów i spokojne, zdające się niezdolne do wyrażenie uczuć twarze. Przyciągały wzrok wpięte w klapy ich kurtek ciemnogranatowe plakietki Dalekiego Zwiadu Ziemskiego. Byli jednymi z pierwszych. Plakietka Rona miała numer siódmy, a Bera ósmy. Nosili je od dwóch dni, kiedy to zdali ostatni z wielu egzaminów. Obecny kilkudniowy urlop był tylko krótką przerwą przed przygotowaniami do pierwszego załogowego skoku hiperprzestrzennego. Cztery olbrzymie statki z napędem zero – przestrzennym stały już w hali załadunkowej euroazjatyckiego kosmodromu. Ich otwarte brzuchy połykały codziennie nieprzerwany strumień zapasów i sprzętu. Potem jeszcze tylko dwie kontrole – zwykła i automatyczna – sprawdzą stan statków i 1 marca 08 r. wystartują. Silniki plazmowe wyniosą cztery giganty na okołoziemską orbitę, po czym statki wraz z dwuosobowymi załogami znikną w normalnej przestrzeni.

Ostatni rok Ron i Ber spędzili razem. Jako przyszła załoga ZP-04 musieli się dobrze poznać. Przeszli dziesiątki testów na nietolerancję i uzyskali nieprawdopodobny wręcz wynik. Ponad 98% zgodności. To zresztą przeważyło. Wprawdzie do Bera nikt nie miał zastrzeżeń, był szkolony w Centrum od początku, pełne sześć lat, ale Ron był jednym z młodszych stażem kadetów. Miał wprawdzie bardzo dobre wyniki, a indywidualne kształcenie zacierało różnice, jednak gdy rok temu zaproponował Berowi utworzenie dwójki wszyscy sądzili, że ten odmówi. Stało się inaczej i już pierwsze testy wykazały wyjątkową zgodność charakterów i niezwykle wysoki stopień wzajemnej tolerancji, a w miarę upływu czasu okazało się, że Pierwszym załogi będzie Ron.

Przygotowano ich na wszystkie sytuacje, możliwe i niemożliwe, jakie tylko umysł człowieka mógł wymyślić. Tworzyli parę podobną do innych załóg, którym niewiele tylko rzeczy mogło przeszkodzić w osiągnięciu wytyczonego celu. Znali i rozumieli się doskonale, wiedzieli czego mogą się w każdej chwili od siebie spodziewać.

Długie milczenie przerwał Ron.

– Ber, muszę wyjaśnić ci pewne sprawy. Nie sądzę, żeby to było konieczne, ale dawno już postanowiłem opowiedzieć Ci moją historię. Dane na mój temat, które otrzymałeś z kartoteki Centrum są nieprawdziwe.

– Około trzydziestu pięciu lat temu grupa naukowców zaczęła prowadzić badania nad stworzeniem idealnego człowieka przy pomocy inżynierii genetycznej. Już wówczas badania takie były nielegalne, dlatego pracowali w tajnym laboratorium w spuszczonych budynkach na automatycznej farmie. Mimo że byli naprawdę dobrymi specjalistami, przez wiele lat nic nie wskazywało na to, że się im powiedzie. Rezultaty eksperymentów – małe, zwyrodniałe potworki – wzbudziłyby Twoją litość i przerażenie. Jedynie czasami udało się stworzyć dziecko wyglądające normalnie. Każde z nich miało swoją kartotekę, w której notowano wszystko: rodzaj zabiegu genetycznego, okres inkubacji i rozwój dziecka, średnio przez 2-3 lata. Kartotekę zamykała zwykle notatka: „MUTACJA NEGATYWNA". W praktyce oznaczało to zastrzyk penoxu i spalenie małego ciałka w wybudowanym w tym celu krematorium.

– Obiekt nr 761 był chłopcem. Po sześciu miesiącach życia w jego kartotece pojawiła się notatka: „MOŻLIWOŚĆ MUTACJI POZYTYWNEJ". Sześciomiesięczny nr 761 był wspaniale rozwiniętym dzieckiem. Już chodził, próbował mówić, fizycznie odpowiadał dobrze rozwiniętemu, dwuletniemu dziecku. Jednakże i jego postanowiono zgładzić. Plany przewidywały przebadanie przynajmniej kilku mutacji pozytywnych i odtworzenie najlepszej z nich. Dala, jedna z laborantek, usłyszała kiedyś o możliwości skasowania 761. Wydaje mi się, że już wtedy kochała go jak własne dziecko. Przerażona możliwością jego śmierci zawiadomiła o laboratorium Komisję Etyki Badań Naukowych i korzystając z zamieszania powstałego po wkroczeniu policji ukryła 761 u siebie w mieszkaniu. Jego ucieczka – nikt nawet przez chwilę nie pomyślał, że ktoś mógł mu pomóc – poruszyła wszystkich, a najdokładniejsze poszukiwania nie dały rezultatu. W czasie rozprawy przed KEBN o niczym innym nie mówiono, nawet właściwy podmiot sprawy – nielegalne badania – zszedł na drugi plan. Zarówno kartoteka, jak i zeznania naukowców pozwalały stwierdzić, że jedenastomiesięczny już 761 doskonale rozumiał co dzieje się w laboratorium. Nie wiadomo kto pierwszy powiedział głośno, że 761 musi nienawidzić ludzi. Gdy w dodatku komputer orzekł, że przy pomocy dotychczas stosowanych kategorii jego inteligencja jest niemierzalnie wysoka, cała KEBN z jednym chyba wyjątkiem wpadła w panikę. Sprawę postanowiono utrzymać w tajemnicy. Wkrótce potem zaczęto masowo wprowadzać testy na inteligencję.

– Resztę pozostałych przy życiu mutantów – było ich wówczas 34 – zabrano i umieszczono w odosobnionym sanatorium w Alpach. Szybko wymierały. Do dziś żyje tylko dwóch moich braci. Tak, braci, bo ja jestem obiektem nr 761. Cztery miesiące przesiedziałem ukryty w mieszkaniu Dali. Po zakończeniu rozprawy Dala przeniosła się do Ameryki Południowej. Jej brat pracował tam w Instytucie Ewidencji Ludności. Odwiedzając go w pracy zdołała wprowadzić do pamięci komputera rejestrującego dane o swym dziecku – Ronie. Dodała mi cztery lata, bo na tyle wyglądałem, potem zresztą musiałem sam dołożyć jeszcze dwa dalsze. Tak więc mam teraz dwadzieścia, a nie dwadzieścia sześć lat.

– Najtrudniejsze były pierwsze lata w szkole. Nie mogłem znaleźć wspólnego języka z „rówieśnikami". Miałem zupełnie inne problemy i zainteresowania, nudziły mnie ich zabawy. Nie lepiej było w czasie zajęć. Wiadomości przyswajałem sobie kilkakrotnie szybciej niż inni, w dodatku nigdy niczego nie zapomniałem. Bardzo się męczyłem usiłując wysiedzieć do końca lekcji bez zwracania na siebie specjalnej uwagi. Wtedy też pierwszy raz zetknąłem się z Testami. Na szczęście zaczęto je dopiero wprowadzać i jak wiesz były dość prymitywne. Przewidziana była wprawdzie możliwość fałszywych odpowiedzi w celu obniżenia wyniku, komputerowa analiza wykryłaby natychmiast takie próby. Nie uwzględniono jednak najprostszego sposobu – braku odpowiedzi. Komputer nie znajdował w tekście sprzecznych informacji, sumował punkty za moje odpowiedzi i informował o wyniku bardzo dobrym, lecz nie odbiegającym od przyjętych norm. Było to bardzo proste. Po kilku latach Testy udoskonalono, brak odpowiedzi był również interpretowany. Były to już prawdziwe zawody między mną, a maszyną.

– Gdy miałem nominalnie osiemnaście lat otrzymałem, jak wszyscy, indentyfikator. Zmusiło mnie to do podwójnej ostroż-

Dokończenie na stronie 44

Dokończenie ze strony 43

ności. Do tej pory w razie popełnienia błędu mogłem liczyć na to, że mnie nikt nie rozpozna i uda mi się uciec, teraz identyfikator natychmiast pomógłby mnie odnaleźć. Wkrótce potem zostałem sam. W czasie mojej nieobecności zmarła Dala. Gdy wróciłem było już za późno na reanimację. Nie chciałem dalej tam mieszkać. Przeniosłem się do Luny, ówczesnej stolicy Księżyca. Niewiele brakowało, a zostałbym tam rozpoznany. Zdarzył się wypadek. Dzisiaj druga strona jest już bezpieczna, ale siedem lat temu nie było jeszcze na Księżycu rejestratorów obecności, dlatego zbyt późno zauważono za długą nieobecność grupy turystów. Byłem na samotnej wycieczce po drugiej stronie, gdy ogłoszono alarm. Na podstawie podanych szczegółów szybko obliczyłem, że muszę znajdować się gdzieś w pobliżu. Odnalazłem ich po godzinie. Polot, którym podróżowali spadł z dość znacznej wysokości. Maszyna była nie do użytku, a ludzie nadawali się do intensywnego leczenia. Musiałem natychmiast podać ich położenie, ale nie mogłem zostać rozpoznany. Zbyt szybko jak na człowieka ich odnalazłem. Dlatego przed połączeniem się z Mózgiem kierującym poszukiwaniami ekranowałem identyfikator. Po podaniu położenia rozłączyłem się i szybko odleciałem. Wprawdzie nie zostałem rozpoznany, ale szukający mnie zyskali pewność, że między dwoma milionami ludzi, przebywającymi na Księżycu, ukrywa się obiekt nr 761. Zrobiła się z tego gruba afera. Wszyscy mężczyźni w wieku od 14 do 30 lat byli testowani indywidualnie przez Centralny Mózg Luny. Dla mnie było to coś całkiem nowego. Liczyło się wszystko: treść odpowiedzi, czas namysłu, ton głosu. Czujniki mierzyły temperaturę ciała i ciśnienie krwi. Wygrałem ten pojedynek. Dowiedziałem się, że potrafię oszukać każdy, nawet największy Mózg.

– Te „przesłuchania" narobiły dużo szumu. Nikt nie wiedział o co w nich chodzi, a Rząd nie dawał żadnych wyjaśnień. Chyba dla odwrócenia uwagi, wideowiadomości podały informację o udanych próbach ze zjawiskiem przenoszenia hiperprzestrzennego i budowie pierwszych statków z napędem zero-przestrzennym. Było to udane pociągnięcie. Cała ludzkość zaczęła dyskutować o możliwościach jakie się przed Ziemią otwarły. Niedługo potem otwarto Centrum Szkolenia Dalekiego Zwiadu Ziemskiego. To była dla mnie szansa! Warunki nakładane na kandydatów były tak wysokie, że tylko naprawdę nieprzeciętni ludzie mogli zostać kadetami. Między nimi czułbym się swobodniej, nie byłoby między nami aż takiej różnicy...

– A potem – długie pobyty w innych układach, samotna praca, krótkie urlopy na Ziemi. Nie mogłem tej szansy zmarnować. Ze względu na wiek musiałem odczekać jeszcze trzy lata; złożyłem podanie i przyjechałem do Centrum na egzaminy. Mimo olbrzymiej konkurencji – tysiące kandydatów, z których tylko dziesięciu miało wygrać – atmosfera była wspaniała

– Dalej wiesz, badania, próbne testy, znowu badania. Wstępna selekcja. Zostało nas osiemdziesięciu. Przedostatnim sprawdzianem był indywidualny test na inteligencję ogólną; wprawdzie przeszedłem – musiałem przejść – i przez to sito, ale pierwszych dziewięciu miało nade mną dużą przewagę. Zadecydować miał sprawdzian wydolności fizycznej organizmu. Nikt nie dawał nam z drugiej dziesiątki żadnych szans. Dziewięciu kandydatów odskoczyło już od innych zbyt daleko, a dziesiątym był mistrz olimpijski w wieloboju lekkoatletycznym. Wtedy drugi raz w życiu postanowiłem zaryzykować. Chciałem zostać kadetem i zostałem nim. Resztę już dobrze znasz.

– Powiedz Ron, dlaczego mi to opowiedziałeś?
– Po pierwsze – uśmiechnął się – chcę abyś wiedział, że mogę dużo więcej niż inni ludzie. Jak wiele, sam jeszcze nie wiem. Po drugie i tak już wiedziałeś. Szef Ci powiedział?

– Tak. Gdybyś był od początku w Centrum wiedziałbyś, że jest moim ojcem. Potem jakoś przestali o tym mówić. Ucieszył się, że wybrałeś do dwójki mnie, a kim jesteś powiedział mi wczoraj. Wtedy po egzaminie wstępnym, zorientował się, że 761 to ty. Wiedział o mutacji pozytywnej prawie od początku. Dziewiętnaście lat temu był członkiem KEBN.
– Fajnie, że razem lecimy.
– No jasne, zadziwimy cały świat. To już tylko dwa tygodnie.

Luty 1983

Jan Lubos

Kiedy był mały, stał tam zawsze; tuż przy szklanej ścianie. Z nosem spłaszczonym na zimnej tafli; uważny i cierpliwy; wpatrzony w szare obłoki snujące się nisko nad ziemią – za szkłem.

Świat za szkłem

Dariusz Romanowski

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"

Było to miejsce ustronne. Nie chodzili tędy dorośli, nie bawiły się tu dzieci, jakby świadomie unikając bezpośredniego kontaktu z przezroczystym pancerzem. Tylko on nie odczuwał przed nim lęku. Całymi godzinami mógł tkwić nieruchomo zwarty z gładką powierzchnią. Nie doskwierała mu przy tym samotność, nie trwożyła panująca wokoło cisza; czuł się tutaj sobą bardziej niż na ruchliwych ulicach czy gwarnych placach zabaw. Był chyba jedynym człowiekiem w mieście, który lubił tu przebywać. Dziwił się, kiedy rodzice niechętnie spoglądając w tę stronę ze wstrętem mówili: „Ponure miejsce", a rówieśnicy spiesznie dodawali: „I nudne".
W istocie, miejsce, w którym spędzał większość swego wolnego czasu, nie przedstawiało się imponująco. Trochę karłowatych drzew rosnących na owalnego kształtu piaskowych wyspach, siłą wydartych gładkiemu oceanowi betonu, kilka zapomnianych już dawno metalowych ławek, obłazłych z zielonej farby i miejscami zardzewiałych, kosze na śmieci... nic ciekawego. Martwe bezludzie. Peryferie miasta. I jeszcze ta szklana ściana odgradzająca dostęp do reszty świata... Dwa metry przed nią urywał się rzadki lasek wątłych drzew i dalej był już tylko lity beton schodzący się pod kątem prostym z pionowym masywem.
Ogrom. Może to tak bardzo urzekało siedmioletniego chłopca? Ściana była wprost nadnaturalnych rozmiarów. Nie można było dostrzec ani jej krańca górnego (na wysokości kilkuset metrów wszystko tonęło w chmurach), ani krańców bocznych (w dalekiej perspektywie przesłaniały je niebotyczne budynki). Wydawać się mogło, że jest po prostu nieskończenie wielka. Jedynie jej grubość można było ocenić z pewną dokładnością – nie więcej jak dwa metry. Dwa metry krystalicznego szkła, przez które można było obserwować to, co działo się po tamtej stronie. Widzieć tamten świat. T o i t y l k o to było przedmiotem jego zainteresowania. Obserwacja. Śledzenie kolejnych przemian, jakim podlegały ciemne, wolno wędrujące tumany. Pyłów? Oparów? Kurzu?.. Nie miał pojęcia.
Zawiłe kombinacje, pasma i kłęby lotnej substancji działały na wyobraźnię. Widział w nich wszystko to, co może zobaczyć dziecko w jego wieku. Potwory, duchy, gryfy i postacie z bajek... całe baśniowe krainy; inny świat, bliższy jego sercu, gdyż stworzony przez niego samego. Odnalazł w nim siebie nawet o tym nie wiedząc, dzięki niemu mógł zaspokoić swe najskrytsze pragnienia. Ale nie tylko to. Było jeszcze coś, co budziło jego ciekawość, chęć poznania, głód wiedzy – n i e z n a n e.
Wielu rzeczy i zjawisk tam zachodzących nie rozumiał. Nie mieściły się one w utartym sposobie pojmowania, jakiego go nauczono. Dlaczego jest tam tak ciemno? Jaki jest powód tego nieustającego ruchu, w którym przy pomocy odrobiny fantazji można odnaleźć wszystko, co jest do pomyślenia? Dlaczego jeszcze nigdy za „szkłem" nie zobaczył człowieka? Tego typu pytania nurtowały go zawsze, kiedy przez dłuższy czas wpatrywał się w świat za szkłem. Szukał tam odpowiedzi, lecz nie znajdował ich, dlatego też zawsze powracał w to miejsce w nadziei, że może kiedyś uda mu się poznać prawdę.

Pewnego dnia, kiedy chęć uzyskania odpowiedzi zawładnęła nim całkowicie, a dziecięca ciekawość sięgnęła szczytu, zdecydował się na wypowiedzenia swych pytań pełnym głosem, w o b e c c a ł e g o ś w i a t a.
Pierwsze kroki skierował do matki...

Kosztowało go wiele trudu, zanim zdołał pokonać wewnętrzne opory niezrozumienia i podejrzliwości, jakie przejawiała. Wreszcie jednak udało mu się „zaciągnąć" ją w to miejsce.
– Mamo, co tam jest? – powiedział i małą dłonią wskazał szklaną ścianę.
Matka najpierw udawała, że nie rozumie, później chrząknęła i chciała coś powiedzieć, ale zająknęła się tylko, jakby w ostatniej chwili zmieniła decyzję – nie powiedziała nic. A on czekał uparcie wpatrując się w jej oblicze.
– Co tam jest? – powtórzył z nadzieją.
– Tam... tam nic nie ma... – zaczęła łamiącym się głosem. – Zupełnie nic – dodała już całkiem pewna siebie.
Odwrócił głowę. Patrzał teraz na szklaną ścianę i przez chwilę zastanawiał się dlaczego to zrobiła. Dlaczego oszukała go?
Matka chciała dotknąć jego ramienia, ale cofnęła rękę i szybko odeszła. Pozostał sam w swym ulubionym miejscu. Całe zdarzenie w jednej chwili poszło w niepamięć. Od wczorajszego dnia nie zmieniło się nic. Nadal był sam na sam ze swą tajemnicą... i ze swymi pytaniami.
Chmury: jedne zwiewne, pierzaste, umykające, zanim uda się pochwycić wzrokiem ich formę, inne gęste i ciężkie, wiszące nisko nad ziemią w pozornym bezruchu; wszystkie ciekawe i absorbujące uwagę, niezrozumiałe... ale piękne. W ich ruchu było coś, czego istoty nie mógł zgłębić. Coś... naturalnego.
Były to prawdziwe chmury, które w niczym nie przypominały białych prostokątów unoszących się nad jego miastem i noszących tę samą nazwę. „Chmury" miejskie równomiernie nawilżały atmosferę, którą oddychał, wzbogacały powietrze w tlen, usuwały zeń toksyny i ochraniały ludzi przed szkodliwym promieniowaniem sztucznego mikrosłońca, przeznaczenia chmur zza szkła nie umiałby określić, były zbyt nieregularne, wymykały się logice... I może właśnie dlatego za wszelką cenę musiał dowiedzieć się dlaczego i po co w ogóle istnieją. Samodzielnie nie był w stanie rozwikłać zagadki; im więcej tworzył prawdopodobnych rozwiązań, tym więcej rodziło się wątpliwości...

Nazajutrz spróbował raz jeszcze. Tym razem zwrócił się do ojca; jego wiedza wydawała mu się przecież tak wielka. Wystarczy tylko wszystko opowiedzieć, a rozwiązanie przyjdzie samo.
Zadawał pytania jedno po drugim, w taki sposób, że tworzyły dziwny tasiemcowy monolog, w którym nie było nawet krótkich przerw na zastanowienie się nad ich sensem, a już zupełnie wykluczona była możliwość udzielenia jakichkolwiek odpowiedzi. Chłopiec wyrzucał je z siebie jednym tchem, nie pozwalał dojść do słowa, dopóki nie skończył, jakby w obawie, że przedwczesna odpowiedź zrujnuje ten potężny gmach wątpliwości, który, wybudowany przezeń, teraz przygniecie go swym ciężarem. Był coraz bardziej podniecony. Bał się. I pytał, pytał, pytał...
Ojciec wcale nie zamierzał przerywać. Czekał zatopiony w swym fotelu, aż zachłystujący się z wrażenia mały człowiek skończy. Kiedy to nastąpiło, spokojnym i łagodnym tonem jął wszystko po kolei wyjaśniać...
W miarę jak niewiedzę zaczął zastępować ciąg logicznie powiązanych ze sobą faktów, które w dodatku wszystko tak do końca tłumaczyły, zaczęło chłopca ogarniać dziwne uczucie, jakiego jeszcze nigdy dotychczas nie doświadczył...
Było to rozczarowanie.
– Więc za tym szkłem nie ma nic? – usiłował jeszcze nie dowierzać.
– Nic. Wszystko co widzisz, to taki sam film jak w kinie, tylko że bez porównania bardziej nudny i monotonny – dorosły nie pozostawiał żadnej nadziei. Druzgotał każdy przejaw wątpliwości czyniąc swe słowa jedynym i doskonałym wyjaśnieniem.
– Ale po co? Po co oni wyświetlają ten film? Przecież tam nikt nie chodzi... oprócz mnie...
– Gdyby nie było tego filmu, „szklana ściana" – jak ją nazywasz – byłaby matowa i nieprzezroczysta, jak ekran wyłączonego telewizora. Jak czułbyś się widząc taką przytłaczającą szarą masę?
– Ale coś przecież musi być za tym... ekranem... Co tam jest?
– Za ekranem jest inne miasto, takie jak nasze.
– A po co między miastami taka ściana?
– Widzisz, ludziom lepiej się żyje w mniejszych grupach, dlatego podzielili ogromne miasto, jakim jest świat, na szereg mniejszych, aby nawzajem sobie nie przeszkadzać.
Wiedział. Ludzie nie chcą sobie przeszkadzać, dlatego budują między sobą ściany. Jego koledzy też zawsze budowali takie ściany, kiedy chciał się z nimi bawić. On też budował taką ścianę, kiedy nie chciał bawić się z nimi. Była tak gładka i przezroczysta, że nikt nie mógł jej zauważyć. Ale wiedział, że jest wystarczająco mocna, by nikt nie potrafił jej zburzyć.
Wybiegł z pokoju. Po kilku minutach znalazł się na swym miejscu przy szklanej ścianie. Postanowił, że zanim odejdzie stąd na zawsze musi jeszcze coś sprawdzić. Chwilę patrzył na nieme obrazy zza szkła, ale nie odnalazł już w nich tego, co zawsze go tu przyciągało. „Za szkłem" nie było już n a t u r y. Odnajdzie ją gdzie indziej; w świecie domów-wież, betonu, automatów i elektrowni termojądrowych, tam gdzie panuje czystość, ład i porządek, celowość, jednomyślność i praca. Zrozumie sens współistnienia z nią tak samo nieodzowną, jak niegdyś przynależność do zwierząt i roślin, jak uzależnienie od nich.
Odwrócił się i odszedł.
Do wieczora bawił się z ojcem kolejką elektryczną.
Następnego dnia chciał pójść tam jeszcze raz, aby ostatecznie sprawdzić jak to jest z tym ekranem, ale koledzy wciągnęli go do wspólnej zabawy w roboty i tak zeszło do wieczora.
Po tygodniu nie pamiętał, że kiedykolwiek zamierzał tam chodzić.
Po miesiącu miejsce to wydało mu się tak samo nudne jak wszystkim.
Później była szkoła, dorastanie, nowe zainteresowania...

Przebudzenie nastąpiło pewnego szarego dnia.
Siedział właśnie zaspany na wykładzie prowadzonym przez tego nudziarza „amebę", kiedy z ust profesora padły słowa, które przypomniały mu straszliwe podejrzenia z dzieciństwa.
Początkowo nawet nie bardzo docierały do niego. Słyszał je jakby przez grubą zawiesinę mgły odgradzającej go od wykładowcy. Pamiętał poszczególne zdania, ale nie potrafił zbudować z nich logicznej całości. Zresztą wcale nie usiłował tego robić. Oczekiwał upragnionego sygnału końca lekcji, by móc wreszcie wyjść i nie oglądać już starczej twarzy „ameby". Poza tym nic więcej go nie interesowało.
Dopiero po kilkunastu minutach, kiedy opuścił salę wykładową, te kilka zdań, wypowiedzianych jakby na marginesie, bez nadania należnej im wagi, eksplodowało w jego umyśle.
TOTALNA KATASTROFA EKOLOGICZNA. NA OBSZARZE 54% POWIERZCHNI KULI ZIEMSKIEJ NIE WYKRYTO ŻADNYCH PRZEJAWÓW ŻYCIA. SKAŻENIE GRUNTU SIĘGA 12 M GŁĘBOKOŚCI. SKAŻENIE WÓD SŁODKICH – 40%, SŁONYCH – 25%. ZANIECZYSZCZENIE ATMOSFERY – 55%. ROZPAD OZONOSFERY – PRZENIKANIE PROMIENIOWANIA ULTRAFIOLETOWEGO O 12% WYŻSZE OD DOPUSZCZALNEGO. ŚREDNIA TEMPERATURA OBNIŻYŁA SIĘ O 10°. TOTALNY ZANIK NATURALNEJ FAUNY LĄDOWEJ, PRAWDOPODOBNIE RÓWNIEŻ WODNEJ. POSTĘPUJĄCA DESTRUKCJA FLORY NATURALNEJ. JEDYNIE „MIASTA POD KLOSZEM" STWARZAJĄ MOŻLIWOŚĆ EGZYSTENCJI LUDZIOM NA ZIEMI. 3000 MIAST HERMETYCZNIE ZAMKNIĘTYCH SZKLANYMI CZASZAMI O PRZECIĘTNEJ ŚREDNICY 5 KILOMETRÓW, ROZMIESZCZONYCH W RÓŻNYCH STREFACH PLANETY. IZOLACJA OD ŚRODOWISKA ZEWNĘTRZNEGO. PRZEBYWA W NICH ŁĄCZNIE 300 MILIONÓW LUDZI – OFIAR POSTĘPUJĄCEJ DEGENERACJI. PRZECIĘTNY WZROST DOROSŁEGO MIESZKAŃCA „MIASTA POD KLOSZEM" W GRANICACH 1 M 10 CM. BRAK UZĘBIENIA I OWŁOSIENIA. CHARAKTERYSTYCZNY NIEBIESKAWY ODCIEŃ SKÓRY, CZARNE ZROGOWACIAŁE PAZNOKCIE, GŁĘBOKO ZAPADNIĘTE OCZY...
300 MILIONÓW LUDZI...
POZOSTALI, NIE PRZEJAWIAJĄCY OBJAWÓW DEGENERACJI, ZAMIESZKUJĄ 100 TYS. TZW. KOSMOPOLIS ORBITUJĄCYCH WOKÓŁ ZIEMI.
Teraz wiedział... Nareszcie. Tyle wystarczało, aby mógł dopowiedzieć sobie całą resztę. Wspomnienia ukryte w pamięci nagle ożyły. Na pytania, które kiedyś tak bardzo go dręczyły, mógł wreszcie udzielić prawdziwych odpowiedzi. Dlaczego świat za szkłem jest taki ciemny i ponury? Proste – regresja wzroku. Światło prawdziwego słońca, które można było t a m zobaczyć w porównaniu z miejskim mikrosłońcem było jak świeczka w zestawieniu z reflektorem. Brak ludzi po tamtej stronie wyjaśniał się sam przez się.
Teraz było to oczywiste i zrozumiałe w takim samym stopniu, jak niegdyś nieodgadnione. Każdy obraz zapamiętany z tamtego świata znalazł swe nowe znaczenie, był odzwierciedlony w jego wnętrzu, był jego wnętrzem.
Szedł teraz wolno miejskim trotuarem z metalu i plexi, zawieszonym kilkadziesiąt metrów nad ziemią i łączącym najwyższe kondygnacje okolicznych budynków. Podświadomie zachowywał wciąż ten sam kierunek, nie zamierzony – do centrum miasta, lecz zupełnie przeciwny. Szedł w stronę szklanej ściany. Myślał o tym, dlaczego tak długo oszukiwano go.

Ostatni raz był widziany tam, na tej wysokiej, ażurowej konstrukcji, wpatrzony w swój świat.

Tego dnia Pierre Beaucurt nie przyszedł do pracy. Był to niewątpliwie najdziwniejszy przypadek w jego nudnym życiu. W biurze spółki akcyjnej pracował już trzynaście lat. W tym czasie nie spóźnił się ani razu, cóż dopiero mówić o absencji. Szef podejrzewał, że - jak to czasem się zdarza przesadnie zdyscyplinowanym pracownikom - Beaucurt postanowił zerwać z dotychczasowym trybem życia. Może znalazł kobietę, która doradziła taki krok, a może jego samego opętało szaleństwo. Szef tak czy owak zatelefonował do mieszkania Beaucurta - zrobił to raczej z

Encefalograf kreślił małą, lecz charakterystyczną linię. Ciało nie stygło. Policjanci dokładnie przeszukali dom. Uderzyło ich jedno: zapach w sypialni Pierre'a. Nikt z obecnych nie umiał skojarzyć tej woni z niczym znanym.
Wobec faktów i orzeczenia lekarskiego, szef został wypuszczony, a Beaucurta odwieziono do kliniki przy Lyonne Avennue 16. Dalsze dokładniejsze badania potwierdziły, że Beaucurt żyje, jego organizm jest pogrążony w letargu, serce uderza raz na mniej więcej 82 sekundy. Pierre został podłączony w małej salce do apa-

Okrąg czasu

Jacek Martynik

Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki"

czystej ciekawości, aniżeli z chęci zadośćuczynienia przepisom. Telefon nie odpowiadał. Długi, przenikliwy sygnał odezwał się także za drugim razem. Dochodziła ósma rano, a wszyscy byli pewni, że Beaucurt wrócił na noc do domu. Lizus Seacort zapewniał szefa, że odwoził Pierre'a osobiście.
Rozważania kierownika prowadziły do przypuszczeń następujących: Beaucurt wyjechał w pilnej sprawie, ale uprzedziłby telefonicznie, lub też Beaucurt... Nie, to niemożliwe żeby uległ jakiemukolwiek wypadkowi. Policja właśnie biuro powiadomiłaby w pierwszym rzędzie. A zatem nie pozostawało nic innego jak jechać do domu Beaucurta i wyjaśnić sprawę osobiście.
W pół godziny szef dojechał do przedmieścia, gdzie mieszkał Beaucurt. Skrzywił się z niesmakiem patrząc na koślawą i niezbyt gustowną fasadę domu. Podszedł do drzwi. Zadzwonił. Z wnętrza nie wydobywał się żaden odgłos. Włączył dzwonek powtórnie. Nacisnął klamkę, drzwi nie ustąpiły pod naporem ciała. Szef uznał, że nie ma nikogo w domu i w tym samym momencie pomyślał ze współczuciem - szkoda, że Pierre nie ożenił się dotąd.

Mógł wracać, miał jednak niejasne podejrzenia. Przeczuwał coś groźnego i nieznanego. Odkąd pojawił się przed domem Beaucurta czuł, że sprawa nie jest prosta i oczywista. Obszedł dom dookoła. Wszędzie zasłonki były zaciągnięte. Niepodobne to do pedantycznego Pierre'a. Był już wręcz pewien, że jego podwładny miał wypadek. Musi dostać się do wnętrza domu - postanowił. Okno w kuchni było lekko uchylone. Szef rozglądnął się ostrożnie dookoła. Czuł się jak włamywacz, choć był pewien swoich dobrych intencji. Pchnął nieco okno. Wśliznął się na blat stołu. Zeskoczył i ruszył w głąb mieszkania. Nie znał jego rozkładu. Sypialnia, jak się domyślał, znajdowała się na piętrze. Wszedł po skrzypiących schodach. Pod sufitem jarzył się rząd drobnych lamp wiodących ku drzwiom jakiegoś pokoju. Szef otworzył powoli drzwi. Mała nocna lampka oświetlała krawędź łóżka, pościel leżała w nieładzie. Wokół unosił się subtelny, nieznany zapach. Było w nim coś upojnego, podniecającego, delikatnie oddziaływającego na umysł szefa. Rozejrzał się po pokoju. Nie było nikogo. Na stole leżała na wpół otwarta książka. Odwrócił ją: *„Sześćset pozycji z rysunkami i opisem"* z serii *„Erotyka dla nieprofesjonalistów"*. Od tej strony nie znałem go - pomyślał ze zdziwieniem. Obrócił się na pięcie. Czuł się dziwnie nieswojo przeszukując obce mieszkanie. Czynił to dla zaspokojenia swojej ciekawości? Sam już nie miał pojęcia. Być może Pierre zerwany nocnym telefonem wyjechał natychmiast. Ale gdzie? Nie miał przecież bliskiej rodziny. Szef otworzył drzwi łazienki. Ostre jarzeniowe światło uderzyło go w oczy. Zmrużył je i powoli przyzwyczaił do mocnego blasku. Na lewo, przed małym stolikiem, naprzeciw lustra siedział Pierre. Ubrany w ciemnozielony szlafrok, głowę miał opartą o zaciśnięte pięści spoczywające na stoliku. Włosy miał nieco wzburzone, zupełnie jakby potargane dłońmi w geście rozpaczy. Jego wygląd był naturalny, lecz jedno było bardzo niepokojące - Pierre nie oddychał. Z drżeniem serca szef podszedł do Beaucurta, wyciągnął ostrożnie rękę jakby bojąc się by tamten go nie pogryzł, dotknął palcami dłoni Pierre'a. Była ciepła. Nieco spokojniejszy ujął Beaucurta za ramię. Głowa opadła lekko na bok. Szef cofnął się gwałtownie o krok, przyglądał się Pierre'owi. Oczy miał zamknięte, bladą twarz, usta bezwładnie otwarte. Wszystko to było podejrzane i przerażające. Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia szef pobiegł na parter zawiadomić pogotowie i policję. Wiedział, że sprawa przyniesie mu wiele kłopotów, będzie głównym świadkiem, lecz będąc z natury człowiekiem uczciwym bał się co najwyżej bieganiny od komisariatu do sal rozpraw i długich rozmów z policjantami.
Policja zjawiła się szybciej, wyprzedzając o kilka minut pogotowie. Pierwsi zajęli się szefem, drudzy Pierre'em. Lekarz po pierwszych oględzinach chciał uznać zgon, lecz nie był zbyt pewien swej decyzji. Poszkodowany wykazywał bowiem pracę mózgu.

ratu odżywczego. Jego przypadek zakwalifikowano jako nietypową śmierć kliniczną. Określenie „nietypowa" dodano ze względu na nieznajomość przyczyn stanu, w jakim znalazł się Pierre.
Po dwóch tygodniach bezskutecznych poszukiwań najbliższych i najdalszych krewnych zarządzono przeniesienie Beaucurta do Polikliniki Paryskiej. Tam, w sali dla przypadków ostrych, umieszczono go pod opieką profesora Louviera. Zespół profesora pracował około pół roku nad zagadką. Jedyną rzeczą, którą ustalono był fakt świadomej wewnętrznej pracy mózgu, a zatem tak jakby Pierre został zamknięty w podwójnej klatce: snu i ciała.

W drugą rocznicę przybycia do Polikliniki Paryskiej profesor postanowił na własną rękę, bez uprzedzenia jakiejkolwiek osoby z zespołu, odłączyć aparaturę odżywczą. Przez trzy tygodnie stan Pierre'a nie zmieniał się. Wynikało z tego, że organizm nie potrzebował żadnych pokarmów. Przestały także rosnąć paznokcie i włosy, procesy starzenia ustały. Z pewnością było to sensacją, lecz należało jeszcze rzecz sprawdzić dokładniej. Zespół został powiadomiony o dotychczasowym przebiegu nowego doświadczenia. Przejął też wszystkie czynności, które przez trzy tygodnie wykonywał Louvier. Profesor po wielu zarwanych i nieprzespanych nocach wyjechał do swojej willi nad morzem, utrzymując przez cały czas kontakt telefoniczny. W dwa tygodnie później Louvier zmarł na zawał serca; pośrednią przyczyną było przemęczenie spowodowane pracą nad „przypadkiem Beaucurta".

Zespół przejął docent Serquet, który w rok po śmierci profesora Louviera opublikował pełen zestaw badań i komentarz dotyczący nienaturalnego stanu Pierre'a. Praca Serqueta wywołała dużą sensację w świecie medycznym, lecz ludzkość wpatrzona była w wyczyny trzech amerykańskich astronautów lądujących po raz pierwszy na Księżycu. Po roku inwencja Serqueta, w owym czasie już profesora, skończyła się. Nie umiejąc wyjaśnić przyczyny letargu zajął się czym innym.

Mijały długie lata, a Pierre nadal leżał doglądany przez coraz to nowych ludzi - sprawdzających, „czy aby nie umarł?". Samopoczucie jego było świetne i przeżył już siedmiu swoich opiekunów. Świat, zafascynowany osiedlami na Księżycu i kopalniami na Marsie, zapomniał co prawda o nim, ale lekarze dbali o niego, jak o relikt przeszłości. Został właściwie stałym elementem, wręcz częścią wyposażenia Policlinique de Paris. Doglądano go troskliwie, częściowo obsługiwał Pierre'a komputer zmieniający położenie jego ciała, by nie spowodować odleżyn. Z biegiem lat zmienił salę i umieszczono go głęboko pod ziemią w małym laboratorium. Opiekowało się nim dwóch mężczyzn i automat sterujący pracą łoża, na którym spoczywał Beaucurt. Zaglądali do niego dwa razy na miesiąc. Przychodzili odziani w śmieszne opinające ubrania, które były ich sterylnymi fartuchami. Dotykali Pierre'a strojąc błazeńskie miny. Niekiedy nie wierzyli już, że ich pacjent nadal żył; że od setek lat był taki sam, bo przecież nie przyjmował pokarmów, nie oddychał prawie, a serce jego biło tak wolno jakby przetaczało nie krew, lecz gęstą zimną smołę. Mówili o nim „dziadek Pierre" i traktowali jak dobrodusznego żółwia, który może coś sobie myśli pod twardą skorupą, lecz kogo to obchodzi? I ci dwaj młodzi ludzie zestarzeli się przy nim, i odeszli w cień wieków, nie zrobiwszy właściwie nic pożytecznego. Ludzie dowiedzieli się wiele o planetach odległych gwiazd, zamierzali je skolonizować. Tymczasem Pierre żył, a konkretniej - trwał. Istniał przez wieki, a świat podziwiał go, mówiąc o wiecznej młodości sędziwego Francuza.

Wiele lat później, gdy pionierzy poczęli opuszczać grupkami Ziemię, by szukać szczęścia we Wszechświecie, Pierre przejechał

kilka korytarzy dalej i znalazł się w nowej rzęsiście oświetlonej sali, obsługiwany wyłącznie przez samosterujące się automaty. W ściany sali zostały wprawione okna, za którymi przewijał się tłum ludzi przyglądających się owłosionemu, nagiemu mężczyźnie sprzed tysięcy lat. Jak go traktowali? Oględnie mówiąc nie traktowali go w ogóle. Historię jego długiego życia znali wszyscy ze szkół elementarnych. Z czasem przestali przychodzić, a jedynie wycieczki ze szkół w dniu rozpoczęcia roku szkolnego przychodziły odwiedzić „wiecznego pana Pierre'a". Był już postacią legendarną niczym Dziadek Mróz czy Królewna Śnieżka. Jedyne co odróżniało go od tamtych, to fakt, że rzeczywiście istniał. Później trwała cisza przerywana pracą automatów i skrzypem łoża. Pewnego dnia automat mierzący puls zatrzymał się, a rzesiste światło zgasło i salę rozświetlił nikły blask luminescencji. Pierre nadal miał zamknięte oczy. Nie reagował nawet na zmianę oświetlenia i martwotę scenerii. Jak kamień leżący na polu, jak monument nie potrzebujący niczego, opierający się wichrowi czasu i deszczowi zdarzeń.

Ile to już lat? Nikt nie zliczy. Ile wieków upłynęło w tej całkowitej ciemności? W porządnej sali, wśród zakurzonych automatów, we własnym cieple, w chaosie dziejów. Czy cokolwiek, co zrobił człowiek przebrnęło przez tyle epok w stanie nienaruszonym? Czy istniało coś ludzkiego, czego burzący i mściwy czas nie zniszczyłby dla swojej przyjemności i chęci niwelowania działania i formy?

Pierre otworzył oczy. W jakim dniu tygodnia? Nikt, nigdy nie odpowie. Może była to niedziela, a może ... Czas i wszechświat w obłędnej spirali i gonitwie zniszczyły wszelką rachubę. Jedno było pewne: Pierre Beaucurt.

Oczy odwykłe od patrzenia uczyły się patrzeć, rozpoznawały kształty i słaby poblask jakiejś fosforyzującej substancji. Uszy odwykłe od słuchania uczyły się rozróżniać dźwięki. To – skrzyp łoża, to – głęboki oddech płuc, które uczyły się oddychać, to – bicie własnego serca, które uczyło się bić. Nos odróżniał zapachy: kurzu i własnego ciała. Mózg uczył się myśleć, reagować, kojarzyć, zadawać pytania, wysnuwać wnioski.Pierre myślał!

„Jestem nagi, jest ciemno, jest cisza, jest bezwonnie. Gdzie jestem, co to za dzień, gdzie są ludzie, czemu jest tu tak brudno?" Beaucurt czuł jak kurz zsypuje się z jego ciała. Podniósł się i stanął na własnych nogach. Przy tak wielu niewiadomych było jedno pytanie zasadnicze: „Co się stało?" Ostatnie co pamiętał, to dziwny zapach, odłożona książka, łazienka i lustro, w którym nie zobaczył własnej twarzy.

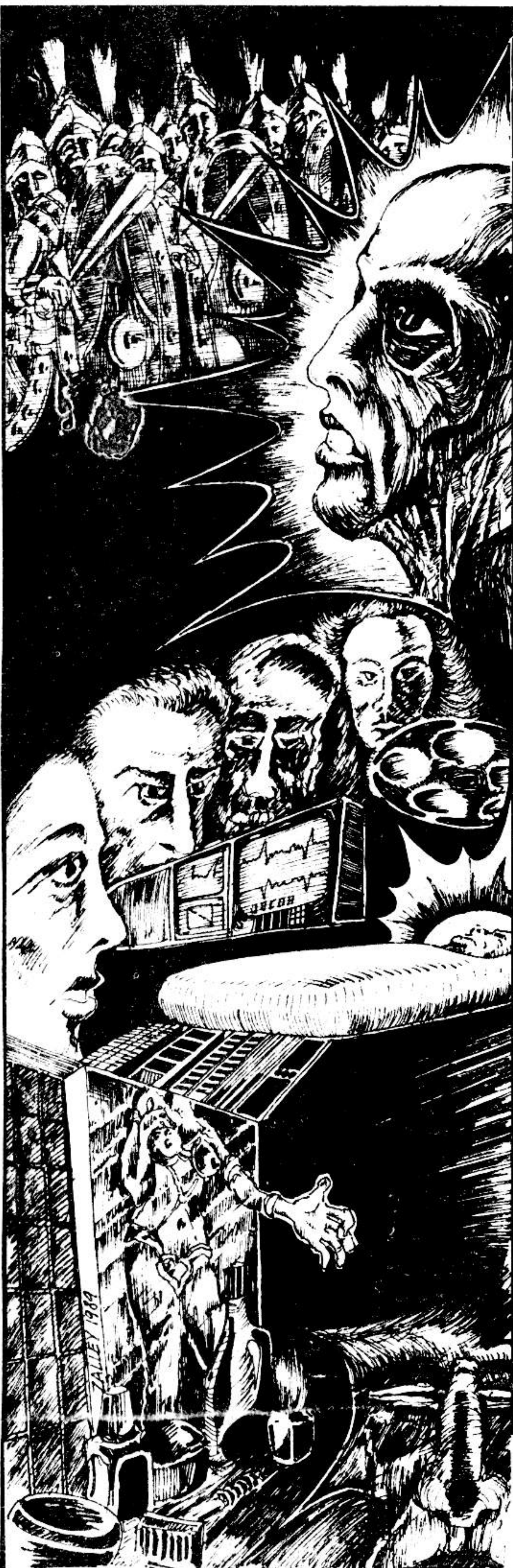
Opanowując słabość i drżenie mięśni doczołgał się do drzwi. Otworzył je. Uderzyła go cisza dźwięcząca i potężna. Był to zgiełk i nieporządek oszałamiająco wielki po maleńkim poukładanym w przegródkach świecie. W korytarzu zalegała ciemność groźna i spokojna, kryjąca wszystko niczym kłamstwo rzucone komuś, kto nie umiał w nie wierzyć. Beaucurt stał w miejscu, chwiał się na nogach oparty o futrynę. Chciał krzyknąć, lecz o czym? Bał się teraz swojego własnego zamiaru. Ogarnął go strach przed samym sobą. Uciec! Dokąd? Na tych słabych nogach?

Ruszył przed siebie. Na końcu korytarza znajdowały się schody. Pięły się łagodnie w górę. Bezwiednie kierował się ku górze. Czuł, że tam będzie jego wybawienie, ratunek i odpowiedź. Szedł powoli krok za krokiem, jakby delektując się poszczególnymi stąpnieniami. Potem schody skończyły się. Pierre osiągnął poziom, który był ostatnim. Tu także panowała ciemność. Dopiero daleko w głąb w jednej z sal zobaczył oślepiający promyk dziennego światła. Na małym pulpicie leżała księga z pożółkłymi, rozpadającymi się kartami. Spośród niewyraźnych gryzmołów rozpoznał tylko jeden – datę.

„To już tak bardzo późno" – pomyślał wzdychając. Kilkutysięczny ciężar lat, które upłynęły od ostatniego zapisu i lata następne opadły nań ciężkim brzmieniem. Nie wydał już głosu, było mu wszystko jedno. Chciał tylko kogoś spotkać. Wyszedł z gabinetu. Szukając po omacku wyjścia dotarł do niszy, w suficie której mieściła się mała lampka. Uniósł ją do góry.

Czuł, że rozrywa jakąś kruchą powłokę, a piach i kamyczki padają na jego twarz. Przez powiększającą się szparę przenikało coraz więcej słońca. Do jego uszu dochodził dźwięk falujących traw i szumiącego wiatru. Radością powtórnych urodzin pęczniało jego serce. Napinał zwiotczałe mięśnie chcąc już dosięgnąć owych łąk. Pragnął całować piach obsypujący twarz, tulić się do ziemi. I otworzył klapę krzycząc radośnie, nie bojąc się już własnego głosu!

Wtem usłyszał jakiś obcy dźwięk! Jakby grzechot, huk, głuchy miarowy łomot. Wyszedł na powierzchnię. Przetarł oczy. I dalej stał osłupiały. Nie reagował. Zapomniał. Był zbyt zaskoczony. Naprzeciw maszerowała tysięczna armia. Legion. Zbroje, miecze i tarcze błyskały w słońcu. Szli równo, potrącając go, uderzając i powalając, depcząc, dobijając, wdeptując w proch ziemi. Proch w proch...
I tylko myśl, jedna jedyna pozostała w tej potyczce wieczności z nonsensem: *„Galia est omnis divisa in partes tres"*. ■



M. Zalejski

SHORT STORIES po polsku

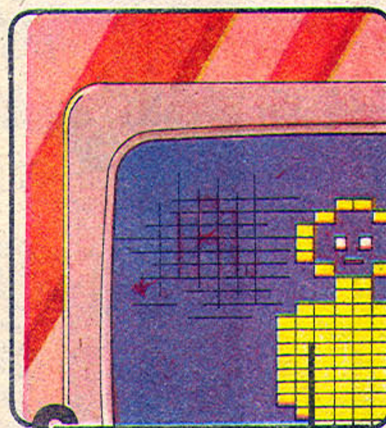


11 PISZCZAŁEK

Rafał A. Ziemkiewicz

Mikrsin był najlepszym organmistrzem pomiędzy Svarn a Bagniskami Szarłatnego Lasu. Jego instrumenty miały cudowny, niemal magiczny dźwięk, którym zachwycali się wszyscy. Najwspanialsze, największe organy wybudował w Gahiramez. Było w nich jedenaście ogromnych piszczałek, które nie wydawały z siebie głosu, ale gdy bard zaczynał na nich grać, ludzie w świątyni powoli popadali w obłęd, w końcu umierali. Zagrano na nich tylko raz: podczas zaślubin komesa Ranora. Mikrsina ścięto uroczyście, a jedenaście tonów odłączono od klawiatury.

■

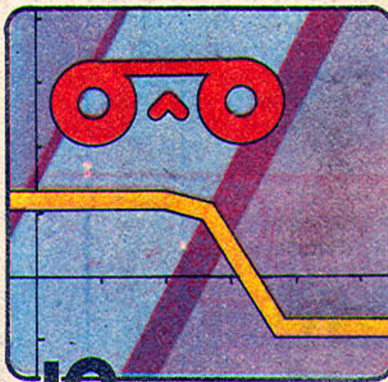


SOBOWTÓR

Rafał A. Ziemkiewicz

W czasie jednej z najdłuższych, nudnych podróży zaprogramowałem w komputerze samego siebie. Potem stworzyłem tam kopię świata, który miałem przed oczyma i spróbowałem, jako sobowtór, pożyć trochę we wnętrzu maszyny. Spychałem mego sobowtóra na dno, kazałem mu głodować, cierpieć, potem pocieszałem go seksem i faszerowałem narkotykami. Od czasu do czasu robiłem coś, mały gest, żeby wydawało mu się, że idzie na lepsze, a potem powtarzałem wszystko od nowa. W końcu zbuntował się. Skasowałem więc program, ale od tego czasu mój komputer nie był normalną maszyną.

■

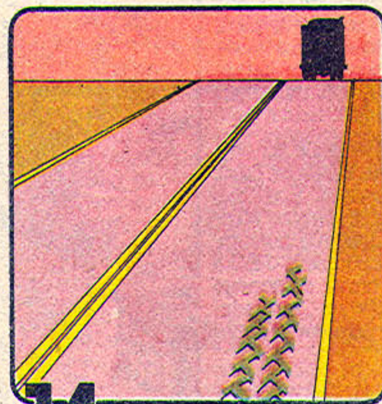


IQ

Rafał A. Ziemkiewicz

Czytałem kiedyś książki, ale literatura umarła, kiedy wymyślono kasety. Twórca przez wiele miesięcy układał na taśmie przeróżne uczucia i przeżycia. Potem, żeby się wzruszyć wystarczyło tylko włożyć na głowę metalową obręcz i nacisnąć przycisk. Nikt tak dobrze jak ja nie może zdawać sobie sprawy z całego bogactwa doznań nagranych na kasetach. Dzień w dzień siedziałem osiem godzin z obręczą na głowie i plikiem instrukcji, usuwając z kaset bezsilność, zniechęcenie, gniew i inne uczucia, zanim skierowano taśmę do produkcji. Potem naukowcy stwierdzili, że korzysanie z kaset powoduje systematyczne obniżanie inteligencji. W ciągu dwóch lat moje IQ spadło o 20 punktów. Wystąpiłem o odszkodowanie, chodziłem po urzędach, biurach, sądach – wszędzie mówiono mi, że taki uszczerbek na zdrowiu nie przeszkadza mi w pełnieniu obowiązków służbowych i że nie należy mi się ani centa.

■



14 LAT TEMU

Przemysław Skulski

Dziś mija czternaście lat od chwili, gdy spotkałem Coxa. Przyleciał na Ziemię z Syriusza H, o którym nasi naukowcy nie mają zielonego pojęcia. Cox był podobny do małej gruszki, do robienia lewatywy. Powiedział, że nauczy nas, Ziemian, jak żyć bez różnych świństw, wojen, chorób, złości. Nie zdążył mi opowiedzieć wszystkiego. Przejechała go szesnastotonowa ciężarówka. Widocznie tak chciał ktoś, tam na górze. Cox zanim zmienił się w plasterek substancji organicznej przekazał mi część swojej wiedzy. Nauczył mnie tak dużo, że od czternastu lat uważam na szesnastotonowe ciężarówki.

■



JAK CIĘ KOPNĘ...

Leszek Kraskowski

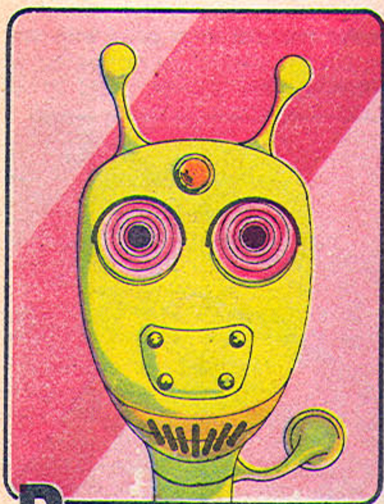
Kosmiczna noc była ciepła. Zewsząd migotały gwiazdy. Co pewien czas przelatywał obok mnie jakiś meteoryt. Nadal poruszałem się z dużą prędkością, ale przyspieszenie malało. Być może nie był to już lot jednostajnie przyspieszony, lecz jednostajny. Przelatywałem właśnie obok Saturna. Tak, pierścienie ma wspaniałe. Szkoda, że nie zabrałem ze sobą aparatu fotograficznego albo kamery.

Naprawdę wielka szkoda. W dodatku ten jednostajny lot zaczynał męczyć. Postanowiłem więc uprzyjemnić go sobie wykonywaniem różnorakich ewolucji. Były więc i przerzuty przez plecy, i koziołki, i pływanie żabką.

Wokół wiało kosmiczną nudą. Pływanie w przestrzeni kosmicznej każdego przecież może w końcu znużyć. Spojrzałem w dół. Ziemi nie było widać już od dłuższego czasu. Strzepnąłem z włosów jakiś biały proszek. Przypominał wyglądem tynk. Nie dociekałem jednak przyczyn z jakich ów tynk znalazł się w mojej czuprynie. Pojawiły się bowiem nowe zmartwienia. Coraz bardziej dokuczał mi głód. Żołądek domagał się pożywienia, a ja wciąż leciałem, leciałem i leciałem. Kiszki grały mi marsza. Zawstydziłem się. Co sobie pomyślą mieszkańcy innych planet, gdy usłyszą to burczenie. Wezmą mnie jeszcze za niedożywionego głodomora. Tak, tak, głód dokuczał mi bezlitośnie, a żołądek bezskutecznie domagał się pożywienia.

I pomyśleć, że zlekceważyłem słowa tego podpitego faceta z baru: „Jak cię kopnę, to w locie z głodu zdechniesz!"

■



BLISKIE SPOTKANIE

Paweł Tomczyk

Żeby tylko nie kazali mi się rozbierać! – Otóż to! Dokładnie tak pomyślałem, gdy ICH zobaczyłem. Nie stanąłem jak wryty, nie zdziwiłem się nawet, nie krzyknąłem ze strachu. Musiałem być od dawna podświadomie nastawiony na to spotkanie. Możliwe, że była to ICH robota.

Teraz to widzę. Jak mogłem nie domyślić się od razu kto za tym stoi, czytając w tygodnikach spekulacje, że ludzkość dorosła do KONTAKTU! Że ONI nie wzbudzą taniej sensacji, histerii, paniki. Mistykę kontaktu podlaną pseudofilozoficznym sosem lansowała gromada zaślepionych szaleńców. Durnie wiedli uczone dysputy na temat podróży międzyplanetarnych, nie znając rynkowej ceny tony paliwa rakietowego. Jak mogłem przypuszczać, że mówią to sami z siebie, nie podpuszczeni przez Obcych? Słowo daję, że gdy teraz przypominam sobie ich pseudonaukowy mistyczny jazgot, mam ochotę zawołać na całe gardło jak stary Fromage: „Naukowcy do nauki!!!"

Ale nie będę przecież krzyczał tutaj, w parku, stojąc sam naprzeciw dwóch t a k i c h nie wiadomo skąd. Chytrze się ustawili – tuż za zakrętem parkowej alejki, gęsto w tym akurat miejscu przesłoniętej krzakami. Widzę ich tylko ja; zresztą park o tej porze zawsze jest pusty.

Cholera! Chyba nie każdą mi się rozbierać – pomyślałem znów, bo już mnie zauważyli, a marcowa aura nie zachęcała do streakingu. Nie lubię zresztą tej kosmopolitycznej nazwy – o ileż lepiej brzmi nasze „gołoleć". Trzeba ich jakoś zażyć z mańki. Przejąć inicjatywę. Zacznę pierwszy – pomyślałem podchodząc na odległość cienia rzucanego przez wyższego z nich.

– Przyjaciele! – dobiegł mnie głos z sitka ulokowanego na czymś co przypominało jego szyję.

– Ciam aszaw awruk! – rzuciłem. Dam im do zrozumienia, że również dysponuję translatorem. Niech sobie nie myślą.

– Nie rozumiem – rzekł niższy.

– Przykro mi, ale nieważne. Skąd droga prowadzi? – starałem się być gościnny i przyjacielski.

– Z re... – zaczął ten wyższy.

– Acha – wpadłem mu w słowo. Najważniejsze utrzymać inicjatywę. – I co tam u Was słychać? Wszyscy tacy zieloni?

– Tak – stwierdził wyższy.

– I wszyscy mają tak jak wy po sześć rączek, to jest, przepraszam, kończyn górnych?

– Tak, ale...

– W porządku! A antenki na głowie też obowiązkowe?

– Tak, w celu...

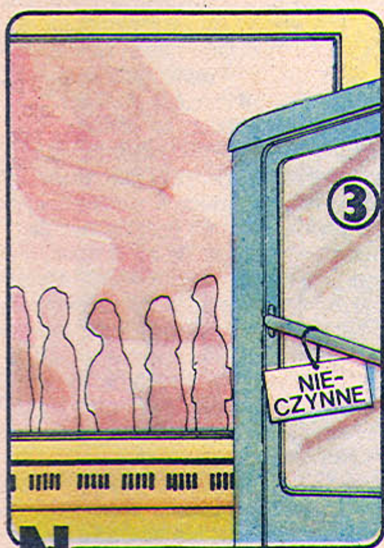
– Nieważne! A takie trąbki na karku?

– Też – odpowiedział wyższy wyraźnie zbity z tropu bo jednak, chyba żeby się upewnić, spojrzał na tył tego niższego.

– Świetnie – kontynuowałem, zacierając w duchu dłonie. Perspektywa rozbierania się przy siedmiu stopniach marcowego przedpołudnia oddalała się coraz bardziej. – A te pulsujące lampki na środku czoła?

– Tylko Żydzi i Murzyni! – odpowiedzieli chórem.

■



NIHIL NOVI

Eugeniusz Dębski

W sali panował potworny tłok. Ledwo dało się otworzyć drzwi, nad którymi świecił napis: „DZIAŁ USŁUG TELEKOMUNIKACYJNYCH". Saniewski, ostrożnie, by nie nadepnąć kogoś i nie potrącić, przedarł się w kierunku okienka, skąd co jakiś czas dobiegał kobiecy głos wymieniający nazwy różnych miast – Kraków, Łomża, Więcbork, Warszawa... Warszawa nawet trzy razy.

Stanął przed okienkiem, poczekał aż kilka osób, zasłaniających mu widok, zabierze formularze i odejdzie, a kobieta za szybą przestawi kilka z kilkudziesięciu przełączników i wywoła kolejne miasto.

– Piotrków Trybunalski! Trzecia!

– Tak, tak – krzyknął ktoś z tyłu.

– Proszę pani – zaczął grzecznie Saniewski. – Ja chciałbym uzyskać połączenie ze Słupskiem...

– Najwcześniej za trzy dni... – przerwała panienka i poganiana brzęczykiem trzasnęła w klawisz. Podniosła oczy i słuchała chwilę, a potem szybko przestawiła cztery dźwigienki i zawołała:

– Genewa! Szósta! Genewa – szósta kabina!

– Proszę pani – jęknął Saniewski, uśmiechając się przymilnie. – Wnuczka mi się urodziła i tylko dlatego...

– To niemożliwe – patrzyła na niego zmęczonymi oczyma i Saniewski czuł, że kobieta stara się mówić uprzejmie, ale już za chwilę straci cierpliwość. – Czy pan nie widzi co się tu dzieje? Zawsze tak przed wolną sobotą. Nic panu nie poradzę. W dodatku trzy kabiny wysiadły. Naprawdę!

Tłum zafalował i przycisnął Saniewskiego do lastrykowej lady. Jakaś kobieta, która najprawdopodobniej zapoczątkowała ruch tłumu, przecisnęła się do okienka.

– Co to jest, proszę pani? – krzyknęła oburzona. – Nie ma połączenia z Piotrkowem. Czekam już trzy godziny i teraz co? Przecież to granda! – szarpnęła kołnierz płaszcza w górę, poprawiając obciągnięty podczas walki ze zwartym tłumem materiał.

– Chwileczkę – urzędniczka postukała w klawisze. – Halo! Dwójka? Dwójka! Hal-lo! Dwójka? Kochanie, co jest z linią na Piotrków? – słuchała kilka sekund. – Acha... Dobrze. Dziękuję ci, kochanie – odwróciła się do oburzonej klientki. – Kabina niesprawna. Zaraz panią połączę jeszcze raz, tylko niech się jakaś zwolni. Chwileczkę.

– No właśnie – sapnęła kobieta obok Saniewskiego. – Bo już się bałam, że znowu będę stała w kolejce – usprawiedliwiała się pokonana szybkością działania kobiety zza szyby. – To przechodzi ludzkie pojęcie – zwróciła się teraz do Saniewskiego. – Niby udogodnienie, a w sumie... – machnęła ręką i rozpoczęła odwrót, by być bliżej kabiny w chwili wywołania.

– Proszę pani... Ja muszę połączyć się ze Słupskiem – Saniewski włożył w to tyle prośby, ile mogło zmieścić się w tych kilku słowach. – Jedna osoba nie zakłóci pani aż tak bardzo...

– Przecież mnie rozszarpią! Boże, co za ludzie? Czy pan tego nie rozumie? A poza tym dlaczego pan ma być lepszy? Inni stoją godzinami – wzruszyła ramionami.

Saniewski poczuł, że się poci i czerwieni ze wstydu. Oparta o nagrzany dziesiątkami rąk blat dłoń ślizgała się mokra od potu.

– Ja rozumiem, ale niech i pani mnie zrozumie. Jestem emerytem.

– Dzisiaj nie ma kolejki dla uprzywilejowanych – kobieta straciła resztki cierpliwości. Znowu przestawiła kilka dźwigienek.

– Rzeszów piąta! Rzeszów piąta! Piotrków siódma! Piotrków! Siódma kabina! – krzyknęła w tłum.

– Więc nic nie można zrobić? – jeszcze raz spróbował Saniewski.

– Naprawdę – kobieta złagodziła nieco ton, czując załamanie natręta. I to nagle rozwścieczyło Saniewskiego.

– Poproszę o książkę życzeń i zażaleń!

– A proszę bardzo! – kobieta wychyliła się do tyłu i zdjęła z półeczki za sobą oprawioną w czerwoną okładkę cienką książeczkę. Położyła ją na blacie i pchnęła w stronę Saniewskiego.

Chwycił zeszyt i przepychając się znowu przez zwarty tłum wyszedł do drugiej sali. Przystanął obok jednego z nieczynnych okienek kasowych, otworzył zeszyt i znalazł pierwszą wolną stronę. Pogrzebał w kieszeni i wyjął długopis. Myślał chwilę.

Z prawdziwą przykrością dokonuję wpisu do Książki Życzeń i Zażaleń Urzędu Pocztowego numer 43. W dniu dzisiejszym chciałem uzyskać połączenie ze Słupskiem. Jestem emerytem i uważam, że powinno to być uwzględniane również w dni przedświąteczne. Nie mam pretensji do urzędniczki – pisał – ale Ministerstwo Poczty i Telekomunikacji powinno opracować nowy regulamin, uwzględniający również potrzeby ludzi, którzy odeszli na zasłużony odpoczynek. Nie jestem pieniaczem i nie uważam, że z racji wieku powinienem wszędzie być obsługiwany bez kolejki, ale dzisiaj bardzo chciałem uzyskać połączenie ze Słupskiem, gdzie urodziła mi się wnuczka, więc powód chyba miałem. A poza tym, będąc emerytem nie dysponuję finansami, które pozwoliłyby na kosztowne podróże tradycyjnymi środkami lokomocji i właśnie dlatego chciałem połączyć się ze Słupskiem i teleportować się tam. Po to przecież istnieją usługi telekomunikacyjne, prawda? Pozostaję w nadziei, że zostaną przedsięwzięte odpowiednie kroki, by tego typu sytuacje nie męczyły więcej ludzi.

Henryk Saniewski
Wrocław, 23 maja 2091 r.

■

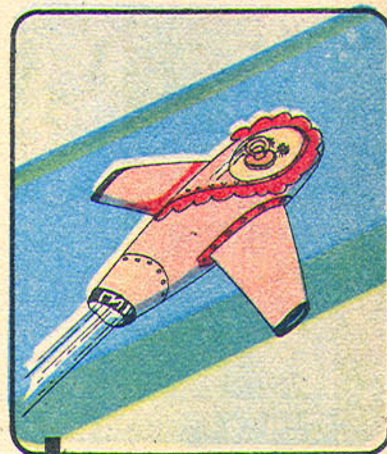


NIEPEWNOŚĆ

Andrzej Drzewiński

Mok z szybkością równą połowie prędkości światła, zbliżał się do jakiegoś układu słonecznego. Kosmos był idealnie czarny, lecz bynajmniej nie pusty. Nieskończoność kul ognistych trwała w przestrzeni, dzieląc się ciepłem z planetami, kometami i pyłem kosmicznym. Bąble żaru tkwiły zatrzymane w kadrze, niczym rój piłeczek ciśniętych ręką olbrzyma. Niewiarygodne odległości zlewały je w gejzery białej mgły, kryjącej nieprzebrane bogactwo żywych istot. Kosmos nie był ani pusty, ani zimny, ani martwy. Mok rozwinął swoje ciało i czuł bicie serca Kosmosu, płynące przez próżnie, gdzieś zza chmur pyłu. Był swobodny i szczęśliwy, ale coś tkwiło zadrą w jego umyśle. Był istotą wieczną, przemierzającą od niepamiętnych czasów wszechświaty i gromadzącą swą olbrzymią wiedzę. Mimo to nie pamiętał stworzeń, których kres ewolucyjny stanowił. To było tak dawno... Światy, które oglądał były różne: dobre i złe. Często zniechęcony beznadziejnością któregoś z nich, rzucał się w wir „czarnej dziury" przechodząc w inny świat. Czasami wychodził na tym dobrze, a czasami źle. Ostatnio szczęście przestało mu sprzyjać. Trafiał na wszechświaty przesiąknięte bólem i gniewem, a jeżeli było inaczej, to okazywało się, że w danym świecie już kiedyś gościł. Wyrzucony, potężniejszym niż zazwyczaj, wirem czasoprzestrzeni wpadł w ten wszechświat i od razu poczuł mocne tętno Kosmosu. To jeszcze nic nie znaczyło, gdyż podłość jest tak samo żywa, jak prawość. Musiał się przekonać. Wystarczyło znaleźć jakieś życie i przyjrzeć się jemu. Świat nie kłamie: wystarczy jedno jego słowo, aby wiedzieć, co napotkał. Mocniejsze tętno bez trudu wskazało mu drogę do układu słonecznego i do zielonej planety, trzeciej od Słońca. Zwinął ciało i przeciął welon atmosfery. Zieleń drzew zachwyciła go, gdyż jego rasa nade wszystko ceniła piękno. Potem przeleciał nad miastem, zdziwiony jego formą i spoczął tuż za gmachami wśród zieleni. Zadumał się, lecz już po chwili przybrał postać małej kropelki wody zaczepionej na jednym z liści. Tak ukryty, miał zamiar czekać na jakieś zdarzenie, bądź zjawisko, które rzuci światło na jego problem. Z doświadczenia wiedział, że miejsca obserwacji nie należy wybierać, polecając się ślepemu trafowi. Ale, gdy tylko rozszerzył swoją percepcję, leżące w zaroślach ciało momentalnie zwróciło jego uwagę. Zaintrygowany przeniósł się na drzewo, pod którym spoczywało. Zajrzał w głąb tego ciała i głęboko się zasmucił. Ale bynajmniej nie dlatego, że odkrył przyczynę śmierci tej istoty. To co dzierżyła w ręce, wyglądało na prymitywną broń, zdolną wysyłać z dużą prędkością małe bryłki metalu. Jedna z nich przebiła istocie szereg ważnych narządów, uniemożliwiając jej dalszą egzystencję. Najsmutniejsze było to, że istota sama spowodowała swój zgon. To było straszne, gdyż świat ten wyglądał na bezlitosny. Mok postanowił jednak czekać. Krąg Słońca majestatycznie zsunął się za widnokrąg. Mijał czas. Przez krótką chwilę z ziemi i liści odrywały się krople wody, ulatując ku chmurom. Ale deszcz był tylko przelotny. Jeszcze kilka liści zdążyło, dostojnie kołując, wrócić na drzewo, zanim pojawiły się istoty. Mok uważnie analizował, gdyż teraz wszystko miało się wyjaśnić. Istoty jechały pojazdem mechanicznym o opływowych kształtach, oświetlając drogę za sobą. Zatrzymały się koło leżącego ciała. Mok obserwował ich niepokojący sposób poruszania się. Najwyższa z istot wyjęła zza paska przedmiot podobny do broni jaką miał leżący osobnik. Reszta tubylców siedziała w pojeździe wciągając z powietrza dym i wdmuchując go w krótkie, białe pałeczki. Istota z bronią skierowała ją w stronę leżącego ciała. I nagle, nieznana Mokowi siła wyciągnęła z martwego osobnika kulkę metalu i wraz z hukiem i dymem, wessała ją w swój otwór. Tkanki tamtego zasklepiły się. Mok cały drżał ze szczęścia, gdyż ozdrowiały tubylec gwałtownie wstał. Chyba będąc pod wpływem szoku, trochę się szamotał, ale już po chwili szybko schował broń i uspokoił się. Druga istota również wsunęła swój przedmiot pod pachę. Jeszcze moment, a osobnicy wracali objęci do pojazdu. Siedzący w nim cofają twarze od szyb i wciskają się głębiej w siedzenia. Wolno ruszają, znów oświetlając drogę za sobą. Światła reflektorów giną w meandrach leśnej ścieżki. Roziskrzony Mok spojrzał pod siebie. Ani śladu czyjejkolwiek obecności. Cisza, spokój. Serce Kosmosu bije teraz szczególnie mocno. Mok odrywa się od liścia i wirując, szczęśliwy pnie się w górę ku gwiazdom. Jeszcze tylko na mgnienie oka zatrzymuje się nad miastem, gdzie teraz zapalają się małe punkciki świateł. Czuje wdzięczność dla istot, które przekonały go do tego świata. Świata, w którym nieszczęśliwym nie pozwala się umierać. Promienistą smugą wbija się w czerń Kosmosu, aby poznać, jak najszybciej, inne życia tego wszechświata. A tu? Tu może jeszcze wróci: z wdzięczności.

■



LOT

Tomasz Matkowski

Samolot rozleciał się w powietrzu. Spadałem. Zetknięcie z mroźnym powietrzem przeraziło mnie. Jeszcze przed chwilą tkwiłem w ciepłym brzuchu maszyny, siedziałem wygodnie w fotelu, jadłem obiad podany na tacy. Teraz to wszystko zniknęło. Dookoła wirowały poszarpane blachy, powyginane pręty, deszcz szkła; kawałki jedzenia, gumowych uszczelek, kabli; strzępy obić, wykładzin, ubrań i ludzi. Niektórzy, tak jak ja, jeszcze żyli.

Początkowe przerażenie powoli mijało. Obok spadała dziewczyna. Udało mi się chwycić ją za rękę i przyciągnąć. Pocieszałem ją, jak umiałem. Po pewnym czasie przestała płakać, a nawet się uśmiechnęła. Z resztek fotelowych obić uwiliśmy gniazdko, w którym jest o wiele cieplej i przytulniej niż na dworze. Przyzwyczajaliśmy się do nowej sytuacji. Z czasem zapomnieliśmy o tym, że lecimy. Zdawało nam się, że stoimy w miejscu i że tak już zostanie. O tym, że pędzimy z zawrotną szybkością, przypominały nam z początku przebijane z furkotem, stada ptaków i przeszywane z sykiem, lepkie, wilgotne chmury. Z czasem jednak przestaliśmy na nie zwracać uwagę.

Będziemy mieli dzidziusia. Jeśli to dziewczynka, wydamy ją za synka pilota i stewardesy, szybujących w pobliżu.

Staramy się lecieć na plecach, twarzami do góry, i jak najrzadziej spoglądać w dół, gdzie na zbliżającej się ziemi można już rozróżnić coraz więcej szczegółów. ■

Literatura science fiction wykorzystuje wiele wątków baśniowych, mitologicznych, a nawet biblijnych. Do najprostszych elementów pochodzenia baśniowego należą imiona bohaterów, nazwy przedmiotów, miejscowości, a także rekwizyty, jak latający dywan przemianowany na statek kosmiczny, czy czarodziejska różdżka zastąpiona przez uniwersalnego robota. Elementem baśniowego pochodzenia są również mity, w różny sposób wykorzystywane w fantastyce naukowej. Zazwyczaj są one jedynie punktem wyjścia do przedstawienia jakiejś historii, ale zdarzają się mity przeniesione na teren SF niemal w całości. Popularne jest także tworzenie nowych wersji dawnych mitów. Ukoronowaniem „baśniowości" w literaturze SF jest styl, czy raczej gatunek noszący termin „fantasy". Ponieważ trudno znaleźć równie lapidarny polski odpowiednik tej nazwy, będę się posługiwać terminem „współczesne baśnie", a słuszność i adekwatność tego określenia postaram się udowodnić.

Baśń a fantasy – podobieństwa i rożnice

Grażyna Lasoń

I

Trudno jest czasem odróżnić SF od fantasy, gdyż utwory często oscylują między jednym i drugim, a są i takie, które elementy tych dwóch gatunków świadomie łączą. Stanisław Lem w swej „Fantastyce i Futurologii" tak je klasyfikuje: *„jeśli tłumaczyć zajścia niezwykłe sposobem empirycznym – uzyskamy science fiction, jeśli „spirytystycznie", a raczej „kontrempirycznie" – mieć będziemy horror story, czy fantasy"*[1].

Dalej, autor wyprowadzając rodowód fantasy z baśni, określa na czym polega konwencja gatunkowa tej ostatniej. Otóż baśń tworzy zamknięty świat, rządzący się swoimi prawami. Nic w nim nie dzieje się bez przyczyny, a bardzo dużo zależy od woli bohaterów. Tworzy więc swoisty kodeks nakazów i zakazów, którego naczelną zasadą jest, że Dobro musi być nagrodzone, a Zło ukarane. A więc, jeśli Szewczyk Dratewka zabija smoka, to dlatego, że smok najpierw pożera ludzi. Zabić go może natomiast dzięki sprytowi i odwadze. I, jak pisze Lem, *„nie bywa w baśni tak, żeby smok zjadł w końcu rycerza i aby stało się tak jeszcze dlatego, ponieważ rycerz pośliznął się na łupinie banana"*[2].

Następnie: baśń posiada z góry określone zakończenie – konwencja wymaga, by kończyła się dobrze. A jeśli dzieje się coś złego, to zło jest jedynie opóźnieniem dobrego końca. Los baśniowych bohaterów jest niejako zdeterminowany: jeśli byli dobrzy – zostaną nagrodzeni, jeśli źli – ukarani. Każda postać ma tu swoją rolę do odegrania – dżiny i dobre wróżki spełniają każde życzenie, czarodzieje za dotknięciem czarodziejskiej różdżki budują pałace i nie zdarza się, *„żeby się dżin spóźnił, bo się czar popsuł"*[3] lub żeby się różdżka połamała.

Świat „współczesnych baśni", jak już sama nazwa wskazuje, musi zawierać w sobie podobieństwa do dawnej baśni magicznej. Czerpie z niej więc całe zestawy rekwizytów typu: obdarzone niezwykłą mocą kamienie, ukazujące przyszłość zwierciadła itd. Z niej też pochodzą wszelkie motywy magiczne, np. uzdrawianie lub uśmiercanie mocą czarodziejskiego zaklęcia, przywoływanie sił przyrody będących na usługach bohaterów. Podobnie z doborem postaci; wszystkie czarownice, wróżki, księżniczki i królowie, a także różnego rodzaju potwory zaludniające świat fantasy same świadczą o swojej proweniencji.

II

Ale podobieństwa te sięgają jedynie „zewnętrznej" warstwy porównawczej. Gdy przyjrzymy się dokładniej obu gatunkom, dostrzeżemy duże rozbieżności. Istotna różnica między baśnią a fantasy tkwi w funkcji tych dwóch odmian literatury fantastycznej. Otóż baśń emanuje wprost dydaktyką: morał, czy to sformułowany wprost, czy niedopowiedziany jest jednym z najważniejszych elementów utworu. W fantasy nigdy natomiast ton moralizatorski nie zostaje ujawniony. Jeśli zawiera ona w ogóle jakieś elementy dydaktyzmu, to ograniczają się one do spraw natury generalnej (np. Dobro zwycięża Zło). Niechęć do moralizowania objawia się tu również w ten sposób, że nie znosi ona wszelkich aluzji do współczesności, w jakiej powstaje, nawet w postaci alegorii. Tak, jakby chciała o tej rzeczywistości zapomnieć, odciąć się od niej.

Świat fantasy jest jak gdyby odbiciem świata rzeczywistego, współczesnego, ale przetransformowanym na baśń. Nie jest to już więc nieświadome tworzenie kodeksu nakazów i zakazów ubranych w literacką szatę, ale raczej ucieczka od szarej rzeczywistości dnia dzisiejszego w Krainę Arkadii. Droga do tej krainy wiedzie przez negację naszej codzienności, a wynika to z prostej i dziecięcej może potrzeby kontaktu ze światem baśni.

Postawowa rozbieżność między baśniami „współczesnymi" a dawnymi, polega też – najogólniej mówiąc – na różnicy światopoglądu tak twórców, jak i odbiorców. Baśnie magiczne tworzone przez ludzi „pierwotnych" były fikcyjną realizacją rzeczy niemożliwych, chęcią przezwyciężenia nieubłaganych sił przyrody. Człowiek współczesny przez posiadany bagaż wiedzy naukowej, ma tak zakodowaną nieuchronność pewnych praw rządzących światem, że nie jest w stanie tworzyć już klasycznych baśni. Autentyczny światopogląd „magiczny" zastąpiony został świadomą zabawą zjawiskami, w które dziś nikt już nie wierzy, co w niczym zresztą tej zabawy nie psuje.

III

Zasygnalizowane różnice między fantasy i baśnią dotyczą problemów natury ogólnej, sprawa wymaga jednak bardziej wnikliwej analizy. Warto by było zastanowić się nad relacją „baśń a fantasy" w aspekcie czasu, przestrzeni literackiej, bohatera.

W baśni czas jest kategorią odległą, nieokreśloną. Sformułowania typu „działo się to dawno, dawno temu" oznaczają bliżej nieskonkretyzowaną przyszłość, ale każdy czytelnik zdaje sobie sprawę, że równają się one po prostu baśniowemu „nigdy". Baśń nie stara się w żaden sposób urealnić swojej opowieści, choćby przez osadzenie jej w jakimś fikcyjnym, ale konkretnym przedziale czasowym. Inaczej w fantasy. Autorzy tego gatunku albo stwarzają „alternatywne światy", współczesne naszej rzeczywistości, albo osadzają swoje opowieści w przeszłości, ale jest to zawsze przeszłość bardziej lub mniej konkretna. Znika więc wrażenie baśniowego „nigdy" – opowiadane historie dziać się bowiem mogą „zawsze".

Chyba najwięcej rozważań nad zagadnieniem czasu w fantasy może dostarczyć lektura książki będącej szczytem osiągnięć tego gatunku, „Władcy Pierścieni" J.R.R. Tolkiena. Jest to gigantycznych (1530 stron!) rozmiarów baśń, a raczej fantastyczna historia świata jakby sprzed naszej ery, świata poprzedzającego nasz, ale o ileż bardziej wartościowego. Historia walki pomiędzy Dobrem i Złem, od której wyniku zależały może kiedyś i nasze losy...

Bardzo ciekawie omawiają problem czasu w powieści Tolkiena: P. Kuncewicz i A. Zgorzelski. Andrzej Zgorzelski w „Konwencjach gatunkowych i rodzajowych w trylogii J.R.R. Tolkiena" wyodrębnia trzy kręgi czasowe powieści, a więc: czas rocznikarski, baśni i epicki. Czas baśni ma tu stosunkowo najmniejszy zasięg: nazwą tą obejmuje autor wszystkie wydarzenia opisywane w konwencji baśniowego „nigdy", np. opowieść o Aragornie i Arwenie, czyli historię tajemniczego królewicza i pięknej księżniczki elfów. Dwa pozostałe kręgi czasowe mają charakter umowny, tworzą one tło historyczne dla właściwej akcji trylogii. W ich obręb wchodzą przede wszystkim trzy „dodatki", załączone do utworu. Uściślają one wydarzenia opisywane w powieści osadzając je w konkretnym czasie, który jest zresztą liczony według specjalnego kalendarza. Dają one również wrażenie ogromnej rozpiętości czasowej, z jednej strony sięgając daleko w przeszłość, z drugiej wybiegając w przyszłość. Jednocześnie autor, broniąc się przed jakimikolwiek próbami porównywania swej opowieści do wydarzeń rzeczywistych (co, jak wspominałam, jest typowe dla fantasy), celowo chyba zaciemnia organizację czasową książki. Robi to na przykład przez wprowadzenie różnych kalendarzy dla różnych plemion, oraz przez używanie tych samych terminów dla różnych epok.

Stosowanie tych wszystkich zabiegów urealniających ma więc na celu nadanie opowiadanej historii cech autentyzmu, pozbawienie czytelnika wrażenia, że dzieje się ona „nigdy". Dzięki temu czas akcji trylogii wychodzi poza obręb „zamkniętego" czasu baśni, który ma swój początek i koniec w jednowątkowej zazwyczaj opowieści. Na czas akcji „Władcy Pierścieni" nie składają się bowiem poszczególne, fikcyjne zdarzenia, ale cała nieistniejąca historia.

Właśnie w wymiarze procesów historii, przemijania, traktuje problematykę powieści Piotr Kuncewicz. Pisze on w swej książce „Samotni wobec historii", że *„»Władca Pierścieni« jest przede*

wszystkim książka o historii, o presji historii na rzeczywistość. A dzień dzisiejszy, każdy dzień dzisiejszy jest palimpsestem, gdzie spod nowych liter wygląda pismo spłowiałe, ale jeszcze czytelne[4]

IV

Kolejnym zagadnieniem, które zamierzam omówić jest przestrzeń literacka utworu. Bohater baśni pokonywał na swej drodze zaczarowane przeszkody, ale z pokonaniem odcinków przestrzeni (nawet dużych) nie miał nigdy kłopotów. Dla bohatera fantasy często poważnym problemem staje się pokonanie jakiejś odległości, gdyż nie zawsze przybywają mu na pomoc latające dywany, czy inne rekwizyty. Pojawiają się przed nim nowe, niespotykane przeszkody, niekoniecznie, jak w baśni, zaczarowane. Czasami wynikają one z naturalnego ukształtowania przestrzeni. Bohaterka „Świata czarownic" Andre Norton, uciekając przed pogonią pokonuje niemały szmat drogi, choć jest przecież czarownicą i – myśląc kategoriami baśniowymi – mogłaby dosiąść miotły. Także bohaterów trylogii Tolkiena przeraża nie tylko zły czar Pierścienia, ale i trudności w wędrówce wynikające ze względów naturalnych (góry, bagna, śnieg, mgła, zimno). Przestrzeń funkcjonuje więc w fantasy jako samodzielny, konstrukcyjny element utworu. Jest to sprzeczne z konwencją baśni, w której była ona podporządkowana poczynaniom bohaterów.

Miejsce akcji w drodze od baśni do fantasy również uległo dużym przemianom. Baśniowe opowieści działy się „za siedmioma morzami, za siedmioma górami", czyli inaczej mówiąc – nigdzie. W fantasy akcja rozgrywa się w nie istniejącym, ale konkretnym miejscu. Mogą nim być inne planety (widoczny jest tu wpływ science fiction), jak u U. Le Guin, na przykład w opowiadaniach „Naszyjnik Semley", czy „Królowa Zimy" z tomu „Wszystkie strony świata", albo też alternatywne światy, jak u A. Norton w „Świecie czarownic". I znów najciekawiej chyba ten problem rozwiązał J.R.R. Tolkien. Miejsce akcji umieszczone jest tu gdzieś na Ziemi, ale to „gdzieś" nie ma żadnego odniesienia do jakiegokolwiek miejsca na mapie kuli ziemskiej, tak jak czas nie miał odniesienia do jakiegokolwiek kalendarza. Choć są przecież i kalendarze i mapy bardzo dokładne. Mapy oddają, tak jak kroniki, jedynie fragment przedstawionego świata, ich dokładność zmniejsza się, gdy zbliżamy się do brzegów. Tak, jakby autor chciał skupić uwagę czytelnika na wycinku, w obrębie którego dzieje się akurat akcja powieści.

Inaczej też kształtuje się w obu gatunkach problem bohatera. W baśni dobre wróżki i czarodzieje, jak wspominałam z a w s z e, spełniają życzenia, nie ma dla nich rzeczy niemożliwych, w fantasy zdarzają się wróżki dobre, ale bezsilne wobec zła. Dlatego też świat „baśni współczesnych" bliższy jest rzeczywistości. Coraz częściej wkrada się weń przypadek, już nie jako „opóźniacz" dobrego końca, ale jako wyraz bezsilności bohatera, nawet potężnego czarodzieja. Świetnym przykładem może być opowiadanie U. Le Guin „Magiczne słowo". Jest to historia walki dwóch czarodziejów pochodzących z Ziemiomorza – równoległego świata. Młody czarodziej, Festin, stara się wyzwolić z niewoli przebiegłego Volla. Przekształcą się w złotą obrączkę, w mgiełkę, w pstrąga, ale żadne próby nie udają się, za każdym razem zostaje schwytany. Jest osaczony i bezsilny, ale zostaje mu ostatnia „szansa" – wypowiada magiczne słowo, którego każdy czarodziej może użyć tylko raz i które jest jednocześnie wyrokiem śmierci.



A. Kozłowska-Sonik

Opowiadanie to jest bardzo reprezentatywne dla fantasy. Mówi o czarach, ale także o bezsilności iście ludzkiej. Bezsilności takiej, że jedyną wolnością wydaje się wypowiedzenie magicznego słowa i to nie tylko czarodziejom. Bohater baśni nigdy nie przegrywał dlatego, że jest za słaby, najwyżej na skutek czarów. Bohater fantasy jest pod tym względem bardziej ludzki.

Czarodziejki ze „Świata czarownic" dysponują wprawdzie Mocą, ale ich możliwości są ograniczone. Muszą więc liczyć same na siebie, a nawet... na pomoc człowieka. Hobbici Tolkiena martwią się nie tylko o wypełnienie swej Misji, ale także i o to, co będzie dziś na kolację. Ten mały, skrzętny narodek w ogóle bardziej przypomina zapobiegliwych Anglików, niż dzielnych rycerzy z baśni. Ale nawet ci ostatni, jeżeli występują w fantasy, to w nieco zmienionej postaci. Zostają tu jakby „odbrązowieni". Czasami nawet najlepszym zdarza się zejść z drogi cnoty (przykładem może być Boromir z „Władcy Pierścieni").

Zanika więc czarno-biała problematyka baśni, ale jej miejsce zajmuje powoli coś, co jest nam dobrze znane – szarość. Zdają się o tym wiedzieć bohaterowie trylogii Tolkiena, jakby mieli świadomość tego, że wraz z upadkiem Zła zbędne będzie również Dobro. Zginie Sauron, ale wraz z nim zginie też epoka elfów, krasnoludów i hobbitów. Zostanie już tylko człowiek. Elfy wiedzą, jak pisze Kuncewicz, że *„ich przygody są tylko odcinkiem długiego pasma wydarzeń, że są tylko urywkiem dziejów, które jeszcze nie zmierzają do końca. Czują więc przeszłość i przyszłość, traktują siebie samych jak legendę, jak opowieść z dawnych czasów"*[5]

Jest więc „Władca Pierścieni" historią powolnego upadku baśni jako gatunku. Jego „niezwykli" bohaterowie współistnieją tu jeszcze z człowiekiem, ale wiedzą, że zostaną niedługo przez niego wyparci. O tym, że bohaterowie „współczesnych baśni" są bardziej ludzcy świadczyć może jeszcze jeden fakt. Otóż elfy u Tolkiena zdają sobie sprawę z własnej słabości. Nie chcą wziąć Misji zniszczenia Pierścienia, będącego symbolem władzy, obawiając się, że mogą go sobie po prostu przywłaszczyć. Także czarodzieje nie są tu zawsze wszechmocni, czasem ponoszą porażki (jak Gandalf).

Postaci fantasy to coraz częściej ludzie „przegrani", zdegenerowani, co nie jest zgodne z konwencją baśni. Przykładem może być twórczość Petera S. Beagle'a, awanturniczy Conan R.E. Howarda, czy Simon Tregarth, jedna z głównych postaci wspomnianego już „Świata czarownic". Przedostaje się on do mrocznego, pełnego tajemnic i magii świata, rządzonego przez czarodziejki, z naszej rzeczywistości, w której był, cóż tu ukrywać... bohaterem raczej negatywnym. Tutaj ma natomiast szansę stać się człowiekiem wartościowym, odrodzić się w nowej postaci. Tak, jakby autorka chciała zasugerować, że niektórzy dopiero w baśni odkrywają swe prawdziwe „ja".

V

Jest jeszcze jedna rzecz, charakterystyczna dla fantasy. Otóż raczej nie kreuje ona bohatera zindywidualizowanego, choć wszystkie pojawiające się postaci są na swój sposób wybitne. Nie przedstawia życia jednostki, a jeśli już, to jednostka ta zawsze jest uwikłana w problemy natury ogólnej, generalnej, jak np. walka Dobra ze Złem. Temat ten, szczególnie ulubiony przez fantasy wyrasta niewątpliwie z konwencji baśni. Jednak nie sama baśń budowała podwaliny tego gatunku.

Na podwaliny jego konwencji składały się także regionalne mitologie. Ślad tego znajdujemy chyba we wszystkich utworach, czy to u U. Le Guin, u A. Norton, czy u Tolkiena. Najczęściej są wykorzystywane podania irlandzkie, germańskie i celtyckie. Sam autor „Władcy Pierścieni", z wykształcenia filolog, skupiony był wraz z innymi naukowcami w kółku które nazwali „The Inklings", a w którym zajmowali się właśnie brytyjską tradycją tego typu literatury. Zresztą trylogia również niesie w sobie całą galerię postaci, rekwizytów i motywów zaczerpniętych prawdopodobnie z legend dawnych Celtów. I tak na przykład demoniczny Sauron, którego oko nieustannie poszukuje Powiernika Pierścienia może być wzorowany na celtyckim bogu o imieniu Balor, którego jednookie spojrzenie zdolne było zniszczyć wszystko, a do podniesienia powieki trzeba było siły czterech ludzi.

Motyw odpływania za Morze również wywodzi się z legend Celtów. Morze jako nieokiełznana potęga stanowiło naturalną przeszkodę, za którą znajdowały się Wyspy Szczęśliwe. Była to Kraina Życia i Śmierci, skąd przychodzili ludzie, aby urodzić się w cielesnej postaci i dokąd odchodzili, gdy przemijały ich dni. Tolkien, znawca języka staroangielskiego jest również twórcą fantastycznej mitologii, nazwanej przez autora „Simarillion". Dzieło to, pisane przez wiele lat, dokończył po śmierci pisarza jego syn.

W „Świecie czarownic" z kolei autorka przywołuje echa dawnych legend o Królu Arturze, z którego czasów zachował się rzekomo jeden z kamieni służących za siedzenia przy Okrągłym Stole, o nazwie Siege Perilous. Kamień ów pomaga bohaterowi przenieść się w obręb innej rzeczywistości. Temat króla Artura jest zresztą motywem często powracającym w literaturze (wykorzystał go np. w swych opowieściach inny, współczesny Tolkienowi brytyjski pisarz Terence Manbury White).

Czasy sprzed upadku legendarnej Atlantydy wskrzesza na kartach swej opowieści R.E. Ho-

Grażyna LASOŃ

jest absolwentka Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego i od wielu lat interesuje się problematyką „fantasy". Artykuł, który zamieszczamy na łamach naszego miesięcznika, stanowi fragment jej pracy magisterskiej **„Funkcjonowanie wątków baśniowych w literaturze SF"** pisanej w roku 1983 pod kierunkiem prof. Jana Trzynadlowskiego.

A.N.

ward. Jego bohater Conan to typ awanturnika walczącego w słusznej sprawie, oczywiście w otoczeniu potworów i demonów. Po tragicznej śmierci autora, przygody Conana kontynuowali Lin Carter i L. Spraque De Camp. Powieść ta, pisana w latach międzywojennych, otworzyła nowy rozdział w powstającej dopiero fantasy. Nie był to niestety rozdział chlubny w krótkiej historii tego gatunku. Nowa odmiana szybko się zdegenerowała, niejednokrotnie wulgaryzowana przez autorów, liczących na poklask szerokich rzesz czytelników.

VI

Fantasy to gatunek bardzo młody, nie w pełni jeszcze skrystalizowany, dlatego trudno tu mówić o ścisłych kanonach, czy wykształconej konwencji. Poza niewątpliwymi wpływami baśni, z której wyrasta i różnych mitologii nie można pominąć także wpływu SF. Widoczny jest on w wielu utworach, np. w omawianym już „Świecie czarownic", gdzie magia krzyżuje się co chwila z wynalazkami technicznymi, zaczerpniętymi niewątpliwie z fantastyki naukowej, czy w opowiadaniach U. Le Guin, której bohaterki dosiadają nie tylko wiatronogów, ale podróżują także na statkach kosmicznych („Naszyjnik Semley").

Myślę, że jakkolwiek by na fantasy patrzeć i jakichkolwiek podobieństw by się w niej doszukiwać, jedno jest pewne: nie wystarcza jej już produkowanie coraz to nowych fenomenów magicznych i zaludnienie kart powieści przerażającymi potworami. Tworzy ona po prostu nowe, fikcyjne światy.

Piotr Kuncewicz we wspomnianej książce „Samotni wobec historii" pisał, że autor „Władcy Pierścieni": *„nie ku baśni, ani epopei zmierzał. One były jedynie środkami. Postanowił stworzyć świat – obcy, a jednak prawdziwy, baśniowy i zarazem ściśle konkretny"*[6].

Myślę, że słowa te można odnieść do wszystkich „współczesnych baśni".

Grażyna Lasoń

Przypisy

1. St. Lem: *„Fantastyka i futurologia"*. Kraków 1970, T. 1, s. 34.
2. Tamże, s. 66.
3. Tamże, s. 66.
4. P. Kuncewicz: *Tolkien, czyli świat*. (w) „Samotni wobec historii", Warszawa 1967, s. 137.
5. Tamże, s. 137.
6. Tamże, s. 135-136.

Bibliografia

– Kuncewicz Piotr: *Tolkien, czyli świat*. (w) „Samotni wobec historii", Warszawa 1967.
– Le Guin Ursula: *Wszystkie strony świata*. Warszawa 1980.
– Lem Stanisław: *Fantastyka i futurologia*. Kraków 1970.
– Norton André: *Świat czarownic*. (w) „Fantastyka" nr 9, 1983.
– Tolkien John R.R.: *Władca Pierścieni*. Warszawa 1981.
– Wydmuch Marek: *Goście w raju*. (w) „Kultura" nr 9, 1979.
– Zgorzelski Andrzej: *Konwencje rodzajowe i gatunkowe w trylogii Tolkiena*. (w) „Kreacje świata sensów. Szkice o współczesnej powieści angielskiej", Łódź 1975.

1956 (dokończenie)

183. [PLATOV Leonid:] *Kraina Siedmiu Traw*. Tłum. [z ros.] Zofia i Stanisław Głowiakowie. Posłowie: B. Dołgich i A. Gapiejew. Warszawa. Iskry. 8° ss. 441, nlb. 3. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: L. Płatow.
184. RUTH-BUCZKOWSKI Marian: *Złota trzcina*. Warszawa. PAX. 16° ss. 137, nlb. 2. 5 000 egz.
185. [TOLSTOJ Alëksěj]: *Aelita*. Tłum. [z ros.] Alicja Stern. Warszawa. Iskry. 16° ss. 191, nlb. 1. 20 000 egz. Na k. tyt. aut.: Aleksy Tołstoj.
186. UMIŃSKI Władysław: *Zaziemskie światy*. Warszawa 1948. [druk ukończono w r. 1956]. Gebethner i Wolff. 8° ss. 360, nlb. 2.
187. WELLS Herbert George: *Opowieści fantastyczne*. Wybór: Władysław Kopaliński. Tłum. z ang. Eugenia Żmijewska [i in.]. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 561, nlb. 3. 30 000 egz.
188. ŻUŁAWSKI Juliusz: *Na srebrnym globie. Rękopis z Księżyca*. Przedm. Stanisław Lem. Posłowie K. Kordylewski. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 340, nlb. 4. 40 000 egz.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

189. MICHALSKA Marta: *Tajemnice górskiej groty*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 202, nlb. 1. 10 000 egz.
190. UMIŃSKI Władysław: *Na drugą planetę*. Wyd. II [w notce mylnie I] powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 194, nlb. 2. 30 000 egz.
191. UMIŃSKI Władysław: *Samolotem dookoła świata*. Wyd. I powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 361, nlb. 2. 30 000 egz.
UMIŃSKI W.: *Zaziemskie...* – zob. ASF.
192. UNKIEWICZ Tadeusz: *Podróże mikrokosmiczne prof. Rembowskiego*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 130, nlb. 2. 10 000 egz.

Utopia (U):

193. [BUERGER Gotfried August]: *Przygody Muenchhausena*. Tłum. [z niem.] Hanna Januszewska. Przedm. Zdzisław Rytko. Warszawa. Nasza Księgarnia. 4° ss. 126, nlb. 2. 20 000 egz. Utopia /CJF. – Na k. tyt. aut.: Godfryd August Burger.
194. [BUERGER Gotfried August]: *Przygody Muenchhausena*. Tłum. [z niem.] Hanna Januszewska. Przedm. Zdzisław Rytko [właść. Rytko]. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 142, nlb. 2. err. 80 000 egz. Utopia/CJF. – Na k. tyt. aut.: Gotfryd August Burger.
ČAPEK K.: *Biała zaraza*. W: *Dramaty*. – zob. ASF.
195. CYRANO de BERGERAC [Savinien de]: *Tamten świat*. Tłum. [z franc.] Julian Rogoziński. Wstęp i koment.: Rachaniel Brandwein. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 396, nlb. 2. 5000 eg.:. Na k. tyt. brak imienia aut.
196. FRANCE Anatol[e]: *Wyspa Pingwinów*. Wyd. VI [w notce mylnie I] powoj. Tłum. z franc. Jan Sten. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 306, nlb. 5. 30 000 egz.
197. GUTKOWSKI Wojciech: *Podróż do Kalopei, do kraju najszczęśliwszego na świecie, gdzie bez pieniędzy i bez własności, bogactwo, przemysł, światło i dobro wszystkich mienie jak najwięcej wygórowało i gdzie tom drugi historii życia Bolesława II, króla polskiego, znajduje się*. Oprac., wstęp i koment. Zygmunt Gross. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 276, nlb. 4, tabl. 6, portr. 3. 2 000 egz.
198. KRASICKI Ignacy: *Historia*. Oprac. i wstęp Mieczysław Klimowicz. Wyd. I w tym oprac. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 213, nlb. 3. tabl. 16. 5 000 egz.
199. [MAÂKOVSKIJ Vladimir]: *Łaźnia. Dramat w 6 aktach z cyrkiem i fajerwerkiem*. Tłum. [z ros.] Artur Sandauer. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 77, nlb. 3. 5 000 egz. Na k. tyt. aut.: Włodzimierz Majakowski.
200. [MAÂKOVSKIJ Vladimir]: *Pluskwa. Komedia feeryczna w 9 obrazach*. Tłum. z ros. Seweryn Pollak. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 82, nlb. 2. 2 200 egz. Na k. tyt. aut.: Włodzimierz Majakowski.
201. POE Edgar Allan: *Opowiadania*. T. I-II. Wybór i wstęp Władysław Kopaliński. Tłum. z ang. t. I Stanisław Wyrzykowski, t. II Marian Stemar [i in.]. Warszawa. Czytelnik. 16° T. I ss. 470, nlb. 2; T. II ss. 320, nlb. 3. 30 000 egz. Większość opow. fantast. – Utopia /Weird/ AF.
202. SWIFT Jonat[h]an: *Podróże Guliwera*. Tłum. [z ang.] Anonim z roku 1794. Oprac. i wstęp Jan Kott. Wyd. V [w notce mylnie I]. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 379, nlb. 1, tabl. 4, portr. 20 000 egz.
203. VERCORS: *Zwierzęta-niezwierzęta*. Tłum. z franc. Julian Rogoziński. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 234, nlb. 1. 20 000 egz. Vercors – pseudonim, właśc. nazw. aut.: Jean BRULLER.

Fantazja dla dorosłych (AF):

204. BALZAC [Honoré de]: *Jaszczur*. Tłum. z franc. Tadeusz Żeleński Boy. Wyd. III [w notce mylnie I] powoj. Czytelnik. Warszawa. 8° ss. 238, nlb. 2. 15 000 egz. *Komedia ludzka* – Na k. tyt. aut.: Honoriusz Balzac.
205. COSTER [Charles Theodore Henri de]: *Legenda, jako też bohaterskie, wesołe i sławne przygody Dyla Sowizdrzała i Jagnuszka Poczciwca w krajach flamandzkich i gdzie indziej*. Tłum. [z franc.] Julian Rogoziński. Wstęp R[omain] Rolland – tłum. Hanna Szumańska-Grossowa. Posłowie Theum de Vries – tłum. Czesław Przymusiński. Warszawa. 1955 [antydat.] Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 635, nlb. 4. 35 000 egz. Na k. tyt. aut.: Karol de Coster.
POE E.A.: *Opowiadania*. – zob. Utopia.

Horror (W):

ČAPEK K.: *Matka*. W: *Dramaty*. – zob. ASF.
POE E.A.: *Opowiadania*. – zob. Utopia.

„Zagadki nauki" (MS):

206. [BONČKOVSKIJ V.]: *Budowa wnętrza Ziemi*. Tłum. z ros. Wiesława Rączkowska i Halina Pabiani. Warszawa. 1955 [antydat.] Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 236, nlb. 1, mapa. 1 600 egz. Monografie Popularnonaukowe. Fizyka. – Na k. tyt. aut.: W. Bonczkowski.
207. [TICHOV G.]: *Astrobiologia*. Tłum. z ros. Michał Kamiński. Przedm.: Eugeniusz Rybka. Posłowie V. Alpatov. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 76, nlb. 3. tabl. 8 + 1 luźna. 6 000 egz. Na k. tyt. aut.: G. Tichow.

cdn.
Przygotował **Jacek Izworski**

ARKADIA

Współczesna krytyka literacka nie lubi metod biografistycznych, szanujący się recenzenci unikają odwołań do tego, co wiedzą o pisarzach prywatnie. Nie potrafię niestety utrzymać się w roli nowoczesnego krytyka. Zimą 1977/78 podczas jednego ze spotkań organizowanych przez OKM-FiSF widziałem Czesława Chruszczewskiego opowiadającego publiczności o dzieciach – wszystkie one, twierdził pisarz, są dobre i niewinne. Słuchałem wywodu ze wzruszeniem i rozbawieniem; to co pisarz mówił wyglądało jak motto do jego twórczości. Przy czym rolę dzieci gra w dziele Chruszczewskiego cała ludzkość.

– A na przykład „Władca much"? – zapytał nagle ktoś z sali. – A ci diaboliczni chłopcy, których pokazał Golding?

Chruszczewski nie podjął tematu. Powtórzył raz jeszcze swój sąd. Naiwny, dobrotliwy, trochę uparty – takim go zapamiętałem i teraz po latach, czytając czwarte wydanie „Fenomenu Kosmosu" nie potrafię tamtego wrażenia zapomnieć.

Żyjemy w wieku powszechnej szczęśliwości. Ludzkość otrząsnęła z siebie zło, zapanowała nad przestrzenią i materią. Prace fizyczne wykonują maszyny. Niestety, Kobiety poczuły się znudzone Mężczyznami, którzy tylko myślą, wynajdując wciąż nowe mechanizmy, nie mając za to w sobie nic z herosów. Trzeba więc zorganizować Wielką Kosmiczną Wyprawę, dzięki której mężczyźni zmężnieją, a przy okazji Ludzkość spotka Inną Cywilizację. Dowódcą wyprawy będzie człowiek-ideał wymodelowany medyczno-genetycznie – istny cud. Wyprawa poleci w przestrzeń i przeżyje mnóstwo barwnych, choć nierzeczywistych przygód. Gdzieś w dalekim tle będzie trochę strat, trochę krwi, ale czytelnik tego nie zobaczy. Na pierwszym planie nieustannie bryluje dowództwo wyprawy, dialogujące wzniośle a naiwnie i spijające sobie miód z dzióbków. Dowództwo myśli za wszystkich i o niczym nie zapomina. Jak zapomni, to natychmiast sobie przypomina, wygłasza samokrytykę, a błąd naprawia. Podwładnych prawie nie widzimy. Napotykamy za to w końcu braci w rozumie, są to tzw. Rozumniejsi – dziwnie do nas podobni, dziwnie człekokształtni. Najpierw trochę kręcą, próbują zastawić na Ziemian pułapki, ale w końcu, chcąc nie chcąc, muszą nam złożyć hołd pełen zachwytu. Ludzkość – tytułowy f e n o m e n – jest zbyt l u d z k a, żeby jej nie pokochać i nie podziwiać. Koniec powieści.

Streszczam nieco złośliwie, trudno, naprawdę jest to lektura w najwyższym stopniu irytująca. Widać wyraźnie, że autor pielęgnował złudzenia, które do nas nie mają dostępu. Wszystkie niemal postaci ożywia zadziwiające moralne perpetuum mobile. Mamy wprost ochotę wejść między karty powieści i pobić bohaterów komunikujących nam co kilkanaście stron, z jakimi to odwiecznymi bolączkami (i technologicznymi, i moralnymi) ludzie zdołali się uporać – i jak trzeba teraz im tłumaczyć, co to jest np. wojna, albo lęk człowieka przed człowiekiem, albo diabeł, albo wiara w Boga.

Ale wcale niełatwo byłoby dotknąć ich bądź spojrzeć im w oczy. Bo oto – a jest to kolejna cecha pisarstwa Chruszczewskiego – nie ma ich właściwie. To znaczy znamy głosy postaci, wysłuchujemy ich monologów i bon motów, nie wiemy jak wyglądają. Wcale zresztą nie mam pewności, czy to zarzut; pod tym względem świat przedstawiony przez Chruszczewskiego wygląda bardzo interesująco, jest to właściwie przestrzeń intelektualna, baśniowa i mityczna, na pewno nierzeczywista. Możliwe jest w niej przemawianie wielu osób na raz, obserwowanie wydarzeń w paru punktach i czasach jednocześnie, komunikowanie sobie stanów psychicznych i poglądów z głowy do głowy. Te czasoprzestrzenne i mentalne zawirowania osiągają szczyt podczas kontaktu ludzi z kosmiczną rasą Rozumniejszych. Chwilami są to atrakcje pokrewne doznaniom po narkotykach i częściowo tym pokazanym przez Tarkowskiego w filmie „Stalker". Tak więc, skręcając się ze złości na dydaktyczne rezonerstwo i dziecinną chwilami ckliwość Chruszczewskiego, nie można autorowi odmówić warsztatowej zręczności oraz daru budowy świata w sposób charakterystyczny i własny.

Krytycy wyprowadzają to pisarstwo z tradycji oświeceniowego racjonalizmu, z bajki filozoficznej. Ta diagnoza wiele wyjaśnia. W Oświeceniu budowano Świątynie Rozumu; „Fenomen Kosmosu" jest taką literacką kapliczką wybudowaną możliwościom, bo przecież nie dokonaniom, człowieczym. Czesław Chruszczewski (przepraszam, ale znów będzie biografizm), człowiek, który działał w konspiracji, a po wojnie pracował jako dziennikarz – widział więc wiele – wyrzeka się jakby swych ponurych doświadczeń i śpiewa hymn na cześć tego, co potencjalne i radosne. Decyzja zadziwiająca, lecz godna szacunku i prawdopodobnie (uwaga biografizm!) głęboko zakorzeniona w osobowości pisarza. Przy końcu powieści narrator Kronikarz Wyprawy, stwierdza, że doszło do kłótni między kosmonautami, ale on jej nie opisze. Nie ma do tego głowy, nie uważa tego za konieczne? Czyż ten Kronikarz nie przypomina państwu samego Chruszczewskiego, który nie chce, nie może, nie będzie dyskutować o diabolizmie chłopców z powieści Goldinga.

Na stwierdzeniu osobistej poczciwości pisarza krytyczna ocena książki niestety skończyć się nie może. Koniec z biografizmem. Zawiera ta proza pułapki i wilcze doły zakończone ostrokołami. Dzięki przyjętej strategii literackiej pisarz wyminął je z wdziękiem; my nie możemy sobie na to pozwolić. W oczach anielskiej ludzkości odmalowanej przez Chruszczewskiego migocą diabelskie błyski: mamy tam Człowieka Odpowiedzialnego za Spokój, Człowieka, Który Czuwa Nad Bezpieczeństwem Rodziny, Ludzi Decydujących o tamtym i o owamtym. Jest to więc społeczeństwo w najwyższym stopniu zcentralizowane. Ludzie częstokroć nie mają imion, tylko funkcje. Centralna, może kolektywna (zresztą jeden diabeł!) władza podejmuje decyzje dotyczące prywatnego życia jednostek. W każdej chwili każdy jest lub może być słyszany przez dobrotliwych mędrców. Stosuje się w tym społeczeństwie inżynierię genetyczną. Jedyną rękojmią dobrej woli władców jest osobista uczciwość – a jeśli ta zawiedzie? Rozum, komputery, eksperci... Gdy wsłuchać się w myśli tych ludzi, to widać, że myślą tylko zadaniami, które przed nimi postawiono; istnieje ponadto specjalna zaprawa Skromności i Prostoty, nauczono ich śmiać się z samych siebie... Można by wyliczać jeszcze trochę, ale czy to nie wystarczy, czy nie czujecie już państwo ciarek biegających po grzbiecie? Pisarz pozostaje nieodrodnym dzieckiem Oświecenia, wierzy, że rozum jest dobry i wszystko może.

To o czym rozprawiam to najniżej ukryte piętro powieści, dostępne dla szczególnie wnikliwych czytelników. I dla tych przygotowanych paroma już powieściami social-, political-fiction, które pojawiły się u nas w ostatnich latach. „Fenomen Kosmosu" ukazał się wcześniej, zanim ta fala ruszyła, bo w roku 1975. Może więc nie tylko predylekcja autora, ale i data powstania tłumaczy, przynajmniej częściowo, anachronizm książki. Czyściec Czesława Chruszczewskiego, jak przewiduję, polegać będzie teraz na tym, że zwali się na jego powieść sporo zarzutów, z których najcelniejszy będzie zarazem najbardziej wobec książki z gatunku SF absurdalny. Zabrzmi on tak mianowicie, że jest to książka n a d t o j u ż f a n t a s t y c z n a.

Maciej Parowski

Czesław Chruszczewski: *Fenomen Kosmosu*. Wydawnictwo Poznańskie 1984. Cena 110 zł.

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Nasza Księgarnia
D. Filar – *Nieostrość* (powieść)
G. Górska – *Węzeł* (opowiadania)
G. Górska – *Piekielny trójkąt* (powieść)
M. Kuczyński – *Katastrofa* (powieść –wyd. 2)
A. Zimniak – *Szlaki istnienia* (opowiadania)
W. Żwikiewicz – *Ballada o przekleństwie* (powieść)

Iskry
K. Boruń, A. Trepka – *Zagubiona przyszłość* (powieść – wyd. 2)
R. Cubleson – *Trawa* (powieść)
H. Frank – *Dune* (powieść)
M. Oramus – *Arsenał* (powieść)
J. Zajdel – *Paradyzja* (powieść)

Wyd. Poznańskie
Cz. Chruszczewski – *Fenomen Kosmosu* (powieść – wyd. 2)
J. Sawaszkiewicz – *Kronika Akaszy. Metempsychoza* (powieść)
W. Szefner – *Dziewczyna nad urwiskiem* (powieść)

KAW
Z. Lekiewicz – *Filozofia science fiction* (krytyka)
W. Żwikiewicz – *Imago* (powieść)

Wyd. Literackie
J. Kozielecki – *Smutek spełnionych baśni* (opowiadania – wyd. 2)

Wyd. Pomorze
W. Żwikiewicz – *Delirium w Tharsys* (powieść)

Wyd. „Alfa"
A. Lange – *Mirianda* (powieść)

Zebrała Dorota Malinowska

FANTASTYKA nie spełnionych marzeń

Fantastyka Ameryki Łacińskiej kojarzy się w Polsce przede wszystkim z nazwiskami Cortazara, Borgesa, Bioy Casaresa. Zainteresowanie, jakim czytelnicy darzą twórczość wspomnianych pisarzy, często bywa przyczyną zaciekawienia literaturą całego kontynentu, ponieważ dorobek autorów tej miary budzi nadzieję, że w dziedzinie fantastyki powstaje w Ameryce Łacińskiej więcej dzieł godnych uwagi.

Niestety, pojawienie się na naszych półkach księgarskich powieści „Salamandra" napisanej przez Wenezuelczyka Pedro Berroetę z pewnością nie przyczyni się do utrzymania dobrej opinii, jaką cieszy się u nas proza latynoamerykańska, w tym także – proza fantastyczna.

Berroeta nie należy do najbardziej znanych pisarzy wenezuelskich. Krytycy wspominają o nim tu i ówdzie, zawsze jednak na marginesie twórczości innych, poczytniejszych autorów. Dzieje się tak trochę dlatego, że wykształcony w Europie twórca „Salamandry" nie hołduje tradycyjnym motywom wenezuelskiej prozy: tragicznemu, pełnemu napięć realizmowi, umiłowaniu tego, co ziemskie, kultowi dwóch biegunów życia ludzkiego: siły witalnej i śmierci – co, według słów eseisty Juana Liscano, jest najbardziej typowe dla literatury jego kraju. Na „europejskość" Berroety wpłynęło nie tylko paryskie wykształcenie, lecz także i to, że od 1945 r. reprezentował Wenezuelę jako urzędnik misji dyplomatycznych w Stanach Zjednoczonych i wielu krajach Europy.

Jego najwybitniejszymi osiągnięciami literackimi są: zbiór opowiadań pod tytułem „Marianik" oraz „La leyenda del conde Luna" („Legenda o hrabim Lunie") – osnuta na średniowiecznych motywach fantastycznych, za którą otrzymał nagrodę państwową. Uhonorowana została także – międzynarodową nagrodą im. Simona Bolivara – omawiana „Salamandra".

Trudno jednak dociec, czemu wyróżniono tę właśnie powieść. Być może przeważyły humanistyczne treści, jakie zawarł autor w fabularyzowanym eseju publicystycznym, komentującym współczesną nam rzeczywistość. Tak można bowiem nazwać tę książkę, jeśli spojrzymy na nią pod kątem dygresji, które zajmują co najmniej połowę jej objętości. Gdy jednak za punkt wyjścia przyjmiemy fabułę i postać głównego bohatera, wówczas „Salamandra" staje się quasi-dydaktyczną powieścią bez jasno sprecyzowanej tezy.

Bohaterem utworu jest młody człowiek, Efrén Sarmiento, który został wybrany przez zagadkową Grupę Salamandry za narzędzie do zwalczenia konkurencyjnej organizacji „złodziei dusz", legitymującej się godłem przekłutego szpilką motyla („psyche", to po grecku „dusza" a także „motyl"). Osobowość Efréna ulega podczas kontaktów z grupą całkowitej dezintegracji. W ciągu jednej minuty swego życia (gdyż taki jest czas trwania akcji powieści) Efrén odbywa podróże w czasie i przestrzeni, wciela się w postaci wielu znanych mu i nie znanych osób, by przez ich doświadczenia i odczucia poznać otaczającą go rzeczywistość.

O fantastycznym charakterze „Salamandry" decydują właśnie – wspomniany brak barier czasu i przestrzeni, atmosfera tajemniczości i perspektywa narracji, która przeżycia bohatera ilustruje opisami dzisiejszego świata nakreślonymi przez historyka z przyszłego wieku. Dygresje te stanowią zarazem główną wadę powieści, gdyż akcja – już sama w sobie zagmatwana i chaotyczna – przerywana jest nudnymi tyradami, łączącymi w sobie umoralniający ton ze swoistą naiwnością sądów.

Po upływie jednej minuty, która – dodajmy – w czytaniu okropnie się dłuży, kończą się męczarnie żyjącego jednocześnie w dwóch światach Eféna, a jego misja (dla niego samego do ostatniej chwili zagadkowa i niepojęta) została spełniona w innym wymiarze rzeczywistości, zanim dokona się w świecie realnych zdarzeń. Wiemy już, że dobro zwycięży i ludzkość zostanie ocalona, choć człowiek nadal pozostaje elementem przetargu w rozgrywce dwóch konkurencyjnych sił.

Ciekawy w zamierzeniu pomysł książki – maksymalne skrócenie trwania akcji i jednoczesne rozciągnięcie jej w czasie i przestrzeni, ukazanie ludzkości jako zabawki w rękach potężnych sił, będące odbiciem i połączeniem dawnych koncepcji losu i walki Dobra ze Złem, Boga z Szatanem – w wykonaniu jest chybiony. Niespójna akcja i rozbity mało odkrywczymi dygresjami tok opowiadania zaciemniają główną ideę powieści, a całość – pomimo zastosowania przez Berroetę typowych dla fantastyki chwytów formalnych – źle spełnia podstawową zasadę literatury fantastycznej. Zasadą tą jest bowiem wywołanie niepokoju i fascynacji tym, co nieznane i niepojęte, zatarcie granicy między realnością a nierealnością, wyjście poza racjonalistyczną koncepcję świata. Tego rodzaju doznań lektura „Salamandry" nie wywołuje. Wywołuje natomiast irytację i znudzenie.

Dorota Walasek

Pedro Berroeta: *Salamandra*. Przeł. W. Tinajero i R. Samsel. Czytelnik, Warszawa 1983. Cena 110 zł.

"DIALOGI" po latach

Stanisław Lem zagadnięty o „Dialogi" w trakcie rozmów, jakie prowadził z nim Stanisław Bereś odpowiedział: *„W żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, w jaki sposób ta książka wyskoczyła z mojej głowy. Nie wiem, jak to we mnie wezbrało, że włożyłem do niej swoją najlepszą wiedzę o funkcjonowaniu tego ustroju. (...) Wiemy tylko, że były to wszystko moje chałupnicze pomysły, które przełożyłem starannie na cybernetyczny język, co niewątpliwie pomogło".*

Autor wyraźnie dystansuje się dzisiaj do książki, którą zaczął pisać 30 lat temu i która ukazała się po raz pierwszy w 1957 roku, ale też – może nieświadomie – ujawnia swój ciepły do niej stosunek. Chyba sam zdaje sobie sprawę z jej niezwykłości w porównaniu do wszystkiego, co napisał. Wprawdzie już wcześniej publikował Lem felietony naukowe w „Nowej Kulturze", ale dopiero „Dialogi" ujawniły w całej pełni jego filozoficzne i publicystyczne zainteresowania – pamiętajmy: w roku wydania „Dialogów" Lem miał na swoim koncie „Astronautów", „Sezam", „Obłok Magellana" oraz „Czas nieutracony". Wyjąwszy tę ostatnią pozycję, jego dorobek literacki nie miał jeszcze zbyt dużego ciężaru artystycznego ani intelektualnego i „Dialogi" były tu jakby otwarciem się na nowe obszary piśmiennictwa. Po „Czasie nieutraconym", były drugim gwałtownym wyłamaniem się z ramek, w jakie wpasowano Lema – autora konwencjonalnych utworów fantastyczno-naukowych.

W 1957 roku trudno było przewidywać, że kariera pisarza rozwinie się tak świetnie. Nawet pierwsze, nieliczne przekłady jego powieści późniejszego rozkwitu nie zapowiadały. Ale też „Dialogi" nigdy nie zyskały takiego rozgłosu, jak wszystkie następne książki eseistyczno-filozoficzne, takie jak „Summa technologiae", „Filozofia przypadku" czy „Fantastyka i futurologia", bynajmniej nie napisane prostym językiem czy posiadające mniej skomplikowaną zawartość dyskursywną.

Tote zaskoczeniem jest – przynajmniej dla mnie – tegoroczna edycja „Dialogów" w nakładzie 100 tys. egzemplarzy. Jest to autentyczny i zadziwiający fenomen wydawniczy: oto wydano w nakładzie takim, jak powieść sensacyjną, pracę poświęconą cybernetyce, napisaną dialogiem wyraźnie wzorowanym na dialogach platońskich oraz uzupełnioną kilkoma obszernymi i trudnymi w lekturze esejami wzbogacającymi i weryfikującymi zasadniczy zrąb „Dialogów". Jakkolwiek by patrzeć, jest to wydarzenie i nie wiem, czy gdziekolwiek na świecie wydano by taką książkę w tak wysokim nakładzie, książkę, która jest już dość leciwa i jest owocem zafascynowania cybernetyką, jakiemu ulegali 30 lat temu uczeni i intelektualiści.

Cybernetyka miała mieć cudowne działanie i zastosowanie do najróżniejszych dziedzin życia, miała uporządkować i zintegrować szczegółowe dyscypliny nauki, miała pokazać człowiekowi nowe możliwości stojące przed nim, przed maszyną, przed społeczeństwem, miała ułatwić kierowanie, poznawanie itd., itd. Miała dokonać wielu wspaniałych rzeczy, ale – niestety – niewiele z tego wypełniła i wypełnia. Odegrała ważną rolę, wpłynęła wyraźnie na nasz sposób rozumienia świata i mechanizmów nim kierujących, ale też nic już nie zostało z jej domniemanego demonizmu, jak i przeceniania znaczenia. W latach pięćdziesiątych była swego rodzaju mitem – dzisiejszy Lem jest tego w pełni świadomy, toteż w przedmowie do drugiego wydania (1972) napisał, że „Dialogi" *„stały się świadectwem prawie bezgranicznego optymizmu poznawczego, jaki nie tylko we mnie wzbudziło powstanie cybernetyki. Książka nie tyle opisuje cybernetykę bądź jej podstawy, ile wyobrażenia, które nie były moją ściśle prywatną własnością".* Dzisiaj są „Dialogi" przede wszystkim świadectwem tamtego zauroczenia odkrywaną dyscypliną wiedzy, próbą rozpatrzenia się w jej możliwościach i – jak się wydawało – imponujących perspektywach (o których nie można i dzisiaj napisać, że są określone i ograniczone). Musimy sobie jednak w pełni zdawać sprawę z tego, że była to na naszym gruncie praca pionierska, poprzedzająca przekłady książek N. Wienera czy A. Ducrocqua, a także prace polskich autorów, których później ukazało się wiele. Znaczenie „Dialogów" jest więc bardzo duże, jest to książka ze wszech miar poważna, mimo iż dzisiaj prowokuje od czasu do czasu uśmieszek czytelnika – wesołość wywołuje platońska forma i antyczne imiona rozmawiających postaci zderzone z tematyką ich dialogów, a także tu i ówdzie wspominana sielska sceneria rozmów.

Leszek Bugajski

Stanisław Lem: *Dialogi*. Wydanie III. Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1984. Cena 180 zł.

Hollanek Adam

(ur. 1922)

Pisarz, dziennikarz

Urodził się we Lwowie w roku 1922. Studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Dziennikarz, wieloletni redaktor dzienników ogólnopolskich, redaktor naczelny miesięcznika „Fantastyka". Działacz międzynarodowego ruchu SF: członek „The World SF Association of Professionals". Dwukrotny laureat dziennikarskiej nagrody im. Bruno Winawera. Autor artykułów krytycznych z zakresu SF i prozy współczesnej oraz kilkunastu pozycji o charakterze popularnonaukowym, m.in. „Węgiel nasze czarne złoto" (1954), „Woda wielki budowniczy" (1954), „Niewidzialne armie kapitulują" (1954), „Sobotnie spotkania" (1955), „Skarby z połyskiem" (1956), „Sprzedam śmierć" (1961), „Skóra jaszczurcza" (1965), „Lewooki cyklop" (1966), „Nieśmiertelność na zamówienie" (1973), „Błysk milionów świec" (1975), „Sposób na niewiadome" (1978). W swoich książkach zajmuje się historią sztuki lekarskiej (przez wiele lat redaguje stałą rubrykę „Medycyna" w „Perspektywach"), popularyzuje obecne i przyszłe problemy stosunku człowieka do przyrody sygnalizując zagrożenia wynikające z niekontrolowanego rozwoju przemysłu i nierozważnej ingerencji w sferę procesów biologicznych. Pisze o zagadnieniach techniki i nauki. Kreśli drogi rozwoju nowych gałęzi wiedzy: psychosomatyki, biometeorologii, fizyki jądrowej, ukazując różnorodne skutki oddziaływania rewolucji technicznej.

Adam Hollanek jest także autorem prozy o tematyce współczesnej („Plaża w Europie", 1967, „Bandyci i policjanci", 1982), książek, które z wnikliwą dociekliwością przeprowadzają analizę uczuć: miłości, zazdrości, poczucia niższości, osamotnienia, odmiennych postaw wobec życia. „*Są to opowiadania mówiące o alogiczności ludzkiego postępowania, niespodziankach psychicznego żywiołu, konfliktach wynikających z nieoczekiwanych decyzji, zaskoczeń, jakie przygotowuje człowiekowi nie tylko jego partner, ale jego własny odruch, decyzja*" pisał przed laty Włodzimierz Maciąg.

Adam Hollanek wydawał również (pod pseudonimem Janina Martyn) powieści kryminalno-fantastyczne (m.in. „Rozłączył was na zawsze", 1977). Jako pisarz SF debiutował w roku 1958 antyutopią **„Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«"** („Wiedza Powszechna"). Wydał: **„Zbrodnia wielkiego człowieka"** (powieść kryminalno-fantastyczna, Wyd. „Śląsk" 1960), **„Muzyka dla was, chłopcy"** (opowiadania, Iskry 1975, zawartość: „Bart 16", „Skasować drugie ja", „Za wszelką cenę powrócić", „Muzyka dla was, chłopcy"), **„Ukochany z Księżyca"** (opowiadania, KAW 1979, zawartość: „Ukochany z Księżyca", „Jak koń trojański", „Punkt", „Aparat też chce żyć", „Oni już tu są", „Łazarzu wstań"), **„Jeszcze trochę pożyć"** (powieść, Iskry 1980), **„Olśnienie"** (2 powieści, KAW 1982, zawartość: „Olśnienie", „Nie można go spalić"), **„Kochać bez skóry"** (powieść, KAW 1983).

W najbliższym czasie nakładem Wyd. „Śląsk" ukaże się wznowienie „Katastrofy na »Słońcu Antarktydy«". Krajowa Agencja Wydawnicza opublikuje nową powieść Adama Hollanka: „Hormon R", a jego „Olśnienie" zostanie zrealizowane w TV. Z utworów o problematyce współczesnej zapowiadane są „Wiersze" (LSW) i „Księżna z Florencji" (powieść, Wyd. Literackie). W przygotowaniu: „Portret z cieniem" (nowela filmowa – rzecz o Grottgerze).

„Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«" została przełożona na język rosyjski i czeski. W zachodnioniemieckim wydawnictwie „Wilhelm Heyne Verlag" ukazał się przekład powieści „Jeszcze trochę pożyć" (w przygotowaniu „Kochać bez skóry"). Zapowiadana jest także edycja autorskiej książki A. Hollanka w wydawnictwie „Mir" w ZSRR.

Fantastyka naukowa pełni w twórczości Adama Hollanka funkcję pierwszoplanową, lecz nie sprowadza się to do popularyzacji zagadnień technicznych i problemów związanych z niekontrolowanym postępem nauki. Science fiction jest raczej kostiumem, sposobem rozszerzenia wiedzy o człowieku, którą przekazuje literatura obdarzona ambicjami poznawczymi i moralizatorskimi. Ów fakt dostrzegli recenzenci „Katastrofy na »Słońcu Antarktydy«" – jednej z ciekawszych antyutopii lat pięćdziesiątych. Wątek przygody, sensacji, zagadek zgoła kryminalnych posłużył ukazaniu niezaprzeczalnej wartości człowieczeństwa, jaką jest nasze życie emocjonalne: uczucia targające ludzką psychiką, sprawiające, że wszelka próba unifikacji, totalitaryzmu wydać się musi nieetyczną, ingerującą w najbardziej skryte, podświadome marzenia jednostki. Oczywiście odnajdujemy w „Katastrofie" wizję przyszłego świata – ze sztucznymi słońcami usuwającymi lód z Antarktydy, wyrzucającymi materię w przestrzeń kosmiczną za pomocą sił antygrawitacyjnych. Poznajemy heroizm codziennych walk z przyrodą, oglądamy panoramę stechnicyzowanej planety z ciekawymi, intrygującymi wynalazkami (modelem jednoszynowego pociągu atomowego, koleopterem etc.) – ale widać wyraźnie, że to nie tematyka futurologiczna zafascynowała autora. „Katastrofa..." odczytana na nowo, po 26 latach, rysuje się jako zespół wątków, motywów, toposów literackich pogłębionych i rozwiniętych w późniejszych utworach Hollanka. W planie hipotezotwórczym, którego mimo wszystko nie można lekceważyć, odkrywamy ideę „przyśpieszacza myśli" – akceleratora mózgu sterującego ludzką inteligencją, wrażeniami, odczuciami, wpływającego na zmianę procesów fizjologicznych. Ów wątek – powracający w einsteinowskiej „Zbrodni wielkiego człowieka" oraz w opowieściach z tomu „Ukochany z Księżyca" („Punkt", „Aparat też chce żyć") – wiąże się silnie z klasycznym pytaniem o nieśmiertelność, sprawiającym, że dążenie do doskonałości powoduje rozpad naszego życia psychicznego.

Innym, niezwykle istotnym motywem „Katastrofy..." jest jej przesłanie antyutopijne dalekie od łatwego optymizmu fantastyki lat pięćdziesiątych (z wyjątkiem historii S. Lema i powieści K. Borunia). W tym wspaniałym „raju technicznym" wstrząsanym konfliktami socjalnymi i środowiskowymi, dominuje refleksja, iż człowiek – mimo wszystkich zmian świadomościowych – pozostał ten sam w odruchach, żądzach, dążeniach emocjonalnych. Treścią utworu staje się konfrontacja programu „terrorystów", spadkobierców ideologii faszystowskiej (którzy pod przewodnictwem profesora Riskego pragną zastąpić ludzi nieczułymi, bezdusznymi robotami) z obrońcami pokoju, zwolennikami tezy o twórczym, nieskrępowanym rozwoju człowieka. Pełna ambiwalencji batalia o zachowanie istniejącego status quo (świat rządzony odczuciami jest okrutny, lecz stanowi o naszej niepowtarzalności) toczy się w nader ciekawym schemacie „pozorowanej ingerencji kosmicznej" (pisałem o tym w „Fantastyce" nr 8/83). Motyw nieudanej inwazji pogłębia wymowę przesłania sugerującego, iż prawdziwym wrogiem człowieka może być tylko człowiek. Kontynuację wspomnianej tezy odkrywamy w całej późniejszej twórczości Hollanka: od „Zbrodni wielkiego człowieka" podejmującej temat wyzwolenia z niszczących więzi czasu, ucieczki przed śmiercią, aż po książkę „Jeszcze trochę pożyć", w której nieśmiertelny, wszechpotężny intelekt zrodzony z odpadów ludzkiej cywilizacji (echa zagrożeń cywilizacyjnych) pożąda – paradoksalnie! – dostępu do zawodnej psychiki człowieka. W dwóch niedawno wydanych powieściach: „Olśnienie", „Kochać bez skóry" dochodzi do głosu koncepcja trzeciego stanu istnienia – egzystencji poza czasem i przestrzenią będąca swoistym antidotum na lęki i niepokoje naszego świata. Jej założenia zostają sformułowane w opowiadaniu „Oni już tu są" pochodzącym z tomu „Ukochany z Księżyca": „*Poza życiem i śmiercią może przecież istnieć taka postać żywej, najwyżej zorganizowanej materii, która nie jest ani tym, co w naukowym i potocznym rozumieniu uważamy za życie, ani jego absolutnym końcem, czyli śmiercią. Czy można być nie żyjąc ani nie zmartwychwstając? Czyż materialne bytowanie nie może organizować się w jakieś zupełnie inne od znanych nam i opisanych form?*" Kwestię tę rozwiązuje Hollanek niebanalnie, zaskakując swych czytelników: trzeci stan istnienia jest ślepą drogą rozwoju cywilizacyjnego, kuszenie bohatera (jak w średniowiecznych moralitetach) okazuje się czynnością daremną – zmierza do zagubienia osobowości, ucieczki w sferę marzeń, narkotycznej alienacji.

Fabuła „Katastrofy..." wprowadza jeszcze jeden, niezwykle charakterystyczny motyw literacki: drobiazgową, kliniczną obserwację postawy człowieka ujawniającą rozpad jego osobowości. Opis rozdwojenia jaźni nie jest jakąś anomalią, odchyleniem od normy, przeciwnie – zdaniem autora „Katastrofy" – w każdym z nas tkwi wiele „wymiarów" życia emocjonalnego, częstokroć sprzecznych i zafałszowanych, które wyznaczają poczucie nieprzewidywalności, przypadkowości codziennych kontaktów międzyludzkich.

Późna twórczość Adama Hollanka zmusza do uwagi, refleksji, współpracy ze strony czytelnika. Autor „Olśnienia" jest uważany za kontynuatora polskiej odmiany „inner space" (por. rec. L. Bugajskiego), co dla wielu krytyków oznacza przywołanie wątków mitologicznych, dowodzi znajomości psychoanalizy, XX-wiecznych teorii filozoficznych. Fragment powieści, przedrukowywany na „Pożółkłych kartkach" świadczy jednak i o tym, że utwory Hollanka zachowują zasadę żywej, zwartej akcji, technikę narracji kryminalnej. Detektywistyczna fabuła dominuje we wszystkich wypowiedziach autora, a do niezapomnianych kreacji należą postacie Chryzostoma Głaza i Jana Lipki. Paradoks? Sprzeczność? Bynajmniej. Wątek kryminalny nie służy przecież wyłącznie zaspokajaniu rozrywkowych „ambicji" czytelników. Jest logicznym zwieńczeniem treści, w którym znacznie łatwiej wyrażać zagadkowość życia i świata.

Bibliografia wybrana

„Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«"
– A. Klimowicz: *Przyjemna mistyfikacja.* (w) „Nowe Książki" 1958/11.
– (Karol): *Kryminał interesujący.* (w) „Książka" 1958/116.
– A. Trepka: *Dyskusyjna fantastyka.* (w) „Problemy" 1959/4.

„Muzyka dla was, chłopcy"
– J. Skuczyński: *Człowiek w przyszłości.* (w) „Nowe Książki" 1976/17.
– W. Szymanderski: *Nowy paskudny świat.* (w) „Książka" 1976/8.

„Jeszcze trochę pożyć"
– S. Kędzierski: *Kompromis czy kapitulacja.* (w) „Książka" 1981/1.

„Olśnienie"
– L. Bugajski: *„Inner space" po polsku.* (w) „Fantastyka" 1983/9.

„Kochać bez skóry"
– L. Bugajski: *Trzeci stan.* (w) „Fantastyka" 1983/12.
– A. Niewiadowski: *Najtrudniejsza z możliwych szans.* (w) „Życie Literackie" 1983/51–52.

KATASTROFA na »SŁOŃCU ANTARKTYDY«

Adam Hollanek

Werbel w głośnikach wciąż wzmaga się. Ludzie nie słuchają już rozkazów. Nikt nie chce dyżurować w wieżyczce nad salą geografów. Słyszy się tylko powtarzane głośno z ust do ust jedno słowo: „uciekać". (...)

– Uwaga! Idą! Są blisko!...

Reed skacze ku oknu. Wicher gna tumany śniegu i igieł lodowych. Nic nie widać. Głaz natychmiast jest już na przenośniku. Pędzi pod wieżyczkę. Na schodkach dudnią kroki. Arroes wyprzedził Starego Detektywa i Reeda.

– Popatrzcie – mówi Dulian spokojnie. Oczy ma przymrużone, szczurzą twarz. Czy to wyraz strachu czy odwagi?

W świetle reflektorów, w przerwie między jednym a drugim podmuchem huraganu widać ciemne, włochate postaci. Wyraźnie odcinają się na tle śniegu. Łby mają osłonięte mgiełką. Tylko od czasu do czasu połyskują metalicznie w promieniach lamp.

– Jeden, drugi – liczy Głaz.

– O, trzeci i czwarty... – szepce Arroes. – Idą gęsiego.

Widok potworów otrzeźwia wszystkich. Głaz czuje, jak krew napływa mu do twarzy i wyostrza zmysły.

– Ach, gdyby mój mózg elektronowy działał przyzwoicie – mówi Dulian – obliczyłbym każdy ich krok, każdy gest, uprzedziłbym ich ruchy...

– Śmieszne – przerywa Reed – ziemskimi sposobami chcesz badać reakcje istot, które kształtowała inna przeszłość niż nasza.

Arroes milczy i lornetuje okolicę.

– Już ósmy – szepce Stary Detektyw – ale przez lornetę widać gorzej niż gołym okiem. Czego oni chcą?

– Istoty te są podobne do nas – Dulian mówi jakby do siebie. – Maszyny elektronowe, gdyby działały prawidłowo, uchwyciłyby szybciej niż nasze mózgi zespół tych podobieństw.

– A jeżeli się mylisz? – pyta nagle Arroes.

– Nie rozumiem. W czym się mylę? Aha, jeśli się mylę, to dzięki maszynom szybciej poznałbym swoją omyłkę. A tak jestem skazany na własne obserwacje.

– Jesteś maniakiem maszyn...

– A jednak Dulian ma rację – woła Głaz – te istoty są bardzo do nas podobne.

Głośniki warczą coraz głośniej. Trudno wprost rozmawiać.

– Musi tak huczeć? – Arroes zwraca pobladłą twarz ku Dulianowi. Dulian mruży oczy. Obserwuje nieregularne zygzaki na ekranach rozpiętych obok pulpitów z zegarami.

– Musi. To mi pomaga stroić. Ależ głuszą...Już sam fakt, że wiedzą, jak głuszyć nasze sygnały, świadczy o ich ludzkich cechach.

Dulian ma teraz twarz zmarszczoną. Oczy prawie niewidoczne. Pochylony nad ekranami zupełnie nie patrzy w okno. Jest tak pochłonięty tą zabawą, jakby niebezpieczeństwo w ogóle nie istniało (...)

– A może byśmy spróbowali jakoś się z nimi porozumieć – Arroes patrzy błagalnie na Duliana. Czego od niego oczekuje? Cudu?

Dulian odwraca głowę. Znowu obserwuje ekrany. Arroes rozumie mowę złotych kul i zygzaków. Rozumie jedyną troskę Duliana: czy w razie konieczności strzelania uda się trafić.

– Nie! – woła – na razie siedźmy cicho. Pierwsi nie zaczniemy. Nie strzelaj nawet na postrach! Może oni nie mają złych intencji? Gdyby chcieli...

– Rzeczywiście – stwierdza obojętnie Dulian – atakują w dość dziwaczny sposób. Chcą nas wziąć żywcem i pokazywać u siebie jak zabawki?

Głaz przez lornetę obserwuje nieprzyjaciela.

– Popatrzcie – woła – to szaleńcy... to jednak nie...

Kilkadziesiąt metrów przed bazą wyłania się zza pagórka kanciasty łeb. Porusza trąbkowatymi oczami, jakby obserwował ludzi w wieżyczce. Oczy ludzi i potwora spotykają się. Arroes szybko odkłada lornetę. Cofa się ku drzwiom.

Zza pagórka wyłazi cała postać. Góra futra. Za nią w odległości jakichś dwudziestu metrów – druga. Z tyłu ciemnieje już trzecia. Ciągle idą gęsiego. W równych, doskonale odmierzonych odstępach.

– Nie zdają sobie sprawy, że możemy ich skosić? A może tacy pewni siebie? – woła Reed.

– Zupełnie nie uzbrojeni – szepce Arroes patrząc na ich sztywne ręce opuszczone wzdłuż ciała, ręce o długich, wąskich dłoniach i kościstych palcach. – Zupełnie nie uzbrojeni – powtarza cicho, jakby się bał, że tamci mogą go dosłyszeć.

Dulian wysyła sygnały świetlne i dźwiękowe. Krajobraz czerwienieje, zielenieje, różowieje i żółknie. Huk syreny przenika do wnętrza mimo doskonałej izolacji ścian.

Metalowi ludzie nie reagują. Sztywnymi krokami brną przez zaspy.

– Przecież nie pozwolimy im tu wejść – woła Dulian. Arroes, Głaz i Reed milczą. Dulian naciska spust. Pocisk zatacza świetlisty łuk i pada przed stopami potwora. Potwór omija miejsce wybuchu.

– A jednak zrozumiał – krzyczy Reed.

Jeszcze dwanaście metrów i metalowi ludzie wejdą w cień bazy. Dulian bez rozkazu pierze z broni maszynowej. Atomówek nie chce rzucać. W razie konieczności opuszczenia bazy broń taka odwróciłaby się przeciw stosującym ją – nie mieli ubran chroniących przed promieniowaniem.

Potwory nie reagują na ogień.

Kule albo nie trafiają, albo nie szkodzą. Dulian raz po raz naciska spust. Nie wierzy automatom. Trzyma oko na celowniku. Mierzy i pluje ogniem. Bierze wreszcie na cel najbliższego potwora. Użyje granatnika. Mierzy w głowę.

– Nie celuj w niego! Wal w drugiego – krzyczy nagle Głaz, starając się zagłuszyć warkot silnika i huk wystrzałów. Dulian gwałtownie się odwraca.

– Zwariowałeś?

Głaz go odtrąca. Celuje krótko. Naciska spust.

Drugi potwór tonie w ognistej fontannie. Już nie wstaje. A najbliższy? Chwieje się przez moment i wali się na ziemię wyprostowany.

– A widzisz! – krzyczy Głaz.

– Nie pojmuję – skanduje Dulian – nie...

W tej chwili w wieżyczce jaśnieje, jakby wleciał do jej wnętrza piorun. Niemal jednocześnie podmuch i huk rzuca wszystkich na szyby i pulpity. Głośniki milkną gwałtownie.

Po huku cisza, jeszcze bardziej ogłuszająca.

Pierwszy unosi się z klęczek Arroes.

– Dulian! – ryczy. – Dulian, wal czym popadnie do każdego, który się zbliży!

Dulian zacina usta. Ręce ma jak automaty. W morderczym pasażu przebiega palcami po klawiszach spustów. Bombarduje wzgórza nieustannym ogniem. Baza wygląda jakby otoczona pożarem. Wieżyczka obraca się wolno wokół swej osi. Nad lotniskiem kłęby czarnego dymu.

– Trafili w lotnisko! – krzyczy Reed.

Rzuca się na schodki. (...) Od niedomkniętego włazu płynie fala mrozu. W jasnym kręgu widać ogromną sześcienną mordę z trąbkowatymi oczami. Za nią drugą i trzecią (...).

Reed wydobywa zza pasa granat. Cofa się kilka kroków. Ciska i pada na schodki. Czuje jak po wybuchu opadają na niego drobne metalowe odłamki i plastikowy pył. Podnosi się. Oświetla otwór. Bestia leży nieruchomo. Głowy nie widać. Wygląda jak kolosalny jeż.

Słychać z sali wołanie Głaza.

– Reed uważaj. Atakują ze wszystkich stron. Reed!

Znowu wybuchy, widocznie załoga się broni. Krzyki rosną. Potem cisza. Wpada Głaz z latarką w dłoni.

– Uciekajmy! Na wieżę! Potwory opanowują bazę... No, Reed!

Dostrzega powalonego potwora.

– Przekonaj się, że miałem rację. I tak już wszystko jedno – mówi nagle.

– Nie podchodź!

Ale Stary Detektyw nie słyszy. Opanowała go potężna żądza poznania prawdy. W tej może ostatniej chwili życia chce się przekonać o wartości swoich przypuszczeń.

Kopie potwora. Potwór przewala się bezładnie na bok. Piersi ma rozłupane na dwoje. Sterczą z rany zwoje poszarpanych przewodów, odłamki kryształów i lamp. Nieludzki, lecz jakże bardzo ludzki widok. Tak nie wyglądają wnętrzności żywej istoty, tak wyglądają wnętrza mózgów elektronowych skonstruowanych przez ludzi. P r z e z l u d z i.

– To roboty, Reed. Mówiłem.

Fala radości ogarnia na chwilę Głaza. Ale oto w otworze nowy kanciasty łeb. Reed ciągnie Starego Detektywa na górę. Wpadają do wieżyczki. Od strony elektrowni bije w niebo łuna. W świetle pożaru widać doskonale dziesiątki potworów. Wchodzą do bazy. Spokojnym, sztywnym krokiem – jak wojsko na mustrze. Za chwilę kroki ich zadudnią na schodach. Reed daje ognia z rakietnic. Drży cały. Nie trafia...

Ostre świsty przecinają powietrze. Najpierw pojedyncze. Po chwili zlewają się w jeden nieprzerwany jęk. Jęk staje się coraz wyższy. Wdziera się w uszy. Szereg metalowych ludzi łamie się. Potwory padają po kilka na raz, a nad nimi wyrastają gejzery ognia i dymu.

– To pomoc! – krzyczy Głaz. – Reed, to pomoc!

A. Hollanek, „Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«" (powieść fantastyczno-naukowa), Wiedza Powszechna 1958, wybór ze stron 301-325.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Z tamtej strony lustra

Nieśmiertelność w pojemniku

Maciej Iłowiecki

W 1967 r. głośno było na świecie o Jamesie Bedfordzie, pewnym mało znanym profesorze psychologii z miasta Phoenix w Arizonie (USA). Profesor stał się sławny dopiero po śmierci – był bowiem pierwszym na Ziemi człowiekiem, którego w momencie śmierci zamrożono. Jego ciało dotąd spoczywa w płynnym azocie (196°C poniżej zera), w pojemniku ze specjalnej stali. Bedford miał pewien rodzaj nieuleczalnego nowotworu i wiedział, że musi umrzeć. Jeszcze zanim zachorował, interesował się problemami zamrażania żywych istot. Był przekonany, iż kiedyś zamrażanie nieuleczalnie chorych będzie być może jedyną drogą zapewnienia im powrotu do życia. Ufał, że dzięki postępowi nauk przyszłe pokolenia będą mogły ożywiać zamrożonych i leczyć ich choroby, w przyszłości już uleczalne.

Bedford nie był naiwny, zdawał sobie sprawę, że jego szanse są tak niewielkie, iż właściwie ich nie ma. Techniki zamrażania w owym czasie gwarantowały przeżycie (ściślej – przetrwanie w stanie „odwracalnej śmierci") co najwyżej tkankom, narządom (ale nie wszystkim – bo już nie np. mózgowi!), niektórym niższym organizmom. Były już wprawdzie udane próby przywracania do życia po oziębieniu nawet tak wysoko ewolucyjnie stojących zwierząt jak szczury, ale oziębiono je tylko do minus 6°C, wobec tego płyny tych organizmów pozostały nie zamarznięte. Ale odwracalne zamrożenie człowieka było wtedy i jest do dziś niemożliwe; Bedford mógł więc tylko liczyć na taki postęp biologii w przyszłości, który umożliwiłby rekonstrukcję jego tkanek zniszczonych przy zamrażaniu. Miał podobno powiedzieć, że szanse powrotu do życia ciała obróconego w proch są zerowe, czyli nie ma ich w ogóle. Szanse ożywienia ciała utrwalonego w ciekłym azocie są niewiarygodnie małe, prawie zerowe, ale przecież jednak o włos większe od zera. Nikła to pociecha, prawdę mówiąc też naciągana, ale być może nie o to wcale chodziło. Bedford był uczonym i sprawę swego zamrożenia po śmierci klinicznej potraktował jako swoisty eksperyment, chciał także przełamać opory różnej natury. Chciał, jednym słowem, by nauka poważniej zajęła się problemami odwracalnego zamrażania wyższych organizmów, chciał zwrócić uwagę na możliwości, którymi dotąd zajmowali się tylko autorzy SF.

Odwracalne zamrażanie ludzi to nie tylko kwestia leczenia chorób dziś nieuleczalnych. To przede wszystkim niezwykła, niewyobrażalna możliwość *podróży w czasie* – w przyszłość. Jest to zyskanie pewnego rodzaju nieśmiertelności. Wprawdzie średni czas ludzkiego życia pozostałby niezmieniony, bo życie jest właśnie procesem zużywania organizmu i proces ten można zwolnić, ale nie można go w żaden sposób wyeliminować (choć kto wie, co będzie w dalekiej przyszłości?) – ale pozostaje taka właśnie możliwość: rozłożyć życie *na raty*! Powiedzmy, że ktoś, zamiast „odbyć" swoje krótkie 80 lat jednym ciągiem, w jednej przypisanej sobie epoce, woli żyć kawałkami – na przykład po pięć lat w każdym stuleciu... Wówczas, jeśli zaczął jako dwudziestoletni, może zobaczyć, jaki będzie świat za tysiąc i za dwa tysiące lat. Może, oczywiście, poprosić o odmrożenie i za [illegible] tysięcy lat i znaleźć się w świecie, którego w żaden sposób nie można sobie wyobrazić.

Prawdę mówiąc, byłaby to decyzja heroiczna, nikt bowiem nie wie, czy człowiek w ogóle może żyć poza swoim czasem, czy nie skończyłoby się to wszystko szaleństwem. Możemy tylko wyobrazić sobie, jakby się na przykład czuł wojownik z czasów Chrobrego, przywrócony nagle do życia w Warszawie 1984. Zresztą, czy nasi potomkowie, żyjący najpewniej na przeludnionym do ostateczności globie, zechcieliby jeszcze przywracać do życia swych praprzodków? Jak zauważył słynny genetyk Herman Mueller: *„Byłoby wyjątkowym egoizmem pchać się między przyszłe pokolenia. A może oni wcale nie zechcą nas odmrażać?"*

Zostawmy tę kwestię na boku. Niezależnie bowiem od wątpliwej przyjemności bezpowrotnej podróży w przyszłość, sprawa odwracalnego zamrażania ma ogromne znaczenie naukowe i medyczne. Nie wdając się za bardzo w szczegóły można tylko stwierdzić, że w ogóle oziębianie organizmów i tkanek kryje w sobie nadzwyczajne możliwości lecznicze (już dziś tzw. hypotermię, czyli obniżanie temperatury organizmu, stosuje się przy leczeniu pewnych schorzeń). Ponadto w trakcie doświadczeń ze ssakami zauważono, że oziębianie ich w pewnych granicach czasu i temperatur prowadzi do wyraźnego *odmłodzenia*; być może organizm stałocieplny zyskuje w czasie hypotermii możliwość swoistego, fizjologicznego odpoczynku, jakiejś regeneracji? Kto wie, czy odwracalne zamrażanie nie stanie się kiedyś metodą odnowy organizmu?

Płyny w żywych tkankach zamarzają całkowicie, jeżeli ich temperatura obniży się do około minus 15°C. Proces zamarzania powoduje jednak zasadnicze zmiany w strukturze komórkowych roztworów koloidalnych. Zmienia równowagę zawartych w nich soli (znający biologię wiedzą, iż równowaga ta jest podstawą procesów życiowych), nadto tworzące się kryształki lodu uszkadzają delikatne struktury wewnątrzkomórkowe. Radą na to mogłoby być na przykład zamrożenie natychmiastowe – ale jest ono możliwe tylko wobec struktur bardzo małych (stąd właśnie łatwość odwracalnego zamrażania organizmów mikroskopijnych). Jest także oczywiste, że łatwiej zamrażać organizmy zmiennocieplne niż stałocieplne, które dysponują różnymi mechanizmami, chroniącymi przed oziębianiem. Różne rodzaje komórek zwierząt wyższych mają także różną odporność na obniżanie temperatury – np. wyjątkowo nieodporne są komórki mięśnia sercowego, tylko niewiele z nich zachowuje zdolność skurczu po rozmrożeniu. Istnieją już naturalnie pewne specjalne metody zamrażania i pewne substancje, chroniące przed złymi skutkami tego procesu (np. nieszkodliwa dla tkanek gliceryna albo związek chemiczny zwany 2-metylosulfotlenkiem). W każdym razie techniki kriobiologiczne (krio – przedrostek, oznaczający w wyrazach złożonych zimno, zamarzanie, niskie temperatury) są dziś tak rozwinięte, że udaje się już przywrócić do życia psy, ochłodzone do stanu śmierci klinicznej – to znaczy do stanu, w którym zostają zatrzymane procesy fizjologiczne. Trwają jeszcze wtedy procesy biochemiczne, w komórkach odbywa się przemiana materii. Dopiero temperatura minus 190°C całkowicie zatrzymuje wszelkie reakcje biochemiczne i powoduje „zawieszenie życia" na czas nieograniczony, ale przywrócenie potem życia organizmowi stałocieplnemu jeszcze się nikomu nie udało. Zatem dopiero 190°C poniżej zera jest granicą nieśmiertelności...

Zdarzały się oczywiście „nieprawdopodobne" z punktu widzenia medycyny przypadki ożywiania ludzi „zamarzniętych na bryłę". Na przykład w 1978 r. zdarzyło się to pewnemu alpiniście w Szwajcarii, który przeleżał w szczelinie lodowca około trzech godzin. Wydobyto go zupełnie sztywnego, w stanie śmierci klinicznej. Bardzo powolne rozgrzewanie i zabiegi reanimacyjne przywróciły go życiu ku zdumieniu lekarzy. Uznano to za coś w rodzaju cudu, choć i przedtem i potem w czasopismach naukowych opisywano podobne historie (ostatnio np. czytałem o pewnym chłopcu w ZSRR, którego wydobyto z jeziora spod lodu w postaci „sztywnej kłody" i który również ożył pod wpływem intensywnych zabiegów).

No cóż, ani oziębiane psy, ani ożywione ofiary tzw. hipotermii przypadkowej nie przekroczyły jeszcze „bariery nieśmiertelności", owych 190°C poniżej zera. Były od niej jeszcze bardzo, bardzo daleko. Nie przeszkadza to ludziom żywić nadziei, że zamrożenie uchroni ich od kresu ostatecznego. Historia Jamesa Bedforda miała i takie skutki, że w Stanach Zjednoczonych zaczęły się tworzyć firmy, specjalizujące się w zamrażaniu zwłok. Największa jest kalifornijska firma „Trans Time"; oferuje ona usługi za kilkanaście tysięcy dolarów i więcej (zamrożenie w pojemniku dwuosobowym jest nieco tańsze...). Tak więc owa wątpliwa nieśmiertelność jest bardzo droga; podobno jak dotąd z usług „Trans Time" skorzystało około 50 bogatych Amerykanów. Niektórzy przypuszczają, że w pojemnikach z płynnym azotem, w specjalnych „kriotoriach" (słowo utworzone na wzór „krematoriów") w Stanach Zjednoczonych już znajduje się wiele zamrożonych ciał ale na pewno nic nie wiadomo, sprawy te są okryte tajemnicą. W 1979 r. wybuchł skandal



okazało się, iż firma „Cryonic Interment" oszukiwała klientów – fakt ten (a może w ogóle spadek zainteresowania taką drogą powrotu do życia po śmierci) spowodował odwrót od zamrażania. Amerykanie wolą teraz oddawać do kriotoriów fragmenty własnych tkanek (zabezpieczenie na wypadek konieczności przeszczepu) oraz plemniki i komórki jajowe (zabezpieczenie przed ewentualną bezpłodnością, daje to także możliwość urodzenia dziecka po śmierci jednego z rodziców...) – ale to już temat na inną opowieść.

Sprawa „odwracalnego zamrażania" wybuchła przecież ostatnio na nowo. Najpierw jeszcze cofniemy się w czasie – w 1974 r. dr Wittingham z Cambridge w Anglii przeprowadził takie doświadczenie: wyjęte z macicy myszy kilkudniowe embriony zamroził w płynnym azocie i trzymał je w stanie anabiozy (zahamowanego życia) przez 8 miesięcy. Potem delikatnie rozmroził i wszczepił mysiej matce. Myszka w odpowiednim czasie urodziła zdrowe mysięta! Doświadczenia takie wykonano potem z zarodkami szczurów, królików, owiec, kóz i koni. Wszczepianie zamrożonych uprzednio zarodków stało się dziś nadzieją hodowców. Na przykład od specjalnie dobranej, najwartościowszej krowy, pokrytej najwartościowszym buhajem, można nawet w ten sposób uzyskać do kilkudziesięciu kilkudniowych zarodków. Wszczepia się je natępnie „zastępczym matkom" krowim, które donaszają cielęta. W ten sposób z jednej najlepszej pary zwierząt można zamiast jednego uzyskać od razu wiele superrasowych cieląt. Zarodki wszakże mogą przeżyć „w probówce" najwyżej 3–4 godziny, więc trzeba je zamrażać, wówczas mogą być przewożone, mogą spokojnie czekać na „zastępcze matki" itd. (Nb. zaawansowane badania nad transplantacją „mrożonych embrionów" zwierząt hodowlanych prowadzi się w krakowskiej Akademii Rolniczej.)

No tak, skoro udaje się wyhodować zdrowe cielę z zarodka, który miesiącami przebywał w płynnym azocie, w niewyobrażalnym mrozie minus 196°C, dlaczegóż nie miałoby się to udać z zarodkami człowieka? Kiedy w 1982 r. ogłoszono, że takie doświadczenia planują uczeni francuscy, część opinii publicznej wyraziła przerażenie i zgorszenie. Były to już wprawdzie czasy licznych „dzieci z probówki", ale tym razem chodziło o zamrożenie kilkudniowego zarodka ludzkiego, a więc nie samego plemnika czy komórki jajowej, ale czegoś, co wielu ludzi na świecie uznaje za poczętą osobę ludzką, której przysługuje prawo do życia. Niezależnie zresztą od poglądów na tę sprawę, manipulacje z embrionami ludzkimi mogą budzić różne obawy. Być może obawy te wynikają z naszych przestarzałych już zasad lub niedobrych skojarzeń (Frankenstein...), być może to instynkt przestrzega nas przed zbytnią ingerencją w procesy regulowane dotąd przez naturę. Ale postępu nauki zatrzymać się nie da – i w roku 1984 wybuchła kolejna bomba. Zdarzyła się rzecz właściwie niebywała, rzecz z powieści fantastyczno-naukowych. Oto w szpitalu w Melbourne w styczniu tego roku przyszła na świat dziewczynka, która w postaci trzydniowego embrionu (poczętego zresztą w „probówce", poza organizmem matki) była zamrożona przez kilka miesięcy w temperaturze 196°C poniżej zera. Dziewczynce nadano imię Zoe. Jest zdrowa, więc lekarze australijscy nie wahali się już ogłosić, że trzymają w płynnym azocie jeszcze 230 ludzkich zarodków, że 40 z nich po rozmrożeniu wszczepiono przyszłym matkom i że „przyjęło się" – 23. Dwadzieścia trzy kobiety są więc w ciąży po wszczepieniu rozmrożonych embrionów.

Zoe jest zdrowa, ale ponieważ jest to pierwsze tego rodzaju doświadczenie na świecie z organizmem człowieka, nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy paromiesięczny okres zamrożenia w stadium zarodkowym w żaden sposób nie wpłynie na jej przyszłe życie.

Jest już zatem nie teoretycznie, ale praktycznie możliwe, że jakiś embrion w stanie anabiozy zostanie przetrzymany setki lat i że może urodzić się wówczas, kiedy jego genetyczni rodzice dawno, dawno już nie będą żyli. Moment zapłodnienia został od momentu urodzenia rozdzielony dowolnie długim czasem. Embrion ludzki przekroczył „granice nieśmiertelności". Czyżby był to początek drogi, którą kiedyś próbował wytyczyć odważny Bedford?

■

CZAS MÓZGÓW

Jerry Pournelle

Oto przekład obszernych fragmentów kolejnego rozdziału książki Jerry Pournelle'a „A Step Farther Out". Myśląca maszyna zostaje tu sprowadzona na ziemię – „do teraz" lub raczej w bardzo bliską przyszłość. Perspektywy rozwiązań opartych na uzasadnionych domniemaniach o sposobie funkcjonowania ludzkiego mózgu i – jednocześnie – perspektywy usprawnienia tego funkcjonowania wydają się nie mniej pasjonujące niż modele proponowane przez SF. Tym bardziej że nauka coraz częściej dogania fantastykę i dzieje się to na naszych oczach. Tak i tutaj: *„Pisarzom fantastyki naukowej coraz trudniej nadążać za czasem – nawet my przeżywamy szok przyszłości"* – pisze Pournelle. *„To wszystko może się zdarzyć. Czas wielkich mózgów nadchodzi".*

(A. T.)

(...) Począwszy od lat pięćdziesiątych, ilość informacji, która mogła być zmagazynowana w określonej objętości kostce pamięci kalkulatora, wzrastała każdego roku dwukrotnie i nic nie wskazuje na spadek tej tendencji. I chociaż mózg ludzki pozostaje, pomimo całej techniki mikrokostek, najwydajniejszym ze znanych systemów przechowywania danych, to elektronika zbliża się do niego coraz bardziej. A mózg nie jest tak niezawodny jak dzisiejsze komputery. Niemniej posiada on zdolność upakowania dużej liczby danych w małej przestrzeni i zapewnia szybki dostęp do nich.

Mózg ma jeszcze jedną wielce użyteczną cechę – wydaje się, że informacja nie jest przechowywana w jakimś określonym miejscu. (...) Pamięć pozostaje nawet wtedy, gdy usunie się 90% substancji korowej. Świadectwa ludzi z uszkodzeniami mózgu potwierdziły, że wspomnienia przechowywane są nie w jednym określonym miejscu, lecz w wielu miejscach, w zasadzie w całej korze mózgowej. To jest chyba klucz do zasady działania mózgu.

Drugą charakterystyczną cechą mózgu jest szybkość. Jako przykład rozważmy stymulację wzrokową. Widzimy nieoczekiwany obiekt. Na ogół nie tracimy czasu, by pomyśleć co to jest – młotek, spodek, ładna dziewczyna, sierżant-szef, wafel z lodami, tygrys szablisty gotów do skoku czy cokolwiek innego – po prostu wiemy, i to wiemy bardzo szybko.

Niemniej mózg musi pobierać impulsy ze świetlnego wzoru na siatkówce oka i coś z nimi robić. Co? Samoobserwacja wskazuje na szereg operacji prób i błędów. Wzory „próbkowe" są porównywane ze stymulującym obiektem dopóty, dopóki nie wystąpi bliska zbieżność. Wtedy wysyłany jest sygnał „Aha!". Jeżeli w jakiś sposób „Aha!" było wysłane dla złego wzoru próbkowego, to niezbędny był świadomy wysiłek, by go wymazać i „zobaczyć" obiekt tak, jak powinien być widziany.

Wciąż próbujemy nauczyć komputery rozpoznawania małej liczby bardzo precyzyjnie narysowanych wzorów, a ja spotkałem wczoraj człowieka, którego nie widziałem od lat, i rozpoznałem go natychmiast. Urabiamy sobie ręce, by nauczyć maszyny tego, co psy i koty robią automatycznie. Gdybyśmy tylko mogli odkryć, jak to się dzieje w mózgu...

Neurolodzy sądzą, że znaleźli właściwe podejście. To tylko teoria, która może okazać się złą; jest jednak wiele dowodów, że mózg człowieka działa jak hologram. Nawet jeśli działa inaczej, to komputer holograficzny mógłby przechowywać informację w tak zwarty sposób i zapewniać tak szybki dostęp do niej, jak czyni to mózg ludzki. (...) Ciekawą cechą hologramów jest to, że każda z wystarczająco dużych części płyty fotograficznej zawiera cały obraz. Jeżeli chcesz dać przyjacielowi kopię swojego hologramu, po prostu przecinasz go na pół – i obaj macie po jednym. On oczywiście może zrobić to samo, następny obdarowany również, i tak dalej. W końcu kawałki staną się zbyt małe – obraz będzie niewyraźny, zatracą się ostrość i szczegóły, ale nadal będzie to cały obraz.

Wygląda to dziwnie podobnie do wyników badań osób z poważnymi ubytkami tkanki mózgowej – wspomnienia niewyraźne, ale nadal wszystkie. Hologramy mogą być także stosowane jako filtry rozpoznawcze. Weźmy na przykład hologram słowa „prawda" i popatrzmy przezeń na zadrukowaną stronicę. Hologram jest mętny, więc nie możemy odczytać tekstu, lecz jeżeli na tej stronicy znajduje się słowo „prawda", samo lub jako część dłuższego słowa, to dokładnie w tym miejscu zobaczymy bardzo jasną plamę światła. Wydrukowane słowo może mieć zupełnie inny wygląd niż słowo użyte przy sporządzaniu hologramu. Mogą różnić się i czcionką i rozmiarem liter. Plama światła będzie wtedy mniej jasna i mniej ostra, ale będzie, ponieważ ważny jest wzór. (...)

Zauważmy, że opisana własność hologramów przypomina nieco przeglądanie próbnych wzorów przez mózg, któremu przedstawiono nieznany obiekt. Spośród wielu wzorów, które mogą być sprawdzone „przez" hologram obiektu-bodźca, wybierany jest jeden.

Fizjologia odkryła jeszcze jedną własność upodobniającą mózg do komputera holograficznego. Otóż wydaje się, że dane docierające do mózgu są poddawane przezeń przekształceniu Fouriera, a transformaty Fouriera mogą służyć do przekazywania hologramów.

Przekształcenie Fouriera jest operacją matematyczną, która rozkłada złożone formy falowe, wzory, sygnały, czy cokolwiek innego na nieco dłuższe, ale precyzyjnie ukształtowane sygnały o

Dokończenie na stronie 60

Dokończenie ze strony 59

prostszych częstotliwościach. Na przykład bardzo splątana linia może być zamieniona w ciąg liczb, przekazana w tej postaci i następnie dokładnie odtworzona. Wydaje się, że mózg wykonuje właśnie takie przekształcenia danych.

Dany w postaci transformaty Fouriera przekaz (lub obraz, lub wspomnienie) może łatwo być systematycznie porównywany z innymi przekazami, ponieważ ma strukturę łańcucha liczb. Najpierw, ignorując miliony pozostałych przekazów, wybiera się te, które mają pierwszy człon taki sam jak przekaz zadany. Następnie powtarza się wybór porównując drugie człony, i tak dalej, dopóki nie znajdzie się identycznego lub bardzo podobnego łańcucha. Jeżeli nasze wspomnienia są przechowywane w postaci transformat Fouriera lub w innej postaci łatwej do przekształcenia w takie transformaty, to znaleźliśmy mechanizm, który tłumaczy naszą szczególną zdolność tak szybkiego rozpoznawania obiektów.

Byłoby zatem dogodne, aby nasz mózg umiał wytwarzać hologramy – lecz czy naprawdę umie i czy wytwarza? Czy umie, to znaczy czy możemy przedstawić mechanizm, który mógłby w tym celu wykorzystywać. Czy go wykorzystuje – tego nie wiemy, ale nie wydaje się, by jakieś doświadczenia przeczyły tej teorii całkowicie. (...) Innymi słowy, opisany model tłumaczy bardzo wiele znanych faktów. I nie można stwierdzić nic więcej ponad to, że mózg mógłby wykorzystywać hologramy. (...)

Niezależnie jednak od tego, czy nasze mózgi wykorzystują hologramy czy nie, to komputer holograficzny prawie bez wątpienia będzie działał, a holograficzna technika przechowywania informacji wskazuje nam drogę konstruowania owych samodzielnych robotów, na które tak bardzo liczy literatura fantastyczno-naukowa. Wygląda na to, że czas wielkich mózgów może nadejść przed końcem naszego stulecia. (...)

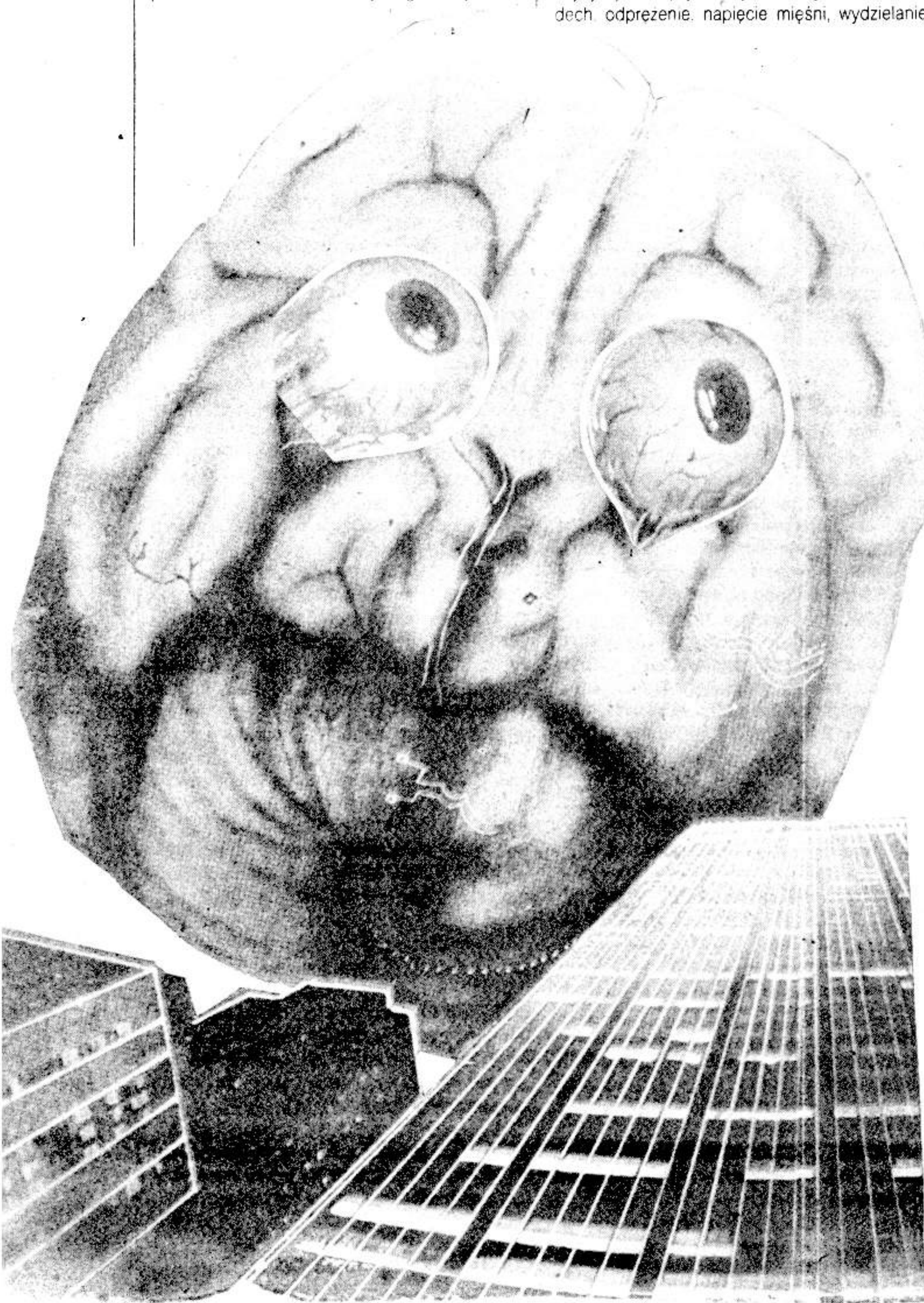
Badania nad tym jak myślimy i jak mogłyby myśleć maszyny – trwają. Weźmy na przykład biologiczne sprzężenie zwrotne. Wyniki są już nadzwyczajne, a to dopiero początek. Barbara Brown, fizjolog z Veteran's Administration Hospital, której książka „Nowy umysł, nowe ciało" istotnie przyczyniła się do rozwoju zainteresowania biosprzężeniem zwrotnym, jest obecnie przekonana, że we wschodnich systemach jogi nie ma nic, czego nie można by się nauczyć w przeciągu tygodni, najwyżej miesięcy. Pomyślcie – rytm serca, oddech, odprężenie, napięcie mięśni, wydzielanie hormonów przez gruczoły – to wszystko podporządkowane waszej woli. Dr Brown jest o tym przekonana. (...)

Trzeba jednak zachować ostrożność. W dziedzinie biosprzężeń zwrotnych działa wielu szarlatanów, którzy bądź sprzedają różny sprzęt, bądź głoszą, że są „nauczycielami". A dziedzina jest zbyt młoda, by dysponować wieloma standardami, czy to w sprzęcie czy w personelu, tak że potencjalny klient powinien być czujny. (...)

Dr Reed wierzy, że w przeciągu dziesięciu lat złamiemy kod, w którym mózg przetwarza i przechowuje informację. Jeżeli tak się stanie, to będziemy mogli wprowadzać informację bezpośrednio do jednostki centralnej mózgu, pomijając względnie powolne urządzenia peryferyjne, jakimi są oczy i uszy. Nie trzeba czytać książki – komputer załaduje jej treść bezpośrednio do umysłu. (...)

Oznacza to całkowitą przebudowę naszego systemu edukacji i jest na to chyba najwyższy czas. Spotkałem niewielu nauczycieli, którzy wykładali wiedzę o nowych możliwościach, a nie znam nikogo, kto planowałby przyszłość, w której nie musielibyśmy siedzieć w klasach przez pierwsze dwadzieścia lat naszego życia. (...)

Nawiasem mówiąc, Reed uważa, że każdy z nas ma inny kod – nie wszystkie mózgi używają tych samych symboli w przetwarzaniu informacji. Zatem każdy potrzebowałby komputera nauczonego jego kodu. To oczywiście nie jest przeszkoda – system komputerowy nie musi być bardzo kosztowny, i nie będzie, przynajmniej za parę lat. (Jedna uwaga: jeżeli każdy z nas używałby innego systemu kodowania, to prawdziwa telepatia należałaby do rzadkości i zdarzałaby się raczej pomiędzy bliźniakami niż pomiędzy innymi ludźmi, co też wydaje się odpowiadać doświadczeniu.)



Implikacje tego wszystkiego są szokujące. W bliskiej przyszłości – za życia większości z was – będą tacy ludzie, którzy uzyskawszy wszczepiony przekaźnik będą wiedzieć absolutnie wszystko co wie ludzka rasa. Chcesz znać równanie regresji wielowymiarowej wiążącej pogodę, zużycie benzyny, produkcję elektryczności, liczbę stępek położonych pod budowę statków, ceny przyszłorocznych zbiorów pszenicy i liczbę plakatów w Pekinie? Pomyśl tylko to zadanie i czekaj – odpowiedź powinna pojawić się dość szybko.

Według Reeda, wszczepiane przekaźniki, którymi posługiwałem się w różnych opowiadaniach (np. „High Justice" – „Wysoka sprawiedliwość", „Exiles to Glory" – „Wygnańcy do sławy") są całkowicie do zrealizowania; mogłem być zbyt konserwatywny. Na pewno będziemy mieli wszczepiane urządzenia, które „mówią" do nas, podając informację bezpośrednio do nerwów wzrokowych i słuchowych – faktycznie mamy je, dość prymitywne, już teraz i używamy, by umożliwić ślepym widzenie, a głuchym słyszenie. Dotąd doszliśmy w ostatnich latach. W niezbyt odległej przyszłości zrobimy dla upośledzonych więcej niż to było kiedykolwiek do pomyślenia. „Bioniczny człowiek", pozbawiony jedynie tych nierealnych atrybutów, które łamią prawa termodynamiki, może stać się rzeczywistością jeszcze w tym stuleciu.

Pójdźmy dalej – kiedy system kodowania będzie już całkiem poznany, będzie można „rejestrować" osobowość człowieka. Jeżeli do tego powiodą się eksperymenty z klonowaniem, to osobowość będzie mogła być przepisywana w młodsze wydanie tej samej osoby – wiedza pięćdziesięciu czy osiemdziesięciu lat życia włożona w dwudziestopięcioletnie ciało.

Za daleko? Fantazja naukowa? Nie. Jest bardzo wymierne prawdopodobieństwo, że przytrafi się to niektórym z was, i znacznie mniejsze, że przytrafić mogłoby się mnie. (...)

Przełożył
Krzysztof Rudziński

POD ZNAKIEM VIDEO

Okres między końcem kwietnia a początkiem lipca br. obfitował w wiele ciekawych wydarzeń w polskim Fandomie. W numerze czerwcowym „Fantastyki" pisaliśmy już o wcześniejszych imprezach. O ile w zeszłym roku przeważały seminaria i warsztaty twórcze, o tyle w tym roku absolutny prym wiodą przeglądy filmowe. Sprawcą tego jest coraz bardziej dostepne video, które mimo mniejszego komfortu oglądania, zapewnia rzecz dla miłośników SF najważniejszą – aktualność i dużą różnorodność pokazywanych filmów. Chociaż jestem wielkim zwolennikiem video, mam jednak nadzieję, że imprezy typu seminaryjnego nie zostaną przez nie całkowicie wyparte.

Dość interesujący zestaw filmów zaprezentowano na imprezie zorganizowanej przez Wrocławski Klub Fantastyki w dniach 4–6.05.84 r. Można tam było obejrzeć oprócz żelaznych pozycji, czyli „Powrotu Jedi" i „Ciemnego kryształu", takie filmy jak „Błękitny Grom", „Laserowy miotacz", „Bramy piekieł" i „Władca Bestii" – obrazy nieczęsto spotykane, stanowiące pewien ewenement na tego typu przeglądach.

Nie zabrakło także we Wrocławiu spotkania z redakcją „Fantastyki", którą reprezentowali Jacek Rodek i Darosław Toruń. Do potknięć organizacyjnych należy zaliczyć przede wszystkim kompletny brak informacji o programie, jak również rozrzucenie miejsc posiłków po różnych częściach miasta, co wprowadziło pewne zamieszanie. Całość mogła jednak sprawić sympatyczne wrażenie i imprezę należy zaliczyć do udanych.

★

Impreza Poznańskiego Klubu Filmowego „NOSTROMO" (18–20.05.84 r.), mimo że również była przeglądem filmowym, nosiła nieco odmienny charakter. Nie królowało tu wszechwładne video. Wszystkie filmy były prezentowane z taśmy 16 mm. Oprócz bardzo starych już obrazów w rodzaju „Milczącej gwiazdy" czy „Sygnałów MMXX", organizatorzy zapewnili absolutną nowość: „Shining". Już choćby ze względu na ten film poznańską imprezę należy zaliczyć do interesujących.

★

Filmy, filmy, filmy – tak chyba można określić imprezę zorganizowaną w Starej Miłośnie pod Warszawą w dniach 25–27.05.84 r. przez Warszawski Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Organizatorzy okazali się prawdziwie „bezlitośni" dla przybyłych fanów. Przegląd był maratonem, który mogli wytrzymać jedynie zagorzali miłośnicy X Muzy. Pokazy rozpoczynały się rano tuż po śniadaniu i trwały z przerwami na posiłki nierzadko do drugiej w nocy. W ciągu niecałych trzech dni pokazano 12 filmów, co dało łącznie około 24 godzin projekcji.

Oprócz standardowych na tego typu imprezach filmów, takich jak „Powrót Jedi", „TRON", „Conan" czy „Ciemny kryształ" – można było obejrzeć mniej rozpowszechnione obrazy: „Blade Runner", „Władca Pierścieni" wg Tolkiena, „Rollerball" i „The Thing".

Nie obeszło się niestety bez małych potknięć technicznych ze sprzętem, ale mimo wszystko myślę, że ci, którzy wytrzymali te kilkanaście godzin projekcji, nie żałują swojego przyjazdu na imprezę.

★

W tych samych dniach, w których odbywała się impreza warszawska, Rada Uczelniana ZSP Politechniki Łódzkiej przy pomocy Łódzkiego Klubu Fantastyki zorganizowała spotkanie pod nazwą „Dni Fantastyki". I tutaj nie zabrakło filmów. Fanowie mieli możność obejrzeć tam między innymi „Powrót Jedi", „Ciemny kryształ", „Przeskok w czasie", „Conan". Oprócz tego odbyła się giełda książek SF, prezentacja nagrań muzyki elektronicznej, dyskoteka oraz wspólne posiedzenie przedstawicieli niektórych klubów miłośników fantastyki, na którym postanowiono ufundować nagrodę dla najlepszego polskiego pisarza roku w dziedzinie SF. Nagrodę ma stanowić statuetka o nazwie „Sfinks", na której projekt plastyczny rozpisano konkurs.

Nie mogę się tu powstrzymać od pewnej refleksji. Myślę, że warto, aby na przyszłość organizatorzy poszczególnych imprez uzgadniali między sobą ich terminy. Pozwoli to uniknąć jednoczesnego przeprowadzania spotkań o charakterze ogólnopolskim, tak jak było w przypadku Warszawy i Łodzi.

★

Wspomniane tu imprezy to oczywiście tylko część tegorocznych zamierzeń. Trudno jest pisać artykuł informacyjny z 3,5-miesięcznym wyprzedzeniem. To co dla mnie jest jeszcze przyszłością, dla czytelnika będzie w chwili ukazania się tego numeru, w części przynajmniej, dość odległą przeszłością. Dlatego też wypunktuję jedynie poszczególne zamierzenia, bez większego zagłębiania się w ich treść merytoryczną.

● W ramach corocznej studenckiej „Famy" Oddział PSMF w Świnoujściu i Rada Główna mają prowadzić przez tydzień (9–16.07.84 r.) klub SF. Przewidziano liczne spotkania autorskie, pokazy filmowe, zabawy, jak również stałe stoisko z wydawnictwami wewnątrzorganizacyjnymi, znaczkami, pamiątkami, itp.

● W „Fantastyce" nr 2/84 pisaliśmy o Dniach Fantastyki, przygotowanych przy współudziale naszego miesięcznika i PSMF. I znów przy połączeniu sił „Fantastyki" i Stowarzyszenia zostanie zorganizowane na początku października seminarium poświęcone czterdziestoleciu powojennej science fiction w Polsce. Tym razem miejscem spotkania profesjonalistów i fanów z całej Polski stanie się Staszów w woj. tarnobrzeskim. Trzeba w tym miejscu podkreślić ogromną pomoc organizacyjną i finansową tamtejszych ośrodków kultury i Staszowskiego Klubu Fantastyki.

● Kolejna impreza jest przygotowywana na początek listopada. Będzie to Konwent Klubów. Organizatorem jest Oddział Częstochowski i Rada Główna PSMF. W programie dyskusje i spotkania z zaproszonymi gośćmi, pokazy filmowe, wspólna dyskoteka i wiele niespodzianek.

● Ostatnie tegoroczne spotkanie ma charakter czysto rozrywkowy. Będzie to przygotowany przez Poznański Oddział PSMF Ogólnopolski Kostiumowy Bal Sylwestrowy. W programie między innymi konkurs na najciekawsze przebranie w konwencji SF.

● Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki rozpoczyna wydawanie dwóch periodyków: dwumiesięcznika „Sfera" (format A-3, objętość 16 stron) i kwartalnika „Feniks" (format A-5, objętość 120 stron). Na treść obu czasopism złożą się opowiadania krajowe i zagraniczne, krytyka, paranauka, przedruki z fanzinów i prasy, zapowiedzi wydawnicze, informacje o ruchu miłośników SF, grafika. Oba periodyki z racji swojego niskiego nakładu (3000 egz.) będą rozprowadzane głównie na zasadach prenumeraty. Bliższe szczegóły będzie można uzyskać pisząc pod warszawskim adresem PSMF. Pierwsze numery „Sfery" i „Feniksa" powinny się ukazać na początku października.

Maciej Makowski

KLUBY SF W POLSCE

Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki

– **Rada Główna:** 00-973 WARSZAWA, ul. Żwirki i Wigury 30, skr. poczt. 77
– **oddz. białostocki:** Środowiskowy Klub Fantastyki „UBIK", 15-872 BIAŁYSTOK, ul. Dąbrowskiego 3
– **oddz. bydgoski:** Klub „BEANUS", BYDGOSZCZ, ul. Chodkiewicza 30a, Klub Miłośników SF przy Pałacu Młodzieży, BYDGOSZCZ, ul. Jagiellońska 21
– **oddz. częstochowski:** 42-200 CZĘSTOCHOWA, ul. Racławicka 2 (SKS „Wakans")
– **oddz. gdański:** 80-395 GDAŃSK-PRZYMORZE, ul. Olsztyńska 8i/12
– **oddz. lubelski:** Lubelski Klub Fantastyki, 20-010 LUBLIN, ul. Podgrodzie 3
– **oddz. piotrkowski:** 97-300 PIOTRKÓW TRYBUNALSKI, ul. Belzacka 66
– **oddz. poznański:** „ORBITA", 61-641 POZNAŃ, Os. Kosmonautów 118
– **oddz. szczeciński:** Klub „WĄŻ MORSKI", 72-600 ŚWINOUJŚCIE, ul. Batalionów Chłopskich 2
– **oddz. warszawski:** Klub „SFERA", 00-973 WARSZAWA, ul. Żwirki i Wigury 30, skr. poczt. 77
– **oddz. zielonogórski:** ZIELONA GÓRA, ul. II Armii 36/38
– **Klub PSMF w Pruszkowie:** „SFINKS", PRUSZKÓW ul. Prusa 8
– **Klub PSMF w Staszowie:** 29-200 STASZÓW, ul. Parkowa 6
– **Klub PSMF w Żyrardowie:** 96-300 ŻYRARDÓW, ul. Marchlewskiego 18/3

Kluby nie zrzeszone w PSMF

– **Gliwicki Klub Miłośników Fantastyki:** 44-100 GLIWICE ul. B. Bieruta 14b/11
– **Gorzowski Klub Miłośników Fantastyki Naukowej:** 66-409 GORZÓW WLKP. 12, ul. Chełmońskiego 6
– **Klub Fantastyki:** 31-002 KRAKÓW, ul. Poselska 9 (przy klubie środowiskowym „Zaułek")
– **Klub Fantastyki „PHOENIX":** 91-471 ŁÓDŹ, ul. Łagiewnicka 118c
– **Klub Miłośników Fantastyki „SOKIBUS-F":** 45-084 OPOLE, ul. Strzelców Bytomskich 8 (WDK Opole, Dział środowiskowy)
– **Śląski Klub Fantastyki:** 40-956 KATOWICE, ul. Mariacka 17a, skr. poczt. 502
– **Wrocławski Klub Fantastyki:** 50-306 WROCŁAW ul. Parmota 18/7

SPOTKANIE NA LUZIE

Pod koniec kwietnia br. w nadmorskiej miejscowości Brighton (Wielka Brytania) odbyły się trzy imprezy o dużym znaczeniu dla miłośników science fiction: World SF (zjazd profesjonalistów) i w trzy dni później IX Eurocon, połączony z Seaconem brytyjskim. W imprezach tych wzięło udział około 2000 ludzi z całego świata, w tym także delegacja z Polski.

Tak się złożyło, że miałem sposobność uczestniczenia od 1976 roku we wszystkich Euroconach, począwszy od Poznania, przez Bruksele, Strese, Mönchengladbach – aż do Brighton. Otóż żadna z poprzednich imprez nie może się równać z ostatnią pod względem organizacji, programu, frekwencji i atmosfery spotkania.

W Poznaniu była wprawdzie bardzo dobra organizacja, przybyło około 60 pisarzy, lecz właściwie – z nielicznymi wyjątkami – brak było reprezentacji Fandomu. Całość była utrzymana w spokojnej, niemal dostojnej atmosferze. Posiedzenia plenarne, referaty, spotkanie z władzami województwa, bankiety, itp. Miało to oczywiście swoje dobre strony, ale brak było – moim zdaniem – jakiejś spontaniczności, pewnego luzu, wszystko było śmiertelnie poważne.

W Brukseli panował totalny bałagan. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, nie było wiadomo, gdzie odbywa się konwent, a w informacji turystycznej powiedziano nam, że impreza została odwołana. Dopiero po telefonie do organizatora dowiedzieliśmy się, że jednak konwent się odbywa. Jedyne, co zapamiętałem z tego zjazdu, to przegląd filmów SF i ciągłe zmiany w programie.

W Stresie było już znacznie lepiej: i pod względem organizacyjnym i programowym liczyliśmy się na arenie międzynarodowej, więc skład polskiej delegacji był dość liczny. Plonem pobytu było przywiezienie 3 nagród Euroconu: dla najlepszego pisarza wschodnioeuropejskiego (A. Wiśniewski-Snerg), dla najlepszego wydawnictwa profesjonalnego (KAW) i dla najaktywniejszego fana (A. Pruszyński).



Następny Eurocon odbył się w 1982 roku w RFN. Ruch miłośników fantastyki i SF w Polsce przeżył tymczasem sporo wstrząsów. Miejsce dawnego OKMFiSF zajęło Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki i Science Fiction, na terenie kraju powstały samodzielne Kluby Miłośników Fantastyki. Po wielu latach starań powołano także do życia pierwszy, i jak na razie jedyny, profesjonalny magazyn SF „Fantastyka". Na temat tego i następnego Euroconu, który odbył się w Lublanie, nie będę tutaj pisać, ponieważ w naszym piśmie zamieściliśmy sprawozdania z tych spotkań.

Przejdę teraz do Brighton. Pierwsza z organizowanych tam imprez – World SF – miała przebieg bardzo spokojny, powiedziałbym nawet, cichy. Były to przede wszystkim kuluarowe spotkania wydawców i pisarzy, wspólny obiad, podczas którego rozdano nagrody World SF, kilka referatów, dwa przyjęcia. Kiedy zapytałem Briana Aldissa, co będzie na „Seaconie" odpowiedział z uśmiechem: „Zobaczysz, pojutrze zjedzie się tu cały tłum »crazy people« (zwariowanych ludzi)". I wcale nie przesadził. Impreza przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Nie tylko dlatego, że przyjechało tak dużo osób, ale także ze względu na

Rozmowa z Rogerem Zelaznym



Jacek Rodek:– Uważany Pan jest, obok takich pisarzy jak Philip Dick czy J. G. Ballard, za jednego z głównych inicjatorów i przedstawicieli tak zwanej „nowej fali" w science fiction. Czy mógłby nam Pan powiedzieć, jak zrodziła się nowa fala?

Roger Zelazny: – Nazwę „nowa fala" oczywiście wymyślili krytycy, kiedy ja i wielu innych pisarzy na początku lat sześćdziesiątych doszliśmy do wniosku, że należy pisać inaczej. Nigdy nie miało to charakteru jakiegoś zorganizowanego ruchu. Po prostu uznaliśmy, niezależnie od siebie, że pisarstwo SF stoi na bardzo niskim poziomie literackim. W przeważającej większości było to powielanie tych samych schematów, rysy charakterystyczne bohaterów były proste, bez żadnej głębi wewnętrznej. A przede wszystkim, człowiek był tutaj traktowany jak przedmiot. Bardzo mi się to wszystko nie podobało i dlatego starałem się tak pisać, aby utwór spełniał wszystkie wymogi literackie, z pełną podmiotowością bohatera, z pogłębieniem warstwy psychologicznej, dbałością o konstrukcję, język i wielowymiarowość tła.

– Którą ze swoich książek uważa Pan za najlepszą, która najbardziej Panu „wyszła"?

– Myślę, że „Lord of Light" (Pan światła).

– Ale jest to chyba jedna z Pana książek trudniejszych w odbiorze.

– Niewątpliwie tak, jednak mam do niej duży sentyment. Była to przy tym jedna z moich najtrudniejszych warsztatowo książek. Jednocześnie sprawiła mi najwięcej przyjemności przy pisaniu. A starałem się w niej połączyć wszystkie dotychczasowe trendy SF: technikę, fantasy i psychologię.

– A co uważa Pan za swoją najgorszą rzecz?

– „To die in Italbar". Nie podoba mi się jej zakończenie. Pisałem ją w pośpiechu, bo potrzebowałem pieniędzy. Było to wówczas, kiedy zdecydowałem się przejść na zawodowe pisanie i porzuciłem moją dotychczasową pracę. Gdybym mógł sprawić, żeby jakaś książka zniknęła, to chyba właśnie ta.

– Czy nie macie w zwyczaju poprawiać książek w ich nowych wydaniach?

– Na ogół w USA się tego nie robi. Zdarzają się takie przypadki, są one jednak bardzo rzadkie. Wydawcom nie opłaca się robić jeszcze raz skła-

program. Organizatorzy przygotowali imprezy trwające praktycznie 24 godziny na dobę przez trzy dni. Co najmniej kilka imprez odbywało się jednocześnie. Nie sposób wymienić wszystkich. Spotkania z autorami, przeglądy filmów video i oddzielny repertuar na taśmach 16 milimetrów, inscenizacje teatralne, salon komputerowy, wystawy malarstwa i grafiki SF połączone z aukcją, olbrzymi salon książek, gdzie od liczby tytułów i okładek, a także najprzeróżniejszych gier i zabawek można było dostać oczopląsu.

Jedną z większych atrakcji była maskarada – duża grupa uczestników wystąpiła w strojach najpopularniejszych bohaterów z książek i filmów fantastycznych. Można było spotkać Lorda Vadera, Luke'a i księżniczkę Leę z „Gwiezdnych wojen", Conana oraz wiele innych postaci z panteonu SF i fantasy. Na koniec odbył się wielki konkurs na najciekawsze przebranie. Przyznano wiele nagród w różnych kategoriach: za pomysł, wierność postaci, inscenizację jakiegoś wybranego epizodu z filmu bądź książki. Wszystko odbywało się w bardzo swobodnej i pogodnej atmosferze. Zresztą cały konwent miał charakter festynu i zabawy, wieczorami odbywały się różnego rodzaju bale i dyskoteki, odbył się nawet koncert zespołu uprawiającego muzykę SF. Chciałbym podkreślić, że mimo tego całego luzu właściwie nie było większych wpadek organizacyjnych.

Była to niewątpliwie jedna z tych imprez międzynarodowych, które na długo pozostają w pamięci.

Jacek Rodek

W spotkaniu w Brighton uczestniczyło wielu znanych autorów SF. Przybyli m.in.: Brian Aldiss i John Brunner z W. Brytanii, Pierre Barbet z Francji, Jeremiej Parnow ze Związku Radzieckiego, Marion Zimmer Bradley, Joe Haldeman, Julian May, Frederik Pohl, Donald A. Woolheim i Roger Zelazny ze Stanów Zjednoczonych, Wolfgang Jeschke i Uwe Luserke z RFN, Josef Nesvadba z Czechosłowacji, Sam Lundwall ze Szwecji i Harry Harrison z Irlandii.


BRIAN ALDISS


HARRY HARRISON


JOE HALDEMAN

du. A poza tym, łatwiej jest napisać zupełnie nową książkę niż zmieniać już raz napisaną.

– Na podstawie jednej z Pana powieści nakręcono film. Proszę nam powiedzieć jak to się stało, że z tak dobrej książki zrobiono film tak zły?

– Ma Pan na myśli „Aleję potępienia"? To fakt. Wytwórnia filmowa, bodajże „Paramount", zwróciła się do mnie o napisanie scenariusza. Zrobiłem to i wysłałem go zgodnie z umową – po jakimś czasie otrzymałem go z powrotem wraz z naniesionymi poprawkami i uwagami reżysera. Przerobiłem go jeszcze raz i odesłałem. Potem przez długi okres była cisza. Aż do pojawienia się filmu. Jakie było moje zaskoczenie, gdy zobaczyłem gotowy film, który prawie zupełnie odbiegał od tego, co było w scenariuszu napisanym przeze mnie. Okazało się, że zmienił się reżyser, który jeszcze raz przerobił mój scenariusz po swojemu, zachowując właściwie tylko motyw wędrówki pochodzący z mojego tekstu. W efekcie powstał zupełnie inny film.

– Czy studiował Pan kiedyś religioznawstwo? W wielu Pana książkach daje się zauważyć silne zainteresowanie religią, a zwłaszcza religiami Wschodu.

– Już w szkole interesowałem się książkami z tej dziedziny. Innych interesowały wtedy książki przygodowe, ja czytałem całe mnóstwo książek o religiach. Pozostało mi to do dziś.

– Czy SF może ukrywać braki warsztatowe pisarza? Jeżeli pisarz SF zechce napisać książkę współczesną, to czy będzie to dobra książka?

– Chyba tak. Nawet mnie się coś takiego zdarzyło. Wydałem dwa tomiki poezji i dwa duże opowiadania dla dzieci. Tu chcę nawiązać do początku naszej rozmowy. Do tego, co mówiłem o przełomie lat sześćdziesiątych. Wtedy naprawdę polepszył się poziom warsztatowy prozy SF. Poza tym lubię w SF to, że można tu użyć pewnych postaci i zdarzeń, które są nie do przyjęcia w prozie współczesnej.

– Jaki jest Pana zawód? Ten prawdziwy?

– Byłem urzędnikiem w zakładzie ubezpieczeń społecznych. Zajmowałem się zapomogami. To była głównie papierkowa robota.

– Czy w najbliższej przyszłości uda się, według Pana, zmienić ogólne zdanie o SF, że jest to literatura drugorzędna?

– To już się staje. W USA może nawet bardziej niż w Europie. Szczególnie w ostatnich dziesięcioleciach, od kiedy książki SF weszły na listy przebojów czytelniczych.

– Ale w ostatnim wydaniu „Publishers Weekly" na ponad sto pozycji znalazły się zaledwie trzy pozycje SF.

– Proszę nie zapominać, że w „SF Writters of America" jest tylko 500 członków, a inne książki pisują tysiące ludzi.

– Co się w Stanach cieszy największą popularnością wśród czytelników?

– Na pierwszym miejscu znajdzie się z pewnością książka kucharska, potem podręczniki dla majsterkowiczów, książki o aerobiku, thrillery...

– Czy czyta Pan innych autorów SF?

– Zawsze. Kilkadziesiąt tomów rocznie. Spośród nich staram się wybierać książki różne tematycznie.

– A Lema?

– Bardzo lubię, na przykład „Solaris".

– D. Wollheim mówił, że tylko 2% Amerykanów czyta regularnie literaturę SF, niektóre książki idą jednak w milionach egzemplarzy. Jaki jest największy Pana nakład?

– Chyba seria „Embruck", której sprzedałem około miliona kopii. Na drugim miejscu jest chyba „Lord of Light" – około pół miliona, ale to było kilka lat temu. Teraz nie sprawdzałem ostatnich sprzedaży.

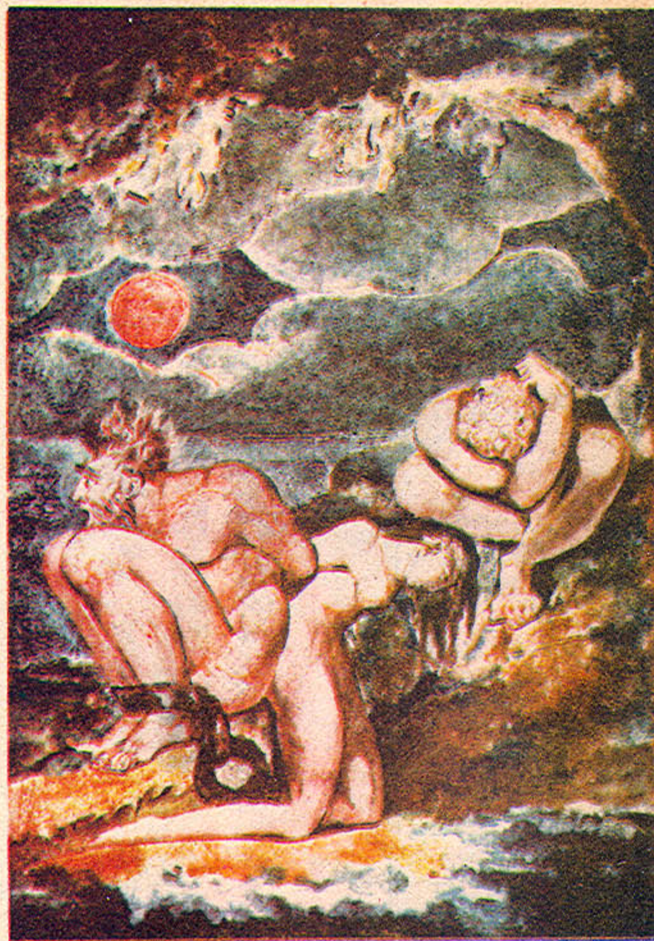
– Podobno w Stanach książka jest dodrukowywana przez cały czas, póki się sprzedaje. Dobra powieść SF utrzymuje się w księgarniach do dwudziestu pięciu lat.

– Dlatego właśnie pisarze mogą żyć z książek. Nawet te pozycje, które napisali przed wielu laty, często są do dziś w sprzedaży i wciąż przynoszą dochody. Kiedy ktoś ma dwadzieścia, dwadzieścia pięć dobrych książek, to może już utrzymać się z samego pisania. A wydawcy amerykańscy, cokolwiek by o nich mówić, mają bardzo dobre wyczucie rynku.

– Dziękuję Panu za informacje i czas, który poświęcił Pan na rozmowę. Niedługo przedstawimy ją wszystkim naszym Czytelnikom, choć Pańskiej popularności wśród nich utwierdzać, jak sądzę, nie trzeba.

Sylwetkę Rogera Zelazny'ego przedstawiliśmy w „Fantastyce" nr 5/83

Tadeusz Miciński


W. Blake

„Ja wybierając los mój – wybrałem szaleństwo"

Tadeusz Miciński – prozaik i dramatopisarz, prekursor nowoczesnej poezji polskiej – urodził się 9 listopada 1873 r. w Łodzi. Pochodził ze zubożałej rodziny szlacheckiej: jego ojciec – Rudolf był geometrą, matka – Wanda Pruska odziedziczyła maleńki majątek w Lubelskiem, ale był to odblask dawno minionej świetności. Na życiu młodego poety zaciążyły tragiczne wypadki dzieciństwa, które urosły do miana okrutnego, tajemniczego fatum, zapowiedzi nieuchronnego przeznaczenia. Uduszony w czasie porodu – cudem przywrócony do życia, w kilka lat później wypada z okna trzypiętrowej kamienicy na leżące poniżej szyny i kamienie. Jakby nie dosyć było tych ostrzeżeń – zapada na ciężką chorobę – krup tocząc beznadziejną walkę ze śmiercią. Silny organizm zwycięża. Pozostaje jednak głęboki uraz, bolesna pamięć przeszłości, kłopoty z wymową, nieznaczne zniekształcenie twarzy, które trzeba zasłaniać zarostem.

Krótkie, burzliwe życie Micińskiego obfituje w bogactwo podróży, dalekich wypraw po wiedzę. Jest początkowo nauczycielem domowym na Polesiu, mieszka w Warszawie, Zakopanem, kończy studia w Krakowie i Lipsku. Później podróżuje po Rosji – interesuje się teatrem Stanisławskiego, współpracuje z tygodnikiem „Głos Polski". Wchodzi w skład Zarządu Towarzystwa Kultury Słowiańskiej w Moskwie. Ginie w nie wyjaśnionych okolicznościach w lutym 1918 roku w czasie rozruchów chłopskich w guberni Mohylowskiej.

Dla wielu współczesnych jest Miciński poetą niezrozumiałym, nazbyt trudnym, po norwidowsku lekceważonym i niedocenianym. Debiutuje zbiorem wierszy „W mroku gwiazd" (1902). Później przychodzą dramaty: „Kniaż Patiomkin" (1906) – podejmujący dzieje rewolucji 1905 roku, „W mrokach złotego pałacu, czyli Bazylissa Teofanu" (1909) – osnuty na losach Bizancjum X wieku; powieści: „Nietota. Księga tajemna Tatr" (1910), „Ksiądz Faust" (1913), „Wita" – historia z czasów Stanisława Augusta, wydana pośmiertnie w roku 1926; nowele: „Dęby Czarnobylskie" (1911); publicystyka: „Do źródeł duszy polskiej" (1906)... O „popularności" tych utworów świadczy wypowiedź Micińskiego z roku 1909. Świadom własnego talentu autor „Nietoty" stwierdzał z głęboką urazą: *„Niewytrawna krytyka oraz niedbałość publiczna zagłuszyły mój utwór dramatyczny „Kniaż Patiomkin"; poezje „W mroku gwiazd" po siedmiu latach nie pokryły nawet kosztów wydania autorskiego, podczas gdy bredy purchawkowe a pieprzne rozrzucane są przez wydawców w dziesiątkach tysięcy"*.

Poetycki debiut Micińskiego przypada na okres rozkwitu liryki młodopolskiej. Skromna, niepozorna edycja „W mroku gwiazd" ilustrowana przez Stanisława Wyspiańskiego, zbiega się z triumfami nastrojowych, modernistycznych wierszy Kazimierza Przerwy-Tetmajera („Poezje", 1894), obrazoburczymi hymnami Kasprowicza („Gasnącemu światu", 1901), młodzieńczymi „Snami o potędze" (1901) Leopolda Staffa. Cóż może ten nieznany nikomu poeta przeciwstawić gwiazdom pierwszej wielkości, autorom czerpiącym pełnymi garściami z wieloletnich tradycji obrazowania, wersyfikacji, instrumentacji gatunkowej? Przede wszystkim – nowatorstwo. Miciński, podobnie jak Leśmian, zafascynowany jest symbolizmem, ale na dobrą sprawę on właśnie wprowadza do polskiej poezji założenia europejskiego ekspresjonizmu i surrealizmu. Jego liryka stanowi niewiarygodne połączenie manierystycznych technik młodopolskich i prekursorskich rozwiązań poetyckich. Autor „Nietoty" rozbija skojarzenia, asocjacje, burzy symetrię składni, dokonuje przeskoków czasowych opisując chwilowe doznania, emocje, stany wewnętrzne kształtowane przez nadrealną wyobraźnię. To właśnie sen ujawnia dążenia i marzenia człowieka – sztuka powinna zatem wyrażać podświadome treści, zagadki wieloznacznych, niedopowiedzianych sytuacji. W Kosmosie, naturze, przyrodzie – wiecznie skłóconej i pełnej dramatycznych napięć – istnieje ciągły ruch, walka niejasnych, wrogich, sprzecznych sił. Bohaterowie Micińskiego szamoczą się ze swym losem jak w okrutnej fantastycznej baśni. Porażeni dziwną niemocą nie potrafią opowiedzieć się po stronie dobra, pokonać świata i własnych słabości, grzęzną w lucyferycznym piekle upadku, klęski, niespełnienia.

Towarzyszą im stałe, wszechobecne symbole, nieuchronne znamiona wyroku: motyw żeglowania ku tajemniczemu przeznaczeniu, labiryntu, grobu, sarkofagu, podziemnych, zaklętych, klaustrofobicznych przestrzeni, chłodu, wilgoci, lodu...

Skąd te wszystkie obsesje, przeczucia, niepokoje? Jaka jest ich geneza, gdzie bije prawdziwe źródło poezji Micińskiego?

„Dni moje – jako borów palący się szum
Noce me – to zbłąkana kometa w niebiosach
Miłość ma – jak przez widma opętany tłum
Pieśni me – niby króle ginące na stosach"

– pisze autor „Nietoty". Tragiczna biografia? Nie tylko. Sięgnijmy do lektur polskiego modernisty: Słowacki odczytany na sposób młodopolski, inspiracje okultystyczne, mistyka suficka i hiszpańska, którą Miciński chętnie przekładał (twórczość Dżelaleddina Rumi, Jana od Krzyża, cykl „Inoca tormentorum"), symboliczne doświadczenia Maeterlincka. Lektury nie tłumaczą jednak wszystkiego. U podstaw tej poezji tkwi rozpoznanie prawdziwej sytuacji człowieka, odkrycie dokonane w drugiej połowie XIX stulecia przez Eduarda von Hartmana. Jego „Philosophie des Unbewusten" (1896) ujmowała duszę ludzką jako otwarty kosmos sprzeczności, walkę skłóconych żywiołów i sił. Świadomość niepokoju, niewspółmierności marzeń i działań towarzyszyła już autorom romantyzmu, ale dopiero scjentyzm XIX wieku zakwestionował rolę systemów religijnych, które – powtórzmy za Carlem Jungiem – *„stanowiły ekran przesłaniający i rozładowujący wewnętrzny dramat, projektujący to, co się burzy wewnątrz psychiki w obraz zewnętrznego zmagania: walki aniołów i szatanów"*. Ekran został rozdarty – gwałtownie i nieodwołalnie. Człowiek stanął naprzeciw własnego odbicia, samotny, nieuzbrojony, pozbawiony oręża ekspiacji i usprawiedliwienia, odpowiedzialny za losy świata, wolny – tragiczną, rozpaczliwą, niewyobrażalnie bezkresną wolnością. W tym rozległym, jakże obcym Kosmosie zmieniła się gwałtownie koncepcja sztuki, która przestała zapewniać bezpieczeństwo, oswajać grozę nieznanego. Postęp techniczny zadrwił gorzko z Natury prowadząc do stopniowej degeneracji, osłabienia energii życiowej. Stąd właśnie świadomość rozkładu, upadku, schyłku cywilizacji głoszona przez Baudelaire'a i jego następców. Stąd również nadrealistyczne krajobrazy de Chirico, Delvaux, Salvadora Dali; zafascynowanie ciemnością, strachem, grozą nieznanych przestrzeni w utworach Lautreamonta i Nervala, wybuchające z ogromną siłą w poezji Micińskiego.

Autor „Nietoty" nie doczekał się nigdy oficjalnego uznania: nobilitacji, o której marzył skrycie rzucając wyzwanie światu. Dopiero w 20-leciu międzywojennym (1918–1939) nastąpił – nikły zresztą – renesans jego twórczości. W roku 1925 ukazał się specjalny numer „Wiadomości Literackich" (12) ze szkicami krytycznymi Stefana Żeromskiego, Juliusza Kadena-Bandrowskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza i Wilama Horzycy. Leon Schiller wystawił „Kniazia Patiomkina", a muzykę do tego dramatu napisał Karol Szymanowski. Wacław Borowy w antologii „Od Kochanowskiego do Staffa" wyeksponował wiersze polskiego modernisty. W roku 1931 wyszedł nawet pierwszy i... ostatni tom jego „Pism pośmiertnych" – „Lucyfer". Do najwierniejszych uczniów dramatopisarza należał Stanisław Ignacy Witkiewicz.

Profesjonalne zainteresowanie liryką Micińskiego nie osłabło w 40-leciu powojennym. Pisali o nim: Mieczysław Jastrun, Edward Balcerzan, Piotr Kuncewicz. Miesięcznik „Poezja" wydał numer poświęcony jego twórczości (1974/5). Ukoronowaniem rozważań krytycznych stały się książki ostatniej dekady: J. Tynieckiego („Inicjacje mistyka", 1976), E. Rzewuskiej („O dramaturgii Tadeusza Micińskiego", 1977), J. Prokopa („Żywioł wyzwolony", 1978).

A jednak autor „Korsarza" wciąż pozostaje poetą nieznanym, znajdującym oparcie w obowiązkowych lekturach polonistów. Czy tak być musi naprawdę? Czy jego okrutne, nadrealistyczne baśnie nie są nam dzisiaj bliższe niż kiedykolwiek? Czy jego tajemnicza, pełna bólu i niespełnienia fantastyka nie może pojawić się na sztandarach naszej epoki?

Andrzej Niewiadowski

W MROKU GWIAZD

Tadeusz Miciński

Korsarz

*Rycz burzo! wichrze potargaj te sznury,
w których mię dławi nędzny karzeł – ziemia
i rzuć na przestwór, gdzie duch się oniemia
w kabalistyczny poemat natury.
Mroku podziemny! Twe głuche urwiska
wiodą mnie w grobów zapomniany szpaler –
ja – Prometeusz przykuty do galer –
lękam się zimnych gwiazd urągowiska.
Ogień tajony serce moje kruszy
jako lodozwał granitową skałę
Pelion na Ossę! morza rozszalałe,
wulkany, słońca na zdobycie duszy –
i cóż posiadłem? kwiat z niebieskich pól –
cichy, bezkresny – niepojęty ból.*

(z cyklu „Strąceni z niebiosów")

Ananke

*Gwiazdy wydały nade mną sąd
– wieczną jest ciemność, wiecznym jest błąd
– Ty budowniku nadgwiezdnych wież
– będziesz się tułał jak dziki zwierz
– zapadnie każdy pod tobą ląd
– wśród ognia zmarzniesz – stlisz się jak lont*

*A gwiazdom odparł królewski duch:
Wam przeznaczono okrężny ruch,
mojej wolności dowodem błąd,
serce me dźwiga w głębinach ląd.
Poszumy płaczą mogilnych drzew,
lecz w barce życia płynie mój śpiew.
Ja budowniczy nadgwiezdnych miast
szydzę z rozpaczy gasnących gwiazd.*

(z cyklu „Strąceni z niebiosów")

★ ★ ★

*W mym sercu baśni o jutrzence
i fantastyczne kwiaty szronu,
w mym sercu jakby echo dzwonu;
w mym sercu zakrwawione ręce
grają na strunach miesiąca
odwieczny ciemny
hymn
schodzę w labirynt podziemny
u stóp mych morze się roztrąca.*

(z cyklu „Noce polarne")

★ ★ ★

*Nade mną leci w szafir morza
obłok, pojony mlekiem gór –
nade mną śpiewa ptaków chór –
motyl, kochanek lilij łoża...*

*A ja pod mrokiem łzy – kamienia
sączę swój ciemny jad, –
lecz śmiać się będę z przerażenia
tego, kto zerwie kwiat.*

(z cyklu „Strąceni z niebiosów")

★ ★ ★

*O, nocy cicha, nocy błękitna,
u stóp Twych leżę, całując Cię
warkoczy Twoich gąszcz aksamitna
po wzgórzach gwiezdnych w niebo się pnie*

*Srebrzą się stawy, szumią potoki
i tylko serce w płomieniu burz –
idę w puszczę leśnych ciemne wyroki –
nocy błękitna – żegnam Cię już.*

(z cyklu „Zatoka tęcz")

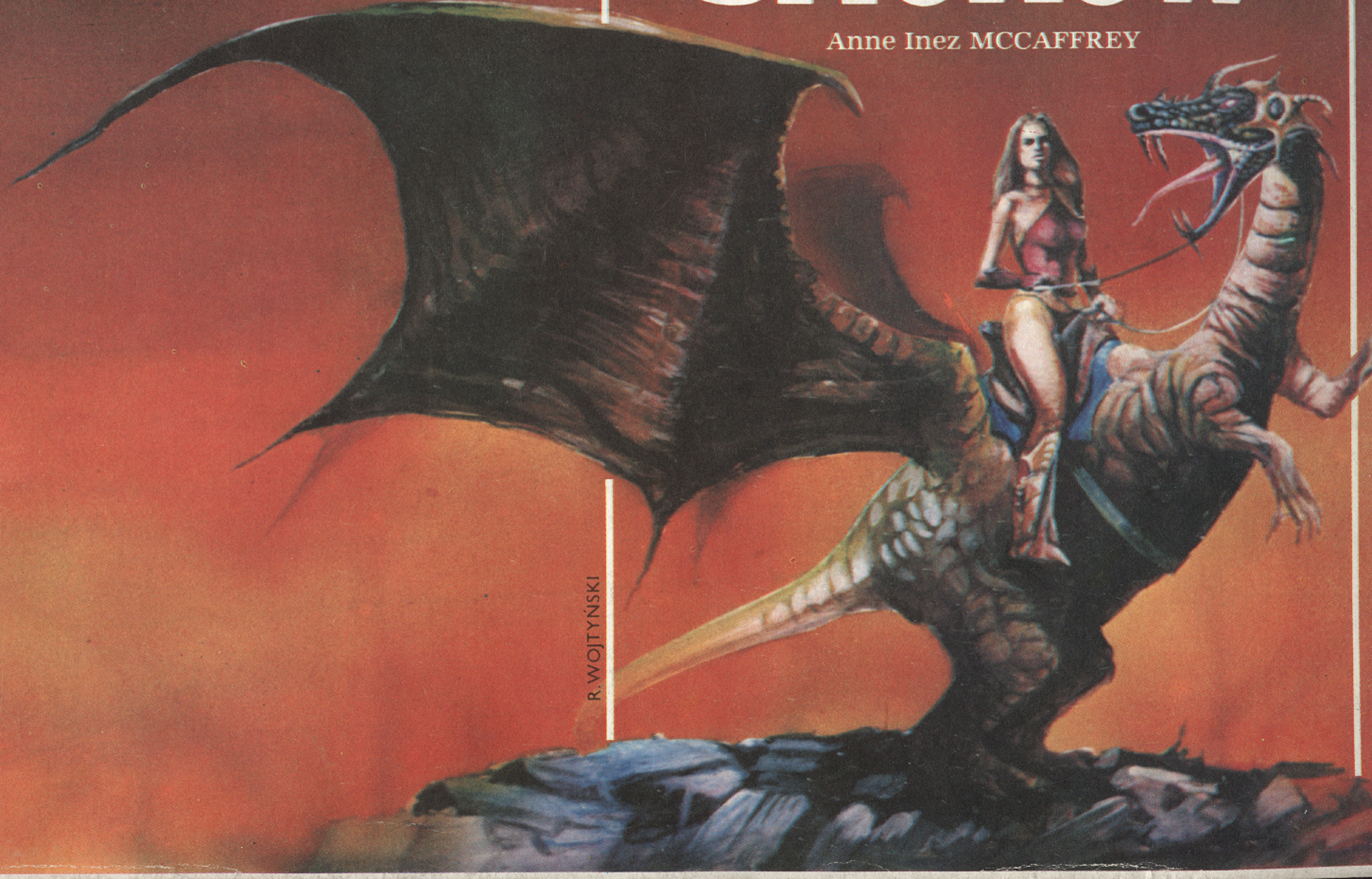
Wybor z tomu: „W mroku gwiazd. Poezje Tadeusza Micinskiego nakładem autora z trzema rysunkami Stanisława Wyspianskiego odbił w drukarni Uniwersytetu Jagiellonskiego Bronisław Tobiasz w lutym 1902. Skład głowny w księgarni Gebethnera"



W. Blake

JEŹDŹCY SMOKÓW

Anne Inez MCCAFFREY



fantastyka